



Francuski szpieg



ANNE ASHLEY

ASHLEY ANNE

FRANCUSKI SZPIEG

Rozdział pierwszy

1815 rok

Wiosną każdego roku w Londynie organizowano eleganckie bale i przyjęcia, na których bawiła się śmietanka towarzyska całego kraju. Tych kilka przyprawiających o zawrót głowy i szalenie kosztownych tygodni określano mianem sezonu i każda dobrze urodzona panna marzyła, aby przynajmniej raz w życiu wziąć w nim udział. Jak ćmy do świecy, tak panny ciągnęły do Londynu, aby dać się porwać szalonemu wirowi zabawy i otrzeć się o wielki świat. Koszty, jakie rodziny ponosiły, aby córka mogła spędzić sezon w Londynie, były rujnujące, liczone jednak, że zwrócą się z nawiązką, gdy panna znajdzie odpowiednią partię i korzystnie wyjdzie za mąż.

Verity bez zainteresowania patrzyła na przesuwane się za oknem powozu pola i lasy Kentu i zastanawiała się, po co właściwie jedzie do stolicy? Wcale nie marzyła o wielkoświatowym życiu i absolutnie nie miała zamiaru wychodzić za mąż za kogoś z wyższych sfer. Wzdragająca się na samą myśl, że miałaby zostać posłuszną żoną jakiegoś dobrze urodzonego dżentelmena i bez szemrania spełniać jego polecenia. A skoro nie szuka męża, to czemu dała się namówić, by przyjechać do Londynu na sezon?

Odwróciła wzrok od okna i z kpiącym uśmiechem popatrzyła na wygodnie usadowioną w przeciwległym kącie powozu Clare Billington. Lady Billington drzemała. Była to pełna gracji, dość

pulchna dama w średnim wieku. Sprawiała wrażenie powolnej i dobrotliwej, ale ci, którzy ją znali, wiedzieli, że w rzeczywistości jest bardzo inteligentna i ma zdolności, których pozazdrościłby jej niejeden strateg.

Powóz, którym jechały, był dobrze resorowany, ale kiedy nagle szarpnął, lady Clara obudziła się.

O niebiosa! Te drogi są coraz gorsze! - zawołała i uniosła białą pulchną dłoń, by poprawić przekrzywiony czepek, uszyty zgodnie z najnowszą modą. - Przypomnij mi, abym porozmawiała o tym z moim bratem, Charlesem, dobrze? Nie można tego tak zostawić, ktoś musi coś z tym zrobić.

Lady Billington zaczęła poprawiać swoją podróżną suknię uszytą z krepy w kolorze kasztanów. Kiedy wreszcie wszystkie fałdy zostały na powrót starannie ułożone, zerknęła na bratanicę, której piękne oczy patrzyły na nią poważnie, jakby ich właścicielka właśnie coś w skupieniu rozważała.

- O co chodzi, kochanie? Dlaczego patrzysz na mnie, jakbym była kimś całkiem obcym? - zapytała lady Billington, czując się trochę nieswojo pod tym spojrzeniem.

- Naprawdę tak patrzyłam? - Verity uśmiechnęła się, ale jej uśmiech był równie chłodny jak wyraz oczu. - Szczerze mówiąc, zaczęłam się zastanawiać, czy ja ciebie w ogóle znam, ciociu Claro. Oczywiście zdaję sobie sprawę, że zawsze chciałaś, abym przyjechała do Londynu na sezon, i od kiedy opuściłam mury szkoły, robiłaś wszystko, żeby mnie do tego nakłonić. Przyznaję, jestem pełna

podziwu, że w końcu ci się to udało!

Na twarzy lady Billington pojawił się ciepły, nieco roztargniony uśmiech. Potem bez słowa odwróciła głowę i z zainteresowaniem zaczęła wyglądać przez okno powozu.

Prawdę mówiąc, jej bystra i przenikliwa bratanica miała rację tylko częściowo.

Los nie obdarzył lady Billington własnymi dziećmi. Interesowała się więc potomstwem swojego rodzeństwa, a Verity bardzo szybko stała się jej ulubienicą. Ojciec Verity zmarł w bardzo młodym wieku i niemal od chwili jego śmierci lady Billington marzyła, aby zaopiekować się bratanicą i choć raz przywieźć ją do stolicy na sezon. Ale po śmierci męża matka Verity sprzedała dom w Hampshire i wróciła do rodzinnego Yorkshire. Jej starszy brat, Lucius Redmond, był kawalerem, zamieszkała więc razem z nim i zajęła się prowadzeniem mu domu. Lady Billington podtrzymywała kontakt z bratową i z bratanicą. Często z nimi korespondowała i odwiedzała je przynajmniej raz w roku.

Niestety matka Verity także niespodziewanie szybko zmarła, opiekę nad córką powierzywszy swemu bratu. Lady Billington poczuła się tym trochę urażona. Ale ponieważ pan Redmond jako kawaler nie miał pojęcia o wychowywaniu, zwłaszcza dziewczynki, chętnie słuchał jej rad, miała więc bardzo duży wpływ na jego postępowanie wobec siostrzenicy. Lady Billington wiedziała, że kochająca matka nie umiała córce niczego odmówić i pozwalając jej na wszystko, doprowadziła do tego, że Verity zachowywała się raczej

jak chłopak niż jak młoda panienka. Trzeba było coś z tym zrobić. Przekonała więc pana Redmonda, że musi wysłać siostrzenicę do szkoły dla panien z dobrych domów i poleciła mu starannie wybraną przez siebie placówkę w Bath.

Verity opuściła szkołę w wieku szesnastu lat jako wyjątkowo urocza młoda dama, w której nikt już nie umiałby rozpoznać dawnej rozpuszczonej chłopczycy. Natura okazała się dla niej wyjątkowo szczodra, obdarzając ją pięknymi oczami o niespotykane głębokim odcieniu błękitu, delikatną, słodką twarzą i wspaniałą figurą. Ale Verity obojętnie traktowała swoją urodę i rzadko odwiedzała ciotkę w Kent. Wydawała się całkiem zadowolona, mieszkając z wujem w Yorkshire i pracując razem z nim przy wydawaniu popularnej gazety.

- Nie myśl, że zwiodą mnie twoje niewinne miny, ciociu - powiedziała spokojnie Verity, przerywając panującą w powozie ciszę.
- Jesteś przebiegłą i chytrą kobietą! Gdybyś nie dała mi jasno do zrozumienia, że więcej nie usłyszę od ciebie ani jednej smakowitej ploteczki, nie byłoby mnie tutaj. Dobrze wiesz, że twoje informacje są dla mnie nieocenione.

- Drogie dziecko, jesteś niesprawiedliwa! - zaproponowała lady Billington z całą gwałtownością, na jaką mogła się zdobyć dama tak łagodna jak ona. - Napisałam ci tylko, że teraz, kiedy ten przeklęty Korsykanin jest znowu na wolności, a połowa wyższych sfer wyjechała na kontynent, w Londynie nie będzie się wiele działo. Zasugerowałam, że w tej sytuacji byłoby o wiele lepiej, gdybyś przyjechała do stolicy razem ze mną. We dwie łatwiej uzbieramy

dosyć wiadomości, byś potem mogła ciekawie opisać tegoroczny sezon. -

Verity nie do końca wierzyła ciotce, ale uznała, że drażnienie tematu nie leży w jej interesie. Zdawała sobie sprawę, że gdyby nie informacje dostarczane jej przez starszą damę, nie mogłaby pisać artykułów do gazety wuja.

Początkowo wuj nie chciał publikować jej tekstów, protestując przeciwko zaśmiecaniu gazety jakimiś „frywolnymi ploteczkami”. Uległ dopiero wówczas, gdy Verity zdołała go przekonać, że kobiety także czasami sięgają po gazetę i że będzie im przyjemnie znaleźć w niej coś napisanego specjalnie dla nich. Ostatecznie wywalczyła tyle, że co miesiąc wuj zamieszczał jeden jej artykuł. Nie było to dużo, ale jeśli wziąć pod uwagę jego konserwatywne poglądy, to i tak był to sukces. Wuj uważał bowiem, że kobieta o jej pozycji nie powinna pracować.

Verity pisała o najnowszych prądach w modzie, o fryzurach i nowinkach z dziedziny kosmetyki i pielęgnacji urody. Jej artykuły zdobyły sobie uznanie czytelniczek z Yorkshire. Największym zainteresowaniem cieszyły się jednak teksty na temat znanych i popularnych osób z wyższych sfer i wydarzeń londyńskiego sezonu, do których materiału dostarczała jej zawsze świetnie poinformowana w tych sprawach lady Billington.

- Nawet jeżeli Londyn istotnie świeci pustkami, to Prinny zawsze wymyśli coś szalonego. Poza tym nie wierzę, żeby cała londyńska śmietanka wyjechała do Wiednia... A może do Brukseli?

Nie wiem, dokąd się teraz jeździ...

- Do Brukseli - potwierdziła lady Billington i nagle się ożywiła.

- Kiedy byłam w Kent, słyszałam coś, co cię powinno zainteresować. Otóż następnym wicehrabią Dartwood ma zostać wnuk Arthura Brinleya. Wiem, że bardzo lubiłaś starszego pana. Nie przypominam sobie jednak, byś wspominała o jego wnuku. A przecież musisz znać majora Cartera?

- Znałam go kiedyś, owszem - przyznała Verity. - Ale nie widziałam go od... ponad pięciu lat.

Lady Billington przyglądała się przez chwilę w milczeniu wdzięcznemu profilowi bratanicy.

- Wydaje mi się, że major Carter niespecjalnie cię obchodzi. Czyżbyś żywiła do niego niechęć?

Verity zmarszczyła brwi, zastanawiając się, czy rzeczywiście czuje niechęć do wnuka Arthura Brinleya, i doszła do wniosku, że nie. Mimo że kiedyś bardzo ją uraził. Ale to było tak dawno. W ostatnich latach nie myślała o nim zbyt często. Jedynie czasem, kiedy w gazecie wuja czytała o jego bohaterskich czynach podczas kampanii hiszpańskiej.

- Nie, ciociu, nie czuję do niego urazy, choć to głupek. - Verity wzruszyła ramionami. - Może nie powinnam tak o nim mówić, bo jako żołnierz zasłynął z męstwa i odwagi... A kiedyś, dawno temu, uratował mi życie.

- Wielkie nieba! Cóż takiego się zdarzyło? - zawołała zaskoczona lady Billington.

- Och! - Verity lekceważąco machnęła dłonią. - O mało się nie utopiłam. Ale Brin wskoczył do wody i uratował mnie.

- Przypuszczam, że musiało się to wydarzyć w czasach, kiedy zachowywałaś się jeszcze jak rozwydrzone chłopaczysko - stwierdziła karcącym tonem starsza dama.

Verity, niespeszona tonem ciotki, potwierdziła. Nagle ożywiła się.

- Masz rację! - zawołała. - W Yorkshire Brin uchodzi za bohatera i cieszy się dużym zainteresowaniem płci pięknej. Już od jakiegoś czasu chodzą plotki, że podobno wystąpił z wojska. Ale dopiero informacja, że ma odziedziczyć tytuł po stryju, zelektryzuje wszystkie panie. Na razie nie pojawił się w Yorkshire. W każdym razie nie było go tam przed moim wyjazdem. Ciekawe, gdzie się podziewa?

- Major może być w Londynie - odparła lady Billington. - Słyszałam, że stan zdrowia jego stryja bardzo szybko się pogarsza. Biedak robił wszystko, co mógł, by nie oddać tytułu w ręce bratanka. Tak bardzo się starał, że ożenił się nawet z tą nieszczęsną dziewczyną, która mogłaby być jego wnuczką. Ale wygląda na to, że wszystkie jego wysiłki spełzną na niczym i już niedługo major zostanie kolejnym wicehrabią Dartwood.

- Biedny Brin! Jeśli naprawdę jest tak szalony, żeby pojawić się w Londynie, stanie się obiektem polowania wszystkich matek mających córki na wydaniu. - Verity zaśmiała się rozbawiona.

Lady Billington popatrzyła na bratanicę z lekkim wyrzutem i już

miała skomentować jej raczej przewrotne poczucie humoru, gdy nagle rozległ się osobliwy dźwięk, jakby coś pękło. Powóz niespodziewanie przechylił się gwałtownie na bok i stanął, a dama z impetem uderzyła o ścianę.

- Co się stało?!

- Nie mam pojęcia - odparła Verity, z trudem utrzymując się na pochylonym siedzeniu. - Ale idzie Ridge, więc za chwilę wszystkiego się dowiemy.

Małe drzwiczki pojazdu zostały otwarte silnym szarpnięciem, a w otworze pojawiła się zatroskana twarz starszego stajennego.

- Nic się paniom nie stało? - zapytał z troską.

- Nic. Obie jesteśmy całe i zdrowe - odparła lady Billington, próbując przyjąć jakąś wygodniejszą pozycję, co w silnie przechylonym powozie nie było łatwe. - Co się, na Boga, stało?

- Mamy uszkodzone przednie koło i złamany dyszel. Na szczęście jesteśmy niedaleko Sittingbourne. Jeżeli zechcą panie przesiąść się do drugiego powozu, to wypręgniemy konie, odprowadzimy je do stajni w zajeździe i od razu zapytamy, czy jest możliwość naprawienia pojazdu. Z góry jednak uprzedzam, że szanse, aby z tym zdążyć dzisiaj, są niewielkie.

- Co za pech! Chciałam być w Londynie na tyle wcześnie, żeby zdążyć jeszcze na przyjęcie u lady Swayle. Ale cóż... nic się na to nie poradzi. Pomóż nam wysiąść.

Verity, młoda i szczupła, bez problemów opuściła powóz. Ale dla lady Billington, która z wiekiem przybrała nieco na wadze, sprawa

nie była taka prosta. W końcu jednak, przy wydatnej pomocy bratanicy i służącego, wydostała się z pojazdu i stanęła na drodze.

Drugi powóz, który im towarzyszył, zatrzymał się kilka metrów dalej. Lady Billington zawsze podróżowała z dużą ilością bagażu, nie dziwiły więc kufry i paczki piętrzące się na dachu. W środku siedziała Dodd, osobista pokojówka starszej pani, jej kamerdyner oraz tłusty pekińczyk i zielona papuga. Zdaniem Verity dwa najbardziej nieznośne w całym chrześcijańskim świecie stworzenia.

Verity wsiadła do powozu i bezceremonialnie przełożyła pekińczyka z siedzenia na kolana lokaja. Obudzony psiak zaprotestował, warcząc i głośno ujadając, co rozgniewało papugę, która zaczęła skrzeczeć i bić skrzydłami. Rozpętało się prawdziwe piekło i trwało nieprzerwanie do chwili, kiedy powóz wjechał na dziedziniec zajazdu.

Verity zerwała się z siedzenia, nie czekając, aż służący rozłoży schodki.

- Dość tego! Nie mam zamiaru dłużej podróżować w towarzystwie tych odrażających stworzeń. Nigdy nie mogłam pojąć, po co zabierasz je ze sobą za każdym razem, kiedy gdzieś wyjeżdżasz!

- Ależ, kochanie, uspokój się. - Lady Billington próbowała ułagodzić zagniewaną bratanicę, drepcząc za nią w stronę wejścia do zajazdu. - Naprawdę nie wiem, po kim jesteś taka nerwowa. Twój ukochany tata był najspokojniejszym człowiekiem, jakiego znałam, nigdy też nie widziałam, żeby twoja mama okazywała zdenerwowanie. Chociaż... niektórzy z Harcourtów byli w gorącej

wodzie kąpani. Na przykład czwarty książę Harcourt, twój prapradziadek, był tak nerwowy, że niektórzy członkowie rodziny uważali, iż należałoby go zamknąć w Bedlam.

- Jest pewna różnica między niepoczytalnością a uzasadnioną irytacją - odparła Verity, spoglądając na ciotkę ze zniecierpliwieniem.

- Nawet święty nie wytrzymałby z tymi przeklętymi stworzeniami! Jeżeli spróbujesz mnie zmusić do dalszej jazdy razem z nimi, ostrzegam, że ryzykujesz utratę obojga. Bez wahania ukręcę łeb tej zielonej gęsi, a tłustego rozpieszczonego szczekacza wyrzucę przez okno!

Lady Billington miała ochotę zrobić bratanicy wykład o tym, że krzywdzenie nierozumnych istot jest niewybaczalne i niehumanitarne, ale była na tyle mądra, że umiała się powstrzymać. Nie podobał się jej pomysł, aby Verity podróżowała dalej samotnie.

- Nie możesz tu przecież zostać sama. To nie do pomyślenia! - zaprotestowała ciotka.

- Nie będę sama. Ridge zostanie ze mną - odparła Verity, ale wiedząc, że ten argument nie przekona ciotki, postanowiła ją zagadać.

- Usiądźmy i napijmy się czegoś, a tymczasem Ridge zdąży zapytać, czy twój powóz uda się jeszcze dziś naprawić. Kiedy ta sprawa się wyjaśni, zastanowimy się, co robić dalej.

Było to najrozsądniejsze wyjście, więc ciotka nie protestowała. Przeszły do sali jadalnej, zamówiły lekki posiłek i siedząc przy stole, przyglądały się licznym podróżnym, przewijającym się przez ruchliwy zajazd. Po pewnym czasie pojawił się Ridge, ale wieści, które

przyniósł, nie były dobre. Wyglądało na to, że powóz najprawdopodobniej uda się naprawić dopiero jutro rano. W tej sytuacji musiał zanoćować w zajeździe i wrócić do Londynu następnego dnia, kiedy pojazd będzie się nadawał do drogi.

Lady Billington w pełni zaaprobowała taki plan i przywołała właściciela zajazdu, żeby omówić z nim kwestię naprawy powozu i noclegu dla sługi. Ale kiedy Verity oznajmiła, że w takim razie ona również zostaje i przyjedzie do Londynu jutro razem z Ridge'em, ciotka zaprotestowała. Takie postępowanie było niewłaściwe. Absolutnie nie do przyjęcia. Nie mogła na to pozwolić.

- Przykro mi, Verity, ale to wykluczone. Młoda dama nie może spędzić nocy w zajeździe, nie mając do towarzystwa choćby pokojówki. To nie do pomyślenia. Obawiam się, że będziesz musiała jechać razem ze mną.

- Nie będę podróżować w towarzystwie twoich okropnych zwierzaków! - krzyknęła Verity. Dostrzegła błysk współczucia w oczach Ridge'a, a potem popatrzyła na właściciela gospody, który cierpliwie czekał, aż zostanie ustalone, czy klienci wynajmą na noc jeden pokój, czy dwa.

- Czy można stąd wynająć powóz do Londynu? - zapytała Verity.

- Na ogół tak, ale teraz jest duży ruch. Ludzie jadą do Londynu na sezon i w tej chwili nie mam nic wolnego. Chyba że zechciałaby panienka pojechać wozem pocztowym... Trzeba się jednak liczyć z tym, że pani nie ma rezerwacji i może nie być wolnego miejsca. Ale

jeśli będzie, woźnica może panią zabrać.

- Musiałabyś mieć ze sobą przynajmniej pokojówkę - sprzeciwiła się ciotka, zanim Verity zdążyła wyrazić zgodę na tę propozycję. - Nie ma sensu prosić Dodd, żeby ci towarzyszyła, bo jak słusznie zaznaczył ten człowiek, może nie być miejsc. Zresztą Dodd będzie mi potrzebna wieczorem. Ktoś musi mnie przecież uczesać na dzisiejsze przyjęcie.

- Może mógłbym paniom pomóc rozwiązać ten problem - odezwał się niespodziewanie właściciel zajazdu.

Lady Billington popatrzyła na niego z irytacją, a Verity bardzo się ucieszyła.

Mężczyzna wskazał siedzącą przy stole w rogu młodą dziewczynę ubraną w szary płaszcz.

- To moja siostrzenica - oznajmił. - Czeka na dyliżans pocztowy, którym pojedzie do Londynu. Była na służbie u wdowy lady Longbourne, ale jej chlebodawczyni zmarła w zeszłym miesiącu, więc dziewczyna musi sobie poszukać nowej pracy.

Lady Billington wcale nie podobał się pomysł, aby Verity podróżowała powozem pocztowym, ale kiedy porozmawiała z siostrzenicą właściciela zajazdu, trochę się uspokoiła. Dziewczyna zrobiła na niej wrażenie spokojnej i dobrze wychowanej, więc choć niechętnie, ostatecznie wyraziła zgodę, żeby bratanica odbyła podróż w jej towarzystwie.

Robiło się coraz później, jeśli chce zdążyć na przyjęcie, musi ruszać w drogę.

Wreszcie odjechała, a Verity usiadła obok swojej nowej towarzyszki podróży.

- Moje towarzystwo zostało ci w pewnym sensie narzucone - powiedziała z uśmiechem. - Myślę więc, że powinnam się przedstawić. Nazywam się Harcourt... Verity Harcourt.

- A ja Margaret Jones. Ale wszyscy mówią do mnie Meg - odparła dziewczyna.

Verity obrzuciła ją szybkim spojrzeniem. Zauważyła, że strój podróży Meg jest raczej wygodny niż modny i że dziewczyna wygląda bardzo schludnie.

- A więc jedziesz do Londynu w poszukiwaniu pracy, tak? - zagadnęła.

- Tak, panienko. W Londynie mieszka moja siostra. Zatrzymam się u niej, dopóki czegoś nie znajdę. Byłam osobistą pokojówką zmarłej lady Longbourne i mam referencje od jej rodziny, ale wątpię, bym znalazła podobną posadę. Zbyt wiele dziewcząt z większym doświadczeniem niż moje szuka teraz pracy. W naszej okolicy niczego nie dostanę, dlatego w Londynie zadowolę się czymkolwiek.

Dziewczyna mówiła cicho i wyraźnie było widać, że towarzystwo obcej osoby trochę ją onieśmiela. Nie umykała jednak wzrokiem i patrzyła wprost na rozmówczynię. Spodobało się to Verity. Przyjrzała się więc Meg jeszcze raz i zaczęła rozważać, czy nie zaproponować jej pracy.

Do tej pory nie czuła potrzeby posiadania własnej pokojówki, a jeśli czasami potrzebowała pomocy, korzystała z usług którejś ze

służących zatrudnionych w domu wuja. Ale kochana ciocia Clara nie omieszkała zwrócić jej uwagi, że to, co uchodzi w dziczy Yorkshire, nie zawsze będzie dobrze widziane w cywilizowanym towarzystwie.

Verity zdawała sobie również sprawę z tego, że swoboda, jaką cieszyła się w domu, w Londynie zostanie drastycznie ukrócona. Wiedziała, że w mieście wyjście z domu bez osoby towarzyszącej jest absolutnie zabronione. A nie mogła przecież za każdym razem, kiedy przyjdzie jej ochota na spacer, ciągnąć ze sobą kogoś ze służby ciotki. To by nie było w porządku. Tak samo jak nie mogła oczekiwać, że Dodd oprócz zajmowania się swoją panią będzie jeszcze spełniała jej własne zachcianki i dbała o jej potrzeby przez cały sezon.

Verity błyskawicznie podjęła decyzję.

- A gdybym to ja zaproponowała ci pracę? - zapytała i roześmiała się na widok zaskoczonej miny Meg.

- Mówię zupełnie poważnie - zapewniła. - Najwyższa pora, żebym miała osobistą pokojówkę. Od razu muszę cię jednak uprzedzić, że większą część roku spędzam w Yorkshire. Jeśli więc szukasz posady w mieście i ciche wiejskie życie nie odpowiada twoim gustom, lepiej zostań w Londynie.

- Urodziłam się na wsi i tu się wychowałam. Lubię takie życie. Kiedy pracowałam u lady Longbourne, nigdy nie wyjeżdżałyśmy daleko od domu - zapewniła pospiesznie Meg, wciąż jeszcze nie mogąc uwierzyć w swoje szczęście. - Chodzi o to, że ta dama, która już odjechała, chyba pani ciotka... na pewno chciałaby ze mną porozmawiać, zanim mnie zatrudni.

- Rzeczywiście, lady Billington jest moją ciotką i najbliższe tygodnie spędzimy w jej domu w Londynie. Ale z kwestią twojego zatrudnienia ona nie ma nic wspólnego. Pensję będzie ci płacił mój opiekun, nie ciotka. I jestem pewna, że wuj Lucius przychyli się do mojej decyzji.

Meg uznała, że może już podjąć swoje obowiązki.

- Pokojówka nie może opuścić swojej pani, więc jeśli w po wozie pocztowym nie będzie wolnego miejsca, moim obowiązkiem jest zostać z panią.

Była już najwyższa pora, żeby Meg powiadomiła wuja o szczęściu, jakie ją spotkało, bo za oknem rozległ się odgłos trąbki oznajmiający przybycie poczty.

Kilka minut później, bocznymi drzwiami, do zajazdu wkroczył postawny mężczyzna otulony luźnym szarym płaszczem. Opuszczony na oczy staromodny trójgraniasty kapelusz i ciemny wełniany szal zasłaniający całą dolną część twarzy uniemożliwiały dostrzeżenie szczegółów jego fizjonomii. Pewnym krokiem podszedł wprost do właściciela zajazdu, zamienił z nim kilka słów, a potem popatrzył na Verity. Domyśliła się, że musi to być woźnica dyliżansu pocztowego. Po chwili, która wydawała się jej wiecznością, woźnica oderwał od niej wzrok. Niemal niedostrzegalnie kiwnął głową właścicielowi zajazdu i wyszedł tą samą drogą, którą przyszedł.

Meg podeszła do niej szybkim krokiem i poinformowała, że woźnica zgodził się je obie zabrać, pod warunkiem że nie będzie musiał na nie czekać, bo i tak już jest spóźniony.

Verity popatrzyła dokoła, ale nigdzie nie dostrzegła Ridge'a. Poprosiła więc właściciela zajazdu, by mu przekazał, że dostała miejsce w powozie i pojechała razem z Meg. Kiedy wyszła przed dom, wymalowany w królewskie barwy dyliżans czekał gotowy do drogi.

- Nie ma panienka żadnego bagażu? Mam nadzieję, że nie ucieka panienka z domu!

Verity uniosła wzrok i dostrzegła, że siedzący na koźle woźnica gapi się na nią, a błysk w jego brązowych oczach nasunął jej podejrzenie, że sobie z niej żartuje. Powinna go była skarcić za takie zachowanie, ale obawiała się, że obrażony, mógłby jej nie zabrać. Postanowiła więc milczeć i dumnie odwróciwszy głowę, wsiadła do zalatującego stęchlizną powozu.

Na szczęście nie było zbyt wielu pasażerów. Oprócz Verity i Meg jechała jedna dość pulchna kobieta z niemowlęciem na ręku i dwóch mężczyzn. Jeden wyglądał na rolnika, a drugi, wyjątkowo niski, w średnim wieku, miał na sobie czarne ubranie ze zgrzebnej wełny i nie odznaczał się niczym szczególnym, nie można więc było domyślić się jego profesji. Verity usiadła na wprost pozostałej trójki, a Meg zajęła miejsce obok niej. Verity obrzuciła współpasażerów krótkim spojrzeniem, ale nikt nie wzbudził jej zainteresowania. Przestała zatem zwracać na nich uwagę i zaczęła opowiadać Meg o prześlicznym domu wuja położonym na skraju wrzosowisk i o planach ciotki Clary na nadchodzący sezon.

- Biorąc jednak pod uwagę niespodziewany zwrot wypadków w

Europie - ciągnęła Verity - ciotka przewiduje, że tegoroczny sezon nie będzie tak radosny i beztroski jak zazwyczaj. Mam nadzieję, że dzięki temu nie będzie się upierała, abyśmy zostały w Londynie aż do czerwca.

- Słyszę, że mówi pani o tym - jak wy, Anglicy, go nazywacie? - samozwańcu, który uciekł z Elby, prawda? - zapytał mężczyzna w czarnym ubraniu, niespodziewanie wtrącając się do rozmowy. Obcy akcent, wyraźnie słyszalny w jego głosie, wzbudził ciekawość i sprawił, że wszystkie oczy skierowały się na niego.

- O mój Boże! - jęknęła pulchna kobieta i mocniej przytuliła niemowlę do obfitej piersi, - Tylko niech pan nie mówi, że jest pan jednym z tych francuskich barbarzyńców!

- Może się pani nie obawiać, madame. Jestem Szwajcarem i mam dokumenty, które mogą to potwierdzić. Jestem zegarmistrzem, handluję zegarkami. Do waszego kraju przyjechałem w interesach. - Mężczyzna poklepał płaską drewnianą skrzyneczkę, którą trzymał na kolanach.

- Zapewne rozpoczął pan swoją podróż, jeszcze zanim wieść o ucieczce cesarza dotarła do pańskiego miasta. Prawda, monsieur? - zapytała Verity, patrząc z rozbawieniem, jak kobieta z niemowlęciem podejrzliwie przypatruje się cudzoziemcowi.

- Oczywiście, mademoiselle. Gdybym o tym wiedział, nie wybrałbym się w podróż. Wydaje mi się jednak, że tutaj nic mi nie grozi.

- U nas może się pan czuć bezpiecznie. Jestem pewna, że

możemy zaufać Wellingtonowi. On nas nie zawiedzie - uspokoiła go Verity z nutką dumy w głosie. Potem zwróciła się znów do Meg, która z każdą chwilą stawała się coraz śmielsza w stosunku do swojej młodej, przyjaznej pani.

Były tak zajęte rozmową, że zanim się obejrzały, powóz dojechał do kolejnego ruchliwego zajazdu. Zmęczone konie szybko wymieniono na świeże, pełne sił, i poczta ruszyła w dalszą drogę.

Dylizans pocztowy był pojazdem uprzywilejowanym i każdy miał obowiązek okazać mu pomoc i zrobić wszystko, aby nie wstrzymywać go w drodze. Woźnica już z daleka oznajmiał trąbką swoje przybycie, a w zajazdach szeroko otwierano bramy, by nie musiał czekać i tracić czasu. Dlatego wszyscy byli zaskoczeni, kiedy pojazd nagle zwolnił, a potem niespodziewanie stanął.

Cudzoziemiec zerknął przez okno, a potem przeniósł spojrzenie na Verity.

- Co mogło się stać, mademoiselle? - zapytał, a w jego szarych oczach widać było trwogę.

Verity wzruszyła ramionami, zdradzając całkowity brak zainteresowania powodem przerwy w podróży. Nie spieszyła się zbytnio do Londynu i ewentualne opóźnienie nie robiło jej różnicy. Słyszała, że woźnica z kimś rozmawia, domyśliła się więc, że ktoś zatrzymał powóz, by ostrzec o jakimś niebezpieczeństwie na drodze przed nimi. Chwilę później ruszyli, ale przejechali zaledwie kilkaset metrów i stanęli przed małą gospodą na uboczu. Jeden z czuwających nad bezpieczeństwem poczty strażników ubranych w królewską

liberię otworzył drzwi i poinformował pasażerów, że na drodze leży zwalone drzewo, które chwilowo uniemożliwia dalszą jazdę. Uprzedził, że będą czekać, aż przeszkoda zostanie usunięta, a potem, żeby nadrobić stracony czas, aż do Londynu pojedą bez postojów. Zatrzymywać będą się wyłącznie w celu wymiany koni, więc jeśli ktoś jest głodny, to teraz jest jedyna okazja, żeby coś zejść.

- Dobry pomysł! - stwierdziła Verity, nie zwracając uwagi na gniewne pomruki pulchnej kobiety z dzieckiem. - Trudno kogoś winić za zwalone drzewo, to przypadek - dodała i wspierając się na podanej jej przez strażnika ręce, wyszła z powozu.

- Cieszę się, słysząc z ust panienki słowa rozsądku. Kto wie, może rzeczywiście nie ucieka panienka z domu - dobiegł ją z góry prowokujący głos z silnym akcentem z Yorkshire.

Verity potknęła się, zaczepiła obcasem o brzeg sukni i gdyby nie podtrzymujący ją strażnik, spadłaby ze schodków.

Zerknęła na oderwaną falbanę i ze złością spojrzała prosto w oczy woźnicy.

- Widzisz, co przez ciebie zrobiłam! - rzuciła oskarżycielskim tonem. - Będę wdzięczna, jeśli na przyszłość zatrzymasz swoje niedorzeczne uwagi dla siebie!

Nie wdając się w dalsze dyskusje, ruszyła do gospody, słysząc za plecami donośny szyderczy męski śmiech. Verity była wybuchowa, szybko wpadała w złość i równie szybko o niej zapominała. Nigdy też nie wyładowywała swojego niezadowolenia na Bogu ducha winnych przypadkowych osobach. Jeśli już ktoś miał doświadczyć na sobie

skutków jej złego humoru, to jedynie ten, który był jego przyczyną. W gospodzie Meg nieśmiało zaproponowała, że podepnie szpilkami rozdartą suknię, ale Verity grzecznie podziękowała. Wysłała dziewczynę po jakieś napoje, a falbaną postanowiła się zająć sama.

Rozejrzała się po sali i stwierdziła, że oprócz pasażerów powozu pocztowego jest tu tylko jeden klient. Był to krępy mężczyzna w średnim wieku pijący piwo. Wzrok miał wlepiony w okno. Sala była więc niemal pusta, ale skromność nie pozwoliła Verity unieść sukni, by zająć się prowizoryczną naprawą oderwanej falbany. W tym celu musiała sobie znaleźć jakieś bardziej dyskretne miejsce.

Gospoda była niewielka i Verity pomyślała, że nie ma tu prawdopodobnie żadnej ustronnej salki. Ale po chwili dostrzegła w głębi za barem korytarzyk. Znikła w nim przez nikogo niezauważona. Miała szczęście, bo już pierwsze drzwi, na które tam trafiła, były uchylone. Bez wahania zajrzała do środka i zobaczyła pusty pokój i stół, z którego nie sprzątnięto jeszcze naczyń po posiłku. Naczynia nie przeszkadzały jej w najmniejszym stopniu, a widok dużego parawanu ustawionego między stołem i oknem bardzo ją ucieszył. Schowała się za nim i dopiero wtedy zrozumiała, że postawiono go specjalnie, by zakryć nieszczelne okna, przez które mocno wiało.

Właśnie skończyła przypinać falbanę i chowała pozostałe szpilki do woreczka, kiedy w pokoju rozległy się czyjeś ciężkie kroki. Verity nie była nieśmiała. Nie bała się wyjść zza parawanu, aby wytłumaczyć powody, dla których się tu ukryła, ale coś ją powstrzymało.

Popatrzyła przez szparę w parawanie i zobaczyła, że przy

palenisku stoi mężczyzna. Mogła dostrzec tylko jego plecy, ale choć ani teraz, ani poprzednio nie widziała jego twarzy, bez trudu rozpoznała tego, który, nie odrywając wzroku od okna, pił piwo w sali jadalnej. Miał na sobie płaszcz, wydawało się więc, że za chwilę rusza w drogę. Ale mijały kolejne minuty, a on stał bez ruchu, wpatrzony w płonące szczapy. Verity miała już dość siedzenia w ukryciu.

Sięgnęła po woreczek ze szpilkami, który odłożyła na pełen śladów po kornikach parapet, i już miała ujawnić swoją obecność, gdy do pokoju weszła kolejna osoba.

- Spotkanie tutaj to wspaniały pomysł, monsieur - powiedział ktoś z cudzoziemskim akcentem. - Ale ten postój nie był zaplanowany. Jakim sposobem dowiedział się pan, że tu staniemy?

- Nie tylko pan potrafi myśleć - odparł szorstko rozmówca, zdradzając irytację i niezadowolenie. - Byłem w miejscu, w którym mieliśmy się spotkać. Ale przyjechałem przed czasem i dowiedziałem się o drzewie zagrządzającym drogę. Domyśliłem się, że powóz pocztowy będzie czekał na usunięcie go. A ponieważ poczta słynie ze swojej punktualności, nietrudno było się domyślić, że woźnica zrezygnuje z kolejnych przystanków. Dosiadłem więc konia i przyjechałem do zajazdu znajdującego się najbliżej przeszkody. Wypatrywałem pana przez okno. Miałem zamiar jechać za wami do Londynu, czekając na okazję, by przekazać wiadomość od mojego pana.

Podglądająca przez szparę w parawanie Verity zauważyła nieprzyjemny i złowrogi uśmiech na twarzy cudzoziemca. Patrząc w

jego zimne, spoglądające badawczo szare oczy, nabrała podejrzeń, że mężczyzna wcale nie jest tym, za kogo się podawał.

- W takim razie miło ze strony woźnicy, że tu właśnie się zatrzymał - odparł cudzoziemiec, a nieprzyjemny uśmiech zniknął z jego twarzy. - Nie mamy wiele czasu i nie byłoby dobrze, gdyby nas ktoś zobaczył razem. Ma pan coś dla mnie?

- Jeszcze nie. Ale mój pan spotka się z panem jak zwykle w piątek o ósmej wieczorem.

- A tak! Pamiętam. Gospoda w Leetle Leetle Frampington. Wy, Anglicy, jesteście tacy zabawni... Powiedz swojemu panu, że stawię się na spotkanie. I przypomnij mu, że sytuacja wymaga pośpiechu. Mój ukochany cesarz jak najszybciej musi poznać plany Wellingtona!

Rozdział drugi

Verity zawsze była dumna ze swojego nazwiska i szlachetnej krwi płynącej w jej żyłach. Oczywiście w jej rodzinie, tak jak w każdej innej, zdarzały się czarne owce, dranie i rozpustnicy. Do najgorszych należał trzeci książę Harcourt, którego podejrzewano o zamordowanie pierwszej żony, choć na jego obronę trzeba powiedzieć, że nigdy mu tego nie udowodniono. Ale nawet ci członkowie rodziny, o których starano się nie pamiętać i których wspominano jedynie szeptem, zawsze byli lojalni wobec swojego króla.

Trzech kuzynów Verity walczyło właśnie we Francji, a gdyby ona urodziła się chłopcem, bez wahania także wstąpiłaby do wojska i

stała do walki za ojczyznę. Jako kobieta nie mogła włożyć munduru. Ale nie zmieniało to faktu, że odznaczała się śmiałością i odwagą i te cechy jej charakteru przyprawiły lady Billington o niejedną bezsenną noc. Gdyby teraz mogła zobaczyć ukrytą za parawanem bratanicę, na pewno byłaby zdziwiona, że Verity powstrzymuje się ze wszystkich sił, by nie wybiec za wychodzącymi z pokoju mężczyznami.

Cesarz...? Wellington...? Słowa zdawały się odbijać od ścian, wywołując w głowie Verity okropny zamęt. Zrozumiała, że zupełnie przypadkiem była świadkiem czegoś okropnego! I co z tym teraz zrobić?

W pierwszym odruchu chciała biec za cudzoziemcem. Mogła go przecież oskarżyć o szpiegostwo i dopilnować, aby trafił w ręce władz, ale zrezygnowała. Zatrzymano by go... i co dalej? Liczyła się z tym, że nikt nie będzie chciał dać wiary jej słowom i prawdę mówiąc, sama z trudem wierzyła w to, co się stało. Wiedziała, że cudzoziemiec może wszystkiemu zaprzeczyć. Na pewno miał przy sobie dokumenty wyglądające na autentyczne i śmiało mógł się upierać, że naprawdę jest szwajcarskim zegarmistrzem podróżującym w interesach.

Uznała, że należy skupić się na tym drugim mężczyźnie. Co prawda z jego słów wynikało, że jest tylko zwykłym posłańcem, ale gdyby zdołała zobaczyć jego twarz, policja, korzystając z rysopisu, mogłaby trafić do jego pana, który najwyraźniej był tu głównym winowajcą.

Postanowiła obejrzeć tajemniczego posłańca i już miała wyjść

zza parawanu, kiedy w pokoju ponownie rozległy się czyjeś kroki. Tym razem była to niechlujna, rozczochrana dziewczyna w brudnym fartuchu, która przyszła zebrać naczynia ze stołu. Swoją pracę wykonywała tak powoli, że Verity nie mogła patrzeć na jej niezdarne i ospałe ruchy. Zrozumiała jednak, że skoro gospodarz kazał sprzątnąć ze stołu, to znaczy, że posłaniec już zapłacił i zaraz odjedzie. Teraz każda sekunda była cenna. Powolna dziewczyna doprowadzała Verity do rozpacz. Musiała jednak cierpliwie czekać, bo wiedziała, jak ważne jest to, by jej obecność w tym pokoju została tajemnicą.

Sprzątanie ze stołu trwało całą wieczność, ale kiedy dziewczyna z tacą wreszcie wyszła, Verity błyskawicznie wróciła do sali i szybkim spojrzeniem obrzuciła znajdujących się w niej ludzi. Zobaczyła wszystkich poza Szwajcarem. Sądząc jednak z tego, że widziała Meg rozmawiającą z kimś, kogo ona sama z miejsca, w którym stała, nie mogła dostrzec, domyśliła się, że musi to być właśnie on. Meg nie wiedziała, czym naprawdę trudni się cudzoziemiec, zachowywała się więc zupełnie naturalnie. Niestety po posłańcu nie było śladu. Czyżby już odjechał?

Verity szybko zawróciła i pobiegła do drzwi znajdujących się na końcu korytarzyka, pomyślała bowiem, że powinny prowadzić na dziedziniec przy stajniach. Kiedy znalazła się na dworze, zauważyła, że czarne chmury zakryły niebo. Ale choć zrobiło się ciemno, wszystkie zabudowania były jeszcze dobrze widoczne. Omijając nieczystości i kałuże po wczorajszej ulewie, Verity ruszyła w kierunku stajni.

Dziedziniec robił wrażenie opustoszałego. Ale kiedy podeszła do stojącego przed wejściem do stajni powozu pocztowego, kątem oka dostrzegła woźnicę. Stał odwrócony do niej plecami i paląc krótkie cygaro, wpatrywał się w jakiś punkt przed sobą. Wydawało się, że jej nie słyszy, więc nie chcąc zwracać na siebie jego uwagi, na palcach przebiegła odległość dzielącą ją od stajni. Niestety stajnia okazała się pusta.

- A panienka czemu się tu zakrada?

Zaskoczona, podskoczyła, a kiedy się odwróciła, zobaczyła potężną sylwetkę woźnicy, który stanąwszy w drzwiach, odciął jej drogę ucieczki. To najbardziej irytujący człowiek, jakiego kiedykolwiek spotkałam, pomyślała rozdrażniona.

- Czyżby skradanie się i straszenie niewinnych młodych dam sprawiało ci jakąś perwersyjną przyjemność? - zapytała wyniosłym tonem.

Woźnica cisnął niedopałek cygara do kałuży, a potem skrzyżował ręce na piersiach i obrzucił ją bezczelnym, taksującym spojrzeniem.

- Zaczynam się zastanawiać, na ile panienka jest niewinna. I ciągle nie mogę zrozumieć, co panienka robi w powozie pocztowym.

Sposób, w jaki na nią patrzył i jak się do niej odzywał, doprowadzał ją do wściekłości. Żaden mężczyzna nigdy nie zwracał się do niej tak bezceremonialnie, ale to okropne indywiduum kierowało się najwidoczniej własnymi zasadami. Nie jego sprawa, jaki środek transportu sobie wybrała! Doprawdy ktoś powinien upomnieć

tego niewychowanego prostaka i przypomnieć mu, gdzie jego miejsce. Już miała powiedzieć, co myśli o jego zachowaniu, kiedy nagle przyszło jej do głowy, że on może coś wiedzieć.

- Jak długo byłeś na dworze? Widziałeś może, jak mężczyzna w szarym płaszczu opuszczał zajazd? - zapytała.

- A więc miałem rację! Okazało się, że panienka jednak uciekła z domu, a ukochany panienkę opuścił.

- Co za bzdury! - Cierpliwość Verity była na wyczerpaniu. Z trudem powstrzymała się, by nie trzepnąć woźnicy w ucho. - Nie mam czasu ani ochoty, żeby się tu z tobą przekomarzać, głupku! Odpowiadaj, kiedy cię pytam!

- Głupku? - powtórzył woźnica, a w jego głębokim, lekko schrypniętym głosie wyraźnie było słychać złość.

Trzema wielkimi krokami znalazł się tuż przy niej i zanim zdążyła cokolwiek zrobić, chwycił ją i bez wysiłku podniósł. Coraz bardziej wściekła, zażądała, aby ją natychmiast postawił na ziemi. Lecz on nie tylko nie posłuchał, ale nieoczekiwanie rzucił ją na stertę siana, a potem opadł na nią, przyciskając ją swoim ciężarem, tak że o ucieczce nie było mowy. Verity była tak wstrząśnięta skandalicznym zachowaniem woźnicy, że nawet nie zdążyła się przestraszyć. Próbując walczyć, uderzała go małymi piąstkami, ale on bez trudu chwycił i unieruchomił jej ręce, a potem przytrzymał je jedną ręką wysoko nad jej głową. Odwrócił od niej twarz i zdjął kapelusz. Verity dostrzegła gęste, lekko falujące włosy i to było wszystko, co zdążyła zobaczyć, bo druga ręka woźnicy zakryła jej oczy. Zła jak osa zaczęła

mu grozić, ale zamknął jej usta pocałunkiem.

Dopiero wtedy Verity przypomniała sobie ostrzeżenia ciotki, która wielokrotnie powtarzała, że nigdy nie wolno jej dopuścić do tego, by znalazła się sam na sam z mężczyzną, i zaczęła się bać. Dotarło do niej, że ten mężczyzna jest zbyt silny, by mogła mu się przeciwstawić, i zrozumiała, jak mądre były rady ciotki. Jednocześnie uświadomiła sobie, że woźnica zachowuje się nadzwyczaj delikatnie i używa wyłącznie tyle siły, ile trzeba, aby ją unieruchomić, nie czyniąc jej przy tym krzywdy ani nie sprawiając bólu. Musiała przyznać, że nawet jego namiętny pocałunek był delikatny. Wspaniale całował...

Nigdy dotąd żaden mężczyzna nie pozwolił sobie w stosunku do niej na tak wiele. Sytuacja, w jakiej się znalazła, była skrajnie kompromitująca, a jednak zamiast poczuć wstręt i oburzenie, Verity bezwolnie poddała się pieszczotom. Usta woźnicy zdawały się wprost stworzone dla jej ust. Gdy ją całował, miała wrażenie, że należy do niego, jak gdyby byli połączeni węzłem małżeńskim. Namiętny pocałunek rozbudził uspięne dotąd pożądanie. Verity zrozumiała, że nie chce, by nieznane wcześniej przyjemne uczucie podniecenia minęło.

- Teraz wiem, że panienska mówiła prawdę i że nigdy nikt panienska nie całował. Wydaje mi się jednak, że to się paniencie spodobało. - Woźnica puścił ją i zanim zdążyła otworzyć oczy, zakrył twarz szalem.

Szyderstwo w jego głosie bolało jak policzek. Całe zauroczenie prysło, a Verity, dotknięta i upokorzona, podniosła się z siana.

Przepęłniały ją odraza i gniew.

- Jak śmiesz traktować mnie jak jakąś dziwkę? - warknęła, otrzepując spódnicę z siana. - Poskarżę się na ciebie twoim przełożonym!

Dobrze wiedziała, że są to tylko groźby, bo nie będzie wnosić żadnej skargi. Ale musiała jakoś ukryć upokorzenie i zamęt, który zapanował w jej myślach. Woźnica najwidoczniej również o tym wiedział, bo roześmiał się i klęcząc, sięgnął po leżący na sianie trójgraniasty kapelusz.

Verity poczuła przemożną chęć zemsty. Jej oczy groźnie załśniły i nie mogąc się oprzeć pokusie, wymierzyła celnego kopniaka w jego wypięte siedzenie. Cios był celny i tak mocny, że woźnica zarył nosem w siano.

- Ty mała...! Poczekaj, niech cię dostanę w swoje ręce! - ryknął, ale Verity nie zamierzała czekać.

Jedna konfrontacja z tym potworem wystarczyła jej na całe życie. Ile sił w nogach pomknęła z powrotem do gospody i zatrzymała się dopiero w sali, w której siedzieli pozostali podróżni.

- Gdzie panienka była tyle czasu? - zapytała zaniepokojona Meg.
- Już miałam zacząć panienki szukać.

Nikt nawet nie przypuszczał, ile trudu kosztowało Verity przybranie nonszalanckiej pozy. Udało się jej jednak. Swobodnie usiadła przy stole.

- Och, Meg. Naprawdę jestem ci głęboko wdzięczna, że tak się o mnie troszczysz - powiedziała tak głośno, by siedzący przy sąsiednim

stole rzekomy zegarmistrz musiał ją usłyszeć. - Są jednak chwile, kiedy każdy potrzebuje prywatności, oraz miejsca, do których skromność nakazuje chodzić w pojedynkę. Właśnie jedno z takich miejsc znajduje się na dziedzińcu za gospodą.

Meg spiekła raka, a cudzoziemiec zakaszłał i sięgnął po kieliszek wina, co upewniło Verity, że oboje uwierzyli w jej wyjaśnienia.

Była to świetna okazja, by wciągnąć Szwajcara w rozmowę, Verity jednak ciągle się wahała. Do tej pory ignorowała go i obawiała się, że nagła zmiana zachowania może wzbudzić jego podejrzenia. Zresztą, szczerze mówiąc, nie czuła się w tej chwili na siłach, by prowadzić sprytne, dyplomatyczne dochodzenie. Nie doszła jeszcze do siebie po tym, co ją spotkało w stajni. Zabawa w kotka i myszkę wymaga skupienia i spokojnego umysłu, a ona była roztrzęsiona. Czuła jednak, że ma obowiązek dowiedzieć się o nim czegoś więcej.

Zanim wypić swoją kawę, która zdążyła już wystygnąć, problem rozwiązał się sam. Oznajmiono im bowiem, że przeszkoda blokująca przejazd została usunięta i natychmiast ruszają w drogę.

Wsiadając do powozu, pilnowała się, by nie unieść wzroku, lecz i tak wyraźnie czuła na sobie spojrzenie woźnicy. Musiał się dobrze bawić, widząc jej konsternację. Niech go diabli!

Dyliżans ruszył i pognał, podskakując na nierównościach drogi i niemiłosiernie trzęsąc nieszczęsnymi pasażerami. Verity nie miała wątpliwości, że woźnica stara się specjalnie dla niej! Trzymając się kurczowo uchwytu z taśmy, zastanawiała się, jak pozostali

pasażerowie mogą w takich warunkach drzemać.

Nawet Szwajcar zamknął oczy, uniemożliwiając jej tym samym jakąkolwiek rozmowę i zdobycie dodatkowych informacji o nim.

Wieczorem, kiedy wreszcie dojechali do Londynu, Verity była rozgoryczona i zła. Wysłała Meg na poszukiwanie dorożki i już miała wysiąść z powozu, gdy zauważyła, że nie ma torebki. Szukała, klnąc pod nosem, niezadowolona, że Szwajcar jej ucieknie. W końcu znalazła ją wciśniętą między siedzenia. Pozostali pasażerowie zdążyli już wyjść i Verity została sama. Chcąc jak najszybciej opuścić pojazd, postawiła nogę na schodkach i wtedy zauważyła, że usłudźnie wyciągnięta dłoń, na której chciała się wesprzeć, należy do woźnicy. W jego oczach błysnęła złośliwość i tego już Verity nie wytrzymała. Całą drogę znosiła jego okropne zachowanie, ale miarka się przebrała.

- Pozwolę sobie powiedzieć, że jesteś najordynarniejszym prostakiem, jakiego miałam nieszczęście spotkać! A poza tym w ogóle nie umiesz powozić! Każdy chłopak od gnoju byłby lepszym woźnicą niż ty! - powiedziała z brutalną szczerością, starając się nie ulec pokusie, by odtrącić jego wyciągniętą rękę. - A teraz bądź tak dobry i usuń z mojej drogi swoją nie zbyt pociągającą osobę.

Tak jak poprzednio woźnica wybuchnął śmiechem.

Verity chciała jeszcze coś dodać, ale on nagle chwycił ją i uniósł. Trzymał ją tak przez chwilę, bez żadnego wysiłku, a potem postawił na ziemi.

- Mała Verity Harcourt wyrosła na dużą panienkę i jak widzę, niespecjalnie przejmuje się tym, co inni o niej pomyślą. Mnie się to

podoba.

- Naprawdę myślisz, że... Impertynent! Co za tupet! Zamachnęła się torebką, ale woźnica zgrabnie odskoczył, unikając uderzenia, a ona ponownie musiała się zadowolić dumnym odwróceniem głowy. Godnym krokiem maszerowała przez dziedziniec, a szyderczy śmiech woźnicy dźwięczał jej w uszach, nie wiadomo który już raz tego dnia.

- Meg, nie zauważyłaś przypadkiem, w którą stronę po szedł ten cudzoziemiec? - zapytała, patrząc wokoło.

Niestety, Meg zajęta szukaniem dorożki, nie zwróciła na niego uwagi.

Verity uznała, że szukanie kogoś w tłoku, jaki panuje na londyńskich ulicach, nie ma sensu. Wsiadła więc do dorożki i podała adres ciotki.

- To przez tego diabelnego woźnicę! - wybuchnęła, obarczając go winą za zgubienie tropu cudzoziemca. - Gdybym była mściwa, bez wahania poskarżyłabym na tego prostaka jego przełożonym. Widziałaś, jak ten drań mnie podniósł?

- Przyznaję, że postąpił zbyt zuchwale. Ale wyraźnie zrobiła pani na nim ogromne wrażenie - odparła Meg, która była świadkiem zajścia. Nie udało się jej jednak do końca stłumić śmiechu.

- Już ja mu dam wrażenie! Co za impertynencja! Jeśli go jeszcze kiedyś spotkam... - Nagle uświadomiła sobie, że woźnica zwrócił się do niej po nazwisku, i bojowy okrzyk zamarł jej na ustach.

- Meg, on mnie zna! Wiedział, jak się nazywam - wyszeptała.

- Oczywiście. Sama mu powiedziałam. Jeszcze w zajeździe u

mojego wuja.

- Nie. Jestem pewna, że już kiedyś go spotkałam. Słyszałaś jego akcent? Wcale nie udawał. Musi pochodzić z Yorkshire. Kto to może być?

Rozdział trzeci

Lady Billington nie była rannym ptaszkiem i lubiła dłużej poleżeć. Ale kiedy miała w domu gości, nigdy nie jadła śniadania w łóżku. Jednak głównym celem jej porannej wizyty w jadalni było stanowcze przywołanie bratanicy do porządku, nie zaś dotrzymanie jej towarzystwa przy śniadaniu. Zatrudnienie pokojówki pod wpływem impulsu, bez wcześniejszego sprawdzenia jej referencji, to akt czystego szaleństwa. Ktoś musi to Verity wyjaśnić.

Dziewczyna ze spokojem przyjmowała słowa krytyki, ale kiedy ciotka przerwała, by napić się kawy, postanowiła się wreszcie odezwać.

- Nie czytała ciocia referencji Meg? - zapytała niemal obojętnie.
- Wczoraj wieczorem kazałam jej dopilnować, żeby je ciocia dostała. Jestem pewna, że ciocia znała lady Longbourne albo przynajmniej któregoś z jej znajomych. Mam wrażenie, że ciocia wszystkich zna.

- Owszem, poznałam kiedyś lady Longbourne, ale nie była to bliska znajomość. Co zaś do dokumentów twojej pokojówki, to przejrzałam je z samego rana. Wydaje się, że wszystko jest w porządku. Ale to nie zmienia faktu, że zaproponowałaś posadę zupełnie obcej osobie i nawet nie zadałaś sobie trudu, żeby obejrzeć

jej referencje. Drogie dziecko, nie można tak ulegać impulsom! Nie powinnam cię była wczoraj zostawiać. Nawet nie wiesz, jak się martwiłam! Przecież coś mogło ci się stać!

I stało się, pomyślała Verity, wbijając zęby w dopiero co wyjętą z pieca ciepłą bułeczkę posmarowaną masłem. Wróciła myślami do chwili, gdy weszła do położonej na uboczu gospody, ale nie dane jej było długo wspominać, co się tam wydarzyło, bo ciotka znów zaczęła mówić. Verity słuchała z grzeczności, wcale jej to jednak nie interesowało, co ciotka ma do powiedzenia.

- ...moja stara przyjaciółka Louisa Hickox powiedziała mi wczoraj wieczorem, że ten twój major Carter jest w mieście. Zatrzymał się w domu swojego przyjaciela Marcusa Ravenhursta na Berkeley Square.

- On nie jest mój - poprawiła Verity starszą panią z nutką surowości w głosie.

- Och przecież wiesz, co miałam na myśli. Odkryłam też, że major wyraźnie interesuje się trzema młodymi damami. Zupełnie, jakby miał zamiar się ustatkować. To całkiem niezła myśl. Tym bardziej że ma otrzymać tytuł, co wydaje się każdego dnia coraz bardziej prawdopodobne.

- Czy stryj Charles jest teraz w mieście? - zapytała Verity, pomijając milczeniem rewelacje na temat majora.

Ze wszystkich męskich przedstawicieli rodu Harcourtów Verity najbardziej upodobała sobie właśnie lorda Charlesa. Uważała, że inteligencją znacznie przewyższa pozostałych stryjów i kilka razy

ośmieliła się nawet zasugerować, jak wielka to szkoda, że nie będzie dziedziczył tytułu, bo byłby naprawdę wspaniałym księciem. Lady Billington wiedziała o tej sympatii, dlatego też nie poczuła się urażona pytaniem bratanicy.

- Przypuszczam, że tak. Wiesz przecież, że Charles kocha tylko swoją pracę i rzadko wyjeżdża z miasta. Pewnie dlatego się nie ożenił.

- Mam wrażenie, że dziś rano wszystkie twoje myśli krążą tylko wokół małżeństwa. A przecież człowieka mogą spotkać gorsze rzeczy niż to, że nie założy rodziny - stwierdziła Verity, wstając od stołu. - Nie widziałam stryja od roku, chcę mu złożyć wizytę.

- Dobrze, ale pamiętaj, że przed południem jesteśmy umówione z krawcową - przypomniała ciotka, której już powrócił dobry humor.

- Na pewno się nie spóźnię - obiecała Verity. - I jeszcze coś. Postanowiłam zadbać o zdrowie twojego pupila. Ten zwierzak ma za mało ruchu. Zabiorę go na spacer.

Lady Billington popatrzyła niepewnie na śpiącego w fotelu pekińczyka. Obawiała się, że podczas spaceru może się nagle zbuntować i ugryźć Verity w zgrabną kostkę, w konsekwencji czego zakończyłby pewnie swój żywot w wodach Tamizy. Otrząsnęła się jednak z tych ponurych wizji, patrząc, jak Verity wychodzi z domu w towarzystwie swojej pokojówki, a zadowolony Horace drepcze obok niej.

Odległość między rezydencją stryja Charlesa a eleganckim domem ciotki na Curzon Street można było przejść w ciągu zaledwie dwudziestu minut. Było to tak blisko, że kiedy stanęli pod drzwiami

stryja, nawet Horace nie był jeszcze zmęczony. Drzwi otworzył ponuro wyglądający osobnik, który najpierw dokładnie obejrzał Verity i jej modną, bladobłękitną suknię spacerową z dobraną kolorem peliską, a potem oświadczył, że jego pan dziś rano nie przyjmuje żadnych wizyt.

- Czyżby? - zapytała spokojnie Verity, a w jej oczach pojawił się stalowy błysk, tak dobrze znany jej ciotce i stryjowi. Ale kamerdyner nigdy wcześniej nie widział Verity i aż do chwili, kiedy odsunęła go z drogi i pewnym siebie krokiem weszła do holu, nie umiał właściwie zinterpretować wyrazu jej twarzy.

- Nie przyszłam tu z wizytą towarzyską. Proszę powiedzieć mojemu wujowi, że mam do niego bardzo pilną sprawę, która zajmie zaledwie kilka minut.

Kamerdyner umiał rozpoznać dobrze urodzoną panienkę. Usłyszał też determinację w jej głosie. Ale dopiero magiczne słowo „stryj” skłoniło go do złamania polecenia, które wydał mu jego pan.

- Jego lordowska mość ma w tej chwili gościa. Ale jeśli panienka zechce tu poczekać, poinformuję go o wizycie panienki. - Ukłonił się i otworzył przed nią drzwi do niedużego salonu z oknami wychodzącymi na ulicę.

Nie minęła minuta, a sługa wrócił, informując, że jego lordowska mość przyjmie panienkę od razu. Horacy został pod opieką Meg, a kamerdyner poprowadził Verity do biblioteki, gdzie za wielkim mahoniowym biurkiem siedział stryj Charles.

Wstał zza biurka i wyszedł jej na spotkanie.

- Za każdym razem, gdy cię widzę, jesteś coraz ładniejsza - powiedział, dobrodusznie cmokając ją w policzek. - Masz ochotę na szklaneczkę lemoniady?

- Nie, dziękuję. Wiem, że jesteś bardzo zajęty i nie chciałabym zajmować ci zbyt wiele czasu. Myślałam, że masz gościa - dodała, rozglądając się po pustym pokoju.

- Miałem...ale... wyszedł... przed chwilą. A ja nigdy nie jestem aż tak zajęty, żeby nie znaleźć czasu dla swojej ulubionej bratanicy.

Odprawił skinieniem ręki kamerdynera i poprosił Verity, by usiadła na krześle przy biurku.

- A jednak Clara zdołała cię ściągnąć do miasta. Nie przypuszczałem, że zobaczę cię biorącą udział w szaleństwach sezonu. - Uśmiechnął się, siadając w fotelu.

- W końcu uległam, ale wcale nie jestem pewna, czy będę się dobrze bawić. To się dopiero okaże - odparła oschle Verity. - Wczoraj wieczorem przyjechałyśmy z domu ciotki Clary w Kent. I właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać.

Verity zdawała sobie sprawę, że stryj od dawna zajmuje się polityką, nigdy jednak dokładnie nie rozumiała, co właściwie robi i na czym polega jego praca dla rządu. Wiedziała tylko, że w czasie kampanii hiszpańskiej wielokrotnie podróżował do Portugalii i Hiszpanii. I dobrze zna Wellingtona.

- W powozie ciotki Clary złamał się dyszel, a ponieważ nie chciałam jechać razem z jej psem i papugą, wsiadłam do wozu pocztowego - zaczęła i opowiedziała ze szczegółami wszystko, co

wydarzyło się w bocznej salce gospody. Jej rewelacje zdawały się jednak nie robić na starszym panu żadnego wrażenia.

- I co stryj o tym myśli? - zapytała nieco szorstkim tonem, zirytowana jego obojętnością.

- To... bardzo interesujące, moja droga. Ale myślę, że nie powinniśmy się tym przesadnie przejmować.

Verity popatrzyła na lorda Charlesa z niedowierzaniem. Jak taki mądry człowiek mógł powiedzieć coś równie głupiego?

- Czy stryj słyszał chociaż jedno słowo z tego, co mówiłam?

- Oczywiście, że słyszałem. Uspokój się dziecko - poprosił, widząc błysk gniewu w jej niebieskich oczach. - Zapewniam, że to, co mi powiedziałaś, zostanie przekazane... tam, gdzie należy. Musisz jednak wiedzieć, że bez przerwy dostajemy donosy o różnych podejrzanych o szpiegostwo osobach. Większość tych wiadomości okazuje się kompletnie idiotyczna. - Machnął z lekceważeniem ręką. - Najlepiej zapomnij, że to się w ogóle zdarzyło, i nie zaprzętaj tym już sobie ślicznej główki.

- Rozumiem - odparła Verity, bo wiedziała, że dalsza dyskusja jest bezcelowa. - Przepraszam, że zajęłam stryjowi cenny czas - dodała z nutką sarkazmu w głosie.

Lord Charles pomyślał, że najlepiej udawać, iż niczego nie zauważył, i uśmiechnął się.

- Nie ma o czym mówić, moja droga. Zawsze miło cię zobaczyć. Powiedz ciotce, że wkrótce ją odwiedzę. A jeśli będziesz miała jakiś wolny wieczór, może pozwolisz się zaprosić do teatru?

Z uśmiechem odprowadził bratanicę do drzwi, ale kiedy wrócił do biblioteki, na jego twarzy pojawił się niepokój. Podeszedł do okna i patrzył, jak Verity oddała się ulicą, dopóki nie znikła z pola widzenia.

- Zakładam, że słyszałeś całą rozmowę?

Drzwi prowadzące do małego pokoiku przylegającego do gabinetu otworzyły się szeroko i wysoki mężczyzna podeszedł do krzesła, na którym przed chwilą siedziała Verity.

- Owszem. Bardzo ciekawe i cenne informacje. Szkoda tylko, że pana bratanica nie widziała twarzy posłańca i że ja nie zauważyłem, aby ktoś odjeżdżał. Ale... nie przypuszczałem, że podczas tego nieplanowanego postoju ktoś może się skontaktować z małym Francuzem.

- Mieliliśmy szczęście, że Verity podsłuchiwała tę rozmowę. Choć wolałbym, żeby tego nie słyszała. Nie powiedziałaś słowa, że ją zabrałeś. - Lord Charles odwrócił się od okna i popatrzył na młodszego od siebie mężczyznę, który, swobodnie rozparty, siedział na krześle.

- Miałem wyraźne rozkazy, żeby nie zabierać nikogo, kto nie znajduje się na liście pasażerów. Ale nie mogłem jej tam przecież zostawić. - Smutny uśmiech pojawił się na ładnie wykrojonych ustach mężczyzny. - Zapomniałem, że pan i ona jesteście spokrewnieni. Muszę powiedzieć, że zmieniła się od czasu, kiedy ostatnio ją widziałem. Ledwo ją poznałem... - Pokręcił głową z niedowierzaniem.

- Ja też nie pamiętałem, że w Yorkshire mieszkałeś niedaleko Luciusa Redmonda.

- Niecałe trzy mile.
- Musieliście się dobrze znać. Jak myślisz, mogła cię rozpoznać?
- Jestem pewien, że Verity nie wie, kim jestem. Ostatnim razem, kiedy ją spotkałem, była właściwie jeszcze dzieckiem.

- Ale już nim nie jest i czasami potrafi być bardzo uparta. Nie wiadomo, co teraz robi... Powinienem był inaczej z nią rozmawiać - mruknął do siebie coraz bardziej zmartwiony lord Charles, a jego niepokój wyraźnie rozbawił gościa.

Lord Charles miał wszelkie powody, żeby się martwić. Bo choć Verity tego po sobie nie pokazała, czuła się urażona i była zła na stryja za obojętność, z jaką potraktował jej relację. Wcale nie była pewna, czy przekaze dalej to, co od niej usłyszał, nie mówiąc już o dopilnowaniu, aby podjęto jakieś kroki, żeby złapać francuskiego szpiega i zdrajców, którzy z nim współpracowali.

Mimo że w jej sercu szalała burza, Verity wydawała się zupełnie spokojna. Podczas wizyty u krawcowej, zajęta swoimi myślami, dość obojętnie oglądała bele pięknych tkanin. Cały czas myślała tylko o tym, że musi zrobić coś, co zmusi stryja, aby poważnie potraktował jej słowa. Ale co?

Czekając, aż lady Billington zdecyduje, czy jedna z jej nowych sukien ma być perłowszara, czy fioletowobrazowa, Verity rozważała, jak mogłaby przekonać stryja, że nie jest przewrażliwioną trzpiotką z ptasim mózdzkiem. Uniosła wzrok znad beli materiału i wtedy dostrzegła, że siedząca przy oknie młoda dama w bladozielonej sukni bacznie się jej przygląda. Nieznajoma miała ładną twarz i wesołe,

błyszczące, szarozielone oczy. Jednak tak bezceremonialne zachowanie było dość niegrzeczne i Verity już miała zmierzyć niewychowaną młodą kobietę wyniosłym spojrzeniem, kiedy tamta nagle wstała z krzesła i z gracją ruszyła w jej stronę.

- Proszę wybaczyć, że tak się pani przyglądam - powiedziała z uśmiechem. - Ale czy pani nie jest panną Harcourt... panną Verity Harcourt, która chodziła do szkoły miss Tinsdale w Bath?

- To ja - przyznała Verity, przyglądając się badawczo nieznajomej. - Elizabeth? - zapytała niepewnie. - Elizabeth Beresford?

Kobieta w bladozielonej sukni kiwnęła głową, a Verity pisnęła z radości i chwyciła ją w objęcia.

- Nigdy bym cię nie poznała - powiedziała z brutalną szczerością. - Jesteś taka szczuplutka!

- A ty się wcale nie zmieniłaś i nadal mówisz to, co myślisz. To była jedna z cech, za które cię zawsze podziwiałam.

Verity speszona przyglądała się dawnej przyjaciółce. To niesamowite, że pulchna, nieśmiała i dość nijaka dziewczynka wyrosła na tak uroczą młodą kobietę.

- Cieszę się, że znów cię widzę. Tyle lat minęło, odkąd opuściłaś szkołę. Pisałam do ciebie, ale nie odpowiadałaś. Bardzo żałowałam, że straciłyśmy kontakt.

Verity dostrzegła, że kiedy wspomniała o listach, przyjaciółka leciutko zmarszczyła brwi, ale nie zdążyła jej zapytać, co się stało, bo lady Billington postanowiła sprawdzić, czyj widok sprawił bratanicy taką radość.

Szybko przekonała się, że dawna szkolna koleżanka jest rozsądną, dobrze wychowaną młodą damą, i chętnie pozwoliła, aby Verity wybrała się z nią na przejażdżkę po parku. Poprosiła jedynie, by Elizabeth odwiozła potem Verity na Curzon Street.

Verity i Elizabeth usiadły wygodnie w otwartym powozie Elizabeth i zaczęły wspominać szkolne dzieje, aż wreszcie Verity poprosiła przyjaciółkę, aby opowiedziała, co robiła od chwili opuszczenia szkoły.

- Myślałam, że jesteś już mężatką. Byłaś przecież przyrzeczona synowi baroneta. Zawsze wydawało mi się to takie staroświeckie, ale ty wydawałaś się zadowolona... - Verity przerwała, widząc, jak uśmiech znika z twarzy Elizabeth. - Och, wybacz, proszę! Powiedziałam coś niewłaściwego?

- Ależ nie, nic takiego - zaprzeczyła Elizabeth ze sztucznym uśmiechem. - Rzeczywiście Richard i ja byliśmy sobie w pewnym sensie przyrzeczeni. Nasi ojcowie byli przyjaciółmi i marzyli, by połączyć swoje rodziny, żeniąc dzieci. Richard był gotów spełnić to życzenie... ale ja czułam, że do siebie nie pasujemy, i niestety nie byłam w stanie się podporządkować.

Mój ojciec zmarł, kiedy byłam w ostatniej klasie. Matka od razu chciała mnie zaręczyć z Richardem, a kiedy kategorycznie odmówiłam, nasze stosunki, które zresztą nigdy nie były za dobre, pogorszyły się do tego stopnia, że nie mogłyśmy dłużej przebywać pod jednym dachem. Uciekłam do Bristolu do babci. Od tamtej pory mieszkam więc z matką mojej matki. Ucieczka do babci była

najlepszą rzeczą, jaką w życiu zrobiłam. - Elizabeth uśmiechnęła się ciepło.

Verity stwierdziła, że jej dawna dość nijaka koleżanka zmieniła się nie do poznania, i to nie tylko z wyglądu.

- A więc nadal mieszkasz z babcią? - zapytała, patrząc na przyjaciółkę z mieszaniną podziwu i zdziwienia.

- Tak. Zostajemy w Londynie do końca przyszłego tygodnia, a potem jedziemy do Brukseli dołączyć do całej reszty, która już tam jest. Babcia upiera się przy tej podróży. Ostatnio nie czuje się najlepiej i nie mogę pozwolić, żeby sama ruszyła w tak daleką drogę. Babcia ma w wojsku chrześniaka, a ponieważ oboje jego rodzice nie żyją, chce być blisko na wypadek gdyby... - Elizabeth przerwała i ze smutkiem pokręciła głową. - A ja naiwnie wierzyłam, że po zesłaniu Napoleona skończą się te nonsensowne walki...

- Niestety tak się nie stało. - Verity westchnęła. - Ilu jeszcze młodych mężczyzn musi zginąć, zanim to się wreszcie zakończy? Pomyśl, ilu można by ocalić, gdyby... - Nagle zamilkła. Przez chwilę niezdecydowana przyglądała się przyjaciółce, a potem opowiedziała jej podsłuchaną w gospodzie rozmowę i pożałowała się na stryja, który nie przejął się jej relacją.

Elizabeth popatrzyła na nią z niedowierzaniem. Potem pochyliła się, stuknęła woźnicę parasolką w ramię i poleciła mu zatrzymać powóz. Młode damy postanowiły się przejść, by trochę rozprostować nogi.

- I co zamierzasz z tym zrobić? - zapytała Elizabeth, kiedy

oddaliły się od powozu.

- Dzięki Bogu! A już myślałam, że nikt mi nie uwierzy. - Verity odetchnęła z ulgą.

- Pamiętam, że zawsze byłaś uparta, i myślę, że to się nie zmieniło. Pamiętam też, że nigdy nie kłamałaś ani nie zmyślałaś. Dlatego ci wierzę. Wielka szkoda, że twój stryj nie potraktował cię poważniej, ale nie martw się, jeszcze nie wszystko stracone. Widać, że lord Charles jest bardzo ostrożny i nie zrobi nic, dopóki nie będzie przekonany, że ten Szwajcar rzeczywiście jest szpiegiem. W tej sytuacji nie pozostaje ci nic innego, jak tylko dostarczyć mu dowody na poparcie swoich słów.

- Ale jak to zrobić? Jedyna możliwość to pojechać do tego Little Frampington. A właściwie, dlaczego miałabym tego nie zrobić? - dodała, widząc zagadkowy błysk w oczach przyjaciółki. - Gdybym tylko zdołała wyjść z domu, nie budząc podejrzeń ciotki. Może ci się wydawać, że ona ma ptasi mózdzek, ale zapewniam cię, że to bardzo złudne wrażenie.

- W wyjeździe akurat mogę ci pomóc - zaproponowała Elizabeth, wprawiając Verity w osłupienie. - W piątek wieczorem moja babcia urządza przyjęcie. Zostaniesz na nie zaproszona. Twoje ciotka widziała, jaką radość sprawiło nam spotkanie, więc nie będzie niczego podejrzewała. W piątek wczesnym wieczorem wyślę po ciebie powóz, potem w mojej garderobie zmienisz ubranie i możesz ruszać w drogę. Żałuję, że nie mogę z tobą pojechać, ale muszę zostać na przyjęciu.

- Dlaczego miałabym zmieniać ubranie? - Verity była nieco zdeprimowana błyskawicznym rozwojem wypadków.

- Jak to? Nie możesz przecież jechać do Framlington i wejść do gospody w sukni balowej! Za bardzo byś się rzuciła w oczy. A poza tym młodej damie w żadnym razie nie wypada samotnie wyruszać na takie wyprawy. Musisz się przebrać za chłopaka! Ale nie martw się, załatwię ci przebranie i wynajmę konia.

- Jesteś cudowna! - Verity popatrzyła na dawną szkolną koleżankę z najwyższym szacunkiem. - Pojadę w prostym, podniszczonym męskim stroju. To doskonały pomysł! Sama nigdy bym na to nie wpadła.

- Zapominasz, że mam doświadczenie w tych sprawach. Pomyśl, jakim sposobem mogłam uciec z domu matki przed sześcioma laty? Choć uczciwie muszę przyznać, że miałam ze sobą moją starą niańkę, Aggie. Teraz jest moją osobistą pokojówką i okropnie zrędzi. Ale jest kochana i zrobi wszystko, o co ją poproszę. W piątek wieczorem Aggie będzie na ciebie czekała na rogu ulicy. Wprowadzi cię do domu tylnym wejściem, tak żeby nie zobaczył cię nikt ze służby. Potem przebierzesz się w mojej garderobie i Aggie zaprowadzi cię tam, gdzie będzie czekał osiodłany, gotowy do drogi koń. Kiedy wrócisz, ona znów będzie na ciebie czekała.

- O wszystkim pomyślałaś, mnie nie zostało już nic do zrobienia.

- Ty będziesz ryzykować własne życie - odparła z troską Elizabeth. - Bardzo żałuję, że nie mogę pojechać razem z tobą!

- Lepiej, żebym była sama. Muszę się tylko dowiedzieć, gdzie

znajduje się to Little Frampington. Jeśli się okaże, że daleko od Londynu, cały plan na nic.

- W domu mam mapy. Jedźmy do mnie i tam wszystko dokładnie omówimy - zaproponowała z powagą Elizabeth. - Nie muszę cię chyba ostrzegać, że ludzie, których tam spotkasz, mogą być niebezpieczni. Uważaj na siebie, bo nie chciałabym żałować, że ci pomogłam.

Rozdział czwarty

Z mapy Elizabeth wynikało, że miejscowość, w której Verity miałyby czatować na szpiega i jego wspólników, znajduje się godzinę drogi od Londynu. Był już piątkowy wieczór. Na razie wszystko przebiegało zgodnie z planem. Nawet pogoda zdawała się sprzyjać, bo było ciepło i sucho. A wynajęty koń okazał się mocny, spokojny i zdrowy. Verity czuła się zupełnie swobodnie w męskim ubraniu, musiało jednak minąć trochę czasu, zanim przyzwyczała się na powrót do męskiego siodła, w którym nie jeździła od lat. Mimo to dojechała na miejsce dość szybko.

Zatrzymała konia pośrodku wąskiej uliczki i niepewnie popatrzyła dokoła. Pierwszy raz nabrała wątpliwości w sens tego, co robi. Little Frampington było malutką osadą, składającą się z tuzina domostw wymagających natychmiastowej reperacji. Nie było nawet kościoła, a gospoda, jeśli w ogóle można to było nazwać gospodą, mieściła się w najbardziej zniszczonej i rozpadającej się chałupie. Patrząc na dziurawy dach, okna z powybijanymi szybami i drzwi z

dziurą, przez którą bez trudu mógłby się przedostać kot, Verity doszła do wniosku, że nie jest to miejsce, w którym mógłby szukać schronienia praworządny i w miarę inteligentny obywatel. Rudera wyglądała na złodziejską melinę będącą miejscem spotkań wszystkich okolicznych łotrów.

Verity nie miała konkretnego planu działania, ale po obejrzeniu gospody wiedziała, że do niej nie wejdzie. Oczywiście, najlepiej byłoby podsłuchać przynajmniej fragmenty rozmowy szpiega i jego współników. Rozsądek jednak podpowiadał jej, że najlepsze, co może zrobić, to poczekać i zobaczyć, kto przyjedzie na spotkanie, a potem dokładnie opisać stryjowi te osoby.

Zsiadła z konia i ruszyła w stronę stajni, która, choć nadgryziona zębem czasu, była w lepszym stanie niż gospoda. Tam zobaczyła parę pięknie dobranych, wspaniałych siwych koni, zaprzężonych do eleganckiego wyścigowego powoziku. Na jej widok jeden z nich cicho zarżał. Podeszła bliżej i pogłaskała go po lśniącej szyi. Dostrzegła przy tym, że pod jedwabistą grzywą koń ma czarne znamię w kształcie rombu.

- Co ty tam robisz? - usłyszała nagle ostry głos i serce podeszło jej do gardła.

Odwróciła się w stronę, z której dobiegło pytanie, i w głębi stajni dostrzegła ordynarnego mężczyznę siedzącego na drewnianym stołku. Trzymał w ręku duży nóż i łypiąc na nią podejrzliwie, strugał kawałek drewna.

- Nic - odparła, chrypiąc, w porę przypomniawszy sobie, że

przecież udaje młodego chłopca.

- Odsuń się od tych koni! Płacą mi, żebym ich pilnował - warknął mężczyzna, nie spuszczając z niej badawczego spojrzenia. - Co tu robisz? Nie jesteś stąd.

- Mam tu spotkanie - odparła Verity. Nieznajomy był wy raźnie nieufny, ale też ciekawy. Liczyła na to, że uda się jej to obrócić na własną korzyść. Pomyślała, że jeśli wciągnie go w rozmowę, będzie mogła zostać w stajni, skąd dobrze było widać wejście do gospody.

- Z kim masz się spotkać?

- Z wujem.

- A kim jest ten twój wuj, co? Może to Stary Pike Kłusownik? - Zarechotał ubawiony własnymi słowami. - No chłopcze, jak on się nazywa?

- Septimus Watts - odparła, mając nadzieję, że kamerdyner ciotki Clary nie miałby jej za złe, że posłużyła się jego nazwiskiem.

- Nigdy o takim nie słyszałem.

- Może pan nie słyszał, ale tu właśnie miałem się z nim spotkać.

Przed gospodą w Little Frampington.

Mężczyzna zarechotał głośniejszym niż poprzednio.

- Skoro tak, to lepiej ruszaj w drogę. Little Frampington jest jakąś milę stąd.

- Co takiego? Przecież przy drodze stał drogowskaz, że to tu.

- Tutaj jest Frampington. Całe życie tu mieszkam, więc chyba wiem lepiej. Little Frampington jest przy tej samej drodze, jakąś milę stąd - powtórzył.

Nie było powodów, żeby mu nie wierzyć, bo po co miałby kłamać? Verity bez słowa pożegnania, przeklinając pod nosem swoją głupotę, wyprowadziła konia ze stajni. Gotowa była przysiąc, że na mapie widziała tylko jedno Frampington. Ale może trzeba było się dokładniej przyjrzeć? Dopiero po chwili doszła do wniosku, że Frampington uznano pewnie za zbyt małe, aby je w ogóle umieszczać na mapie.

Nie tracąc ani chwili cennego czasu, wyjechała na wąską uliczkę. Licząc się z tym, że może zabłądzić, opuściła Londyn sporo wcześniej, ale teraz musiała już dochodzić ósma. Spróbowała popędzić konia, ale on niestety wyraźnie nie miał ochoty na galop. Zabudowania Little Frampington pojawiły się przed nią, gdy zegar na wieży kościoła kończył wybijać ósmą. Na przekór swojej nazwie Little Frampington okazało się o wiele większe od Frampington.

Verity od razu dostrzegła gospodę, znajdującą się dokładnie naprzeciwko kościoła. Wprowadziła konia do pustej stajni, w której stał tylko jeden duży gniadosz. Wszystko wskazuje na to, że zdążyłam, pomyślała z ulgą. Chyba że szpieg i jego wspólnik przybyli piechotą.

Budynek gospody był dobrze utrzymany i wyglądał bardzo czysto i porządnie. Tym razem Verity nie miała oporów, aby wejść do środka. Sala jadalna dobrze świadczyła o pracowitości i sumienności gospodarza. Na dużym kominku płonął przyjemny ogień, szara kamienna podłoga była zamieciona, a stoły lśniły czystością.

Za ladą młoda kobieta w nieskazitelnie czystym białym fartuchu

obsługiwała klientów. Verity podeszła, szybkim spojrzeniem obrzuciła siedzących przy stołach mężczyzn i stwierdziła, że wszyscy sprawiają wrażenie ludzi, którzy po ciężkiej pracy wpadli na kufelek piwa. Czy to z którymś z nich miał się spotkać fałszywy zegarmistrz? Jeszcze raz dyskretnie przesunęła wzrokiem po gościach. Ogorzałe, osmagane wiatrem i deszczem twarze zdradzały ludzi pracujących na świeżym powietrzu. Żaden nie wyglądał na współnika szpiega. Chyba że któryś jest w przebraniu. Przypomniała sobie, że w stajni stoi koń, a to znaczy, że ktoś z obecnych jest przyjezdny.

- Co mogę panu podać?

Verity o mało nie poprosiła o kieliszek ratafii, ale na szczęście w porę przypomniała sobie, kim teraz jest, i zamówiła kufel piwa. Uśmiechając się, choć piwo wcale jej nie smakowało, oparła się o ladę z nadzieją, że zachowuje się jak pewny siebie młodzieniec.

- Macie bardzo porządną gospodę - pochwaliła.

- Dziękuję panu. Rodzice lubią, żeby było czysto i porządnie - odparła dziewczyna, a Verity zrozumiała, że rozmawia z córką właścicieli, co mogło okazać się pomocne.

- Jest doskonale utrzymana, lepiej niż większość tych, które widziałem. Macie tu pokoje gościnne czy obsługujecie tylko miejscowych?

- Mamy pokoje, choć nieczęsto zdarzają się goście, którzy tu nocują. To miejsce leży na uboczu, z dala od głównych szlaków, i niewielu podróżnych nas odwiedza. Akurat dzisiaj jeden pokój jest zajęty. Zamówił go pewien dżentelmen. - Dziewczyna rozejrzała się

po sali, ale nie dostrzegła gościa z pokoju. - Najwidoczniej zjadł już kolację i wrócił na górę.

Ciekawe, czy to zdrajca, umówiony na spotkanie ze szpiegiem, czy zupełnie niewinny podróżny, pomyślała Verity, ryzykując kolejny łyk miejscowego piwa.

- Moja ciotka trochę podróżuje po kraju, ale nie lubi głośnych i zatłoczonych zajazdów leżących przy głównych szlakach. Woli spokojne i ciche miejsca, jak to. Macie tu prywatną salkę jadalną? Bo obawiam się, że nigdy nie zdecydowałyby się na jedzenie we wspólnej sali.

- Mamy, na piętrze. Niestety nie mogę jej panu teraz pokazać. Została wynajęta na dzisiejszy wieczór i dżentelmeni zaczną już wkrótce się zjeżdżać. To stali goście, często się tu spotykają.

Pociągając kolejny łyk z kufła, Verity stwierdziła ze zdziwieniem, że piwo staje się coraz smaczniejsze. Wiadomości uzyskane od córki gospodarzy okazały się bezcenne. Rano przekaze je stryjowi. Gospodę trzeba będzie wziąć pod obserwację, choć zanim szpieg i jego wspólnicy znowu się spotkają, może minąć trochę czasu. Co jednak zrobić z dzisiejszym spotkaniem?

Verity czuła, że trafiła na coś ważnego. Za pierwszym razem stryj Charles nie potraktował jej informacji poważnie. Ale jutro, kiedy usłyszy, czego się tutaj dzisiaj dowiedziała, na pewno zmieni zdanie. Wiedziała, że musi zdobyć dowody winy fałszywego Szwajcara, i z determinacją zacisnęła usta. Siedząc przy ladzie, mogła widzieć każdego, kto pójdzie na górę, ale teraz uznała, że samo obejrzenie

spiskowców to za mało. Chciała się dowiedzieć czegoś więcej. Spotykali się tu przecież po to, żeby porozmawiać. Kto wie, może będą sobie przekazywać jakieś cenne informacje, a może coś planować? Aby to usłyszeć, musi się ukryć w salce na piętrze.

Zerknęła na drzwi, za którymi najprawdopodobniej były schody prowadzące na górę, i dostrzegła, że są uchylone. Wahala się przez chwilę, a potem dyskretnie ruszyła w ich kierunku. Jednym spojrzeniem oceniła, czy nikt na nią nie patrzy, i błyskawicznym ruchem wślizgnęła się za drzwi. Tak. Za drzwiami był mały korytarzyk i schody prowadzące wprost na piętro.

Ostrożnie ruszyła na górę i po chwili stanęła na ciemnym podeście. Jedyne światło, jakie tu dochodziło, padało z małego okna w końcu korytarza. Był on dość długi, a po obu stronach Verity dostrzegła kilka par drzwi. Ostrożnie nacisnęła klamkę najbliższych i zajrzała do środka. Była to nieduża, schludna sypialnia. Drugie drzwi też prowadziły do sypialni, ale za trzecimi znalazła pomieszczenie, którego szukała. Salka była już przygotowana. Okna zasłonięto grubymi kotarami i zapalono świece, których ciepłe światło tworzyło we wnętrzu miłą atmosferę. Na stojącym pośrodku pokoju stole czekała butelka i kieliszki, ale gości jeszcze nie było. Verity obrzuciła pomieszczenie szybkim spojrzeniem i stwierdziła, że nie ma się tu gdzie schować.

Rozczarowana, ale bynajmniej nie zniechęcona, zamknęła cicho drzwi do salki i stojąc na korytarzu, zastanawiała się, co robić dalej. Rozejrzawszy się uważnie, zauważyła, że drzwi po przeciwnej stronie

i nieco dalej, w głębi korytarza, są uchylone. Gdyby udało jej się tam schować, miałyby doskonały widok na wszystkich wchodzących do wynajętej salki. A potem mogłyby się podkraść i podsłuchiwać pod drzwiami.

Niedomknięte drzwi mogły prowadzić do sypialni gospodarzy albo ich córki, pomyślała jednak, że gdyby nawet tak było, to o tej porze żadne z nich na pewno nie położy się spać. Postanowiła zaryzykować!

Otworzyła drzwi i z wahaniem postąpiła krok do środka. Zaciągnięte kotary ledwo przepuszczały resztki dziennego światła, mimo to dostrzegła stojące pod ścianą łóżko. Na szczęście było puste. Odetchnęła z ulgą i zrobiła kolejny ostrożny krok, gdy nagle bardziej wyczuła, niż zobaczyła, że w pokoju coś się poruszyło.

Zanim zdążyła zareagować, jakaś ręka chwyciła ją mocno w pasie, a ogromna dłoń zakryła jej usta, tłumiąc wzbierający w gardle okrzyk pełen przerażenia. Dobry Boże...! Zapomniała o gościu, który wynajął pokój!

Mężczyzna, który ją trzymał w żelaznym uścisku, zamknął kopniakiem drzwi. Verity szamotała się rozpaczliwie, bezskutecznie próbując się uwolnić. Silna ręka nadal obejmowała ją w talii, a dłoń, zakrywająca usta, przyciskała jej głowę do twardej piersi tak mocno, że czuła ciepło potężnego, męskiego ciała przenikające przez jej chłopięce ubranie. Nagle mężczyzna puścił ją i zrzucił jej z głowy zniszczony męski kapelusz. Jedwabiste rude loki rozsypały się na ramiona.

- Tak właśnie myślałem - warknął dziwnie znajomy głos z silnym akcentem. Verity nie była jednak w nastroju do zgadywania, do kogo ten głos należy.

Przerażona tym, co napastnik może z nią zrobić, wykorzystwała chwilę, gdy dłoń zakrywająca jej usta trochę poluzowała uchwyt, i z całej siły wbiła w nią drobne białe ząbki. Usłyszała zduszone przekleństwo. Rzuciła się do drzwi, ale silne ramię znowu ją schwytało. Tym razem została podniesiona.

Trzymając ją pod pachą jak worek ziarna, mężczyzna podszedł do łóżka. Usiadł na nim i położywszy ją sobie na kolanach, twarzą w dół, wymierzył jej pół tuzina klapsów w siedzenie, nie zwracając uwagi na jej krzyki. Kiedy skończył, po prostu zrzucił ją z kolan, a ona, obolała i upokorzona, spadła na podłogę, tłukąc się boleśnie.

Nikt nigdy nie śmiał jej uderzyć. Nawet jej własny ojciec nie podniósł na nią ręki.

Siedząc na podłodze, czuła, jak narasta w niej złość i urażona duma. Zapomniała o strachu. Odrzuciła z twarzy potargane włosy i spojrzała na brutala, który ośmielił się tak okropnie ją potraktować. Mając oczy pełne łez, nie widziała go zbyt dokładnie, ale zsunięty na oczy trójgraniasty kapelusz, gruby szal zasłaniający dolną część twarzy i obszerny, szary płaszcz okrywający wysoką, mocno zbudowaną sylwetkę napastnika nie pozostawiały wątpliwości.

- To ty! - wykrztusiła zdławionym szeptem, nie wierząc własnym oczom.

- Jak widzisz. I dziękuj opatrności, że to ja, a nie kto inny.

Gdyby to był na przykład nasz mały Francuz albo któryś z jego kompanów, miałabyś więcej powodów do płaczu niż tylko bolące siedzenie. I nie wycieraj nosa rękawem!

- Nie mam chusteczki - mruknęła ponuro.

Woźnica podał jej swoją chustkę. Verity przyjęła ją, wytarła oczy i nos. Ale kiedy wyciągnęła rękę, żeby oddać chusteczkę, woźnica popatrzył z obrzydzeniem na zmiętą białą kulkę i odmówił jej przyjęcia.

- Może ją panienka zatrzymać. I niech na przyszłość przypomina panience, żeby nigdy już nie robić tak diabelnie głupich rzeczy.

Potem skrzyżował ręce na piersiach i przyjrzał się jej ubraniu.

- Nie przypuszczała chyba panienka, że ten strój może kogokolwiek zmylić. Jest panienka zdecydowanie zbyt ładna, że by udawać chłopaka.

Verity zignorowała komplement i popatrzyła na niego z urazą.

- A co miałam zrobić? Nie mogłam przecież zjawić się tu w swojej sukni, prawda?

- W ogóle nie powinna tu była panienka przyjeżdżać!

- Wcale by mnie tu nie było, gdyby mój stryj poważnie potraktował informacje, które mu przekazałam! - odparła, dochodząc powoli do siebie. - A ty co tu robisz? - zapytała, patrząc na niego uważnie. Ciekawość sprawiła, że na chwilę zapomniała o bolącym siedzeniu i urażonej dumie. - Tylko udawałeś woźnicę, aby mieć Szwajcara na oku, prawda?

- Żaden z niego Szwajcar. To Francuz. Jeden z najlepszych agentów Napoleona.

- Pracujesz dla lorda Charlesa? - zapytała Verity, nie spuszczać z woźnicy baczego spojrzenia.

- Mówiąc dokładnie, w tej chwili pracuję z lordem Charlesem. A spotkanie, o którym panienka mówiła, ma się odbyć o dziewiątej, nie o ósmej. Córka gospodarzy była tak miła, że sama mi o tym powiedziała. Jeśli informacje panienki mają być pomocne, muszą być dokładniejsze.

Verity mogłaby przysiąc, że mężczyźni umawiali się na ósmą. Za wszelką cenę chciała więc udowodnić, że jej obecność tutaj nie była wyłączną stratą czasu.

- Dowiedziałam się, że ci panowie spotykają się tutaj nie pierwszy raz. W tej sytuacji może warto wziąć gospodę pod obserwację. - Podniosła z podłogi zniszczony męski kapelusz i popatrzyła na drzwi. - Będę już wracać do Londynu. Skoro ty tu jesteś, moja obecność jest zbędna.

- Nigdzie panienka nie pojedzie! - warknął. - Zostanie panienka razem ze mną, a kiedy nasi przyjaciele odjadą, odwiozę panienkę do Londynu. Mamy czas, więc proszę usiąść wygodnie. - Poklepał miejsce na łóżku obok siebie. - Nie wiadomo, jak długo przyjdzie nam czekać.

- Osobiście postarałeś się o to, żebym nie mogła siedzieć - syknęła, posyłając mu mordercze spojrzenie.

- Panienka w pełni na to zasłużyła - odparł obojętnie. - Zawsze

była panienka uparta i rozpieszczona i musiała postawić na swoim. A najgorsze, że prawie zawsze dostawała panienka to, czego chciała. Gdyby przed laty Redmond lepiej panienkę wychował, nie miałbym teraz tych problemów. Niestety nie zrobił tego i coś mi mówi, że taka nieznośna smarkuła jeszcze nieraz przysporzy nam kłopotów.

Verity była na niego zła, ale bardzo chciała wiedzieć, kim jest.

- Znasz mojego wuja Luciusa i kiedyś już się spotkaliśmy, prawda? Powiedz, kim jesteś!

- Rzeczywiście znam go dosyć dobrze, a i panienkę także widywałem w Yorkshire. Ale na razie lepiej, żeby panna nie wiedziała, kim jestem. Powiedzmy, że jestem... Woźnicą.

Takie załatwienie sprawy nie zadowalało Verity, ale nie zdążyła dowiedzieć się niczego więcej, bo na korytarzu rozległy się czyjeś kroki i rozbawione głosy. Woźnica położył ostrzegawczo palec na ustach i podniósł się z łóżka.

Nie robiąc najmniejszego hałasu, błyskawicznie znalazł się przy drzwiach, co przy takim wzroście i budowie było godne podziwu. Nasłuchiwał przez kilka sekund, a potem uchylił drzwi i przyłożył oko do szpary. Teraz głosy stały się wyraźniejsze. Żaden z nich nie miał cudzoziemskiego akcentu. Po chwili drzwi do salki zostały zamknięte. Woźnica odwrócił się i spojrzał na Verity z podejrzanym błyskiem w oczach.

- Jeżeli przyjechałem taki kawał drogi tylko po to, żeby obejrzeć sobie spotkanie jakichś głupców...

- O co ci chodzi? Coś nie tak? Nie było z nimi Francuza?

- Nie było, dlatego muszę tam zajrzeć. Na wypadek gdyby panienska postanowiła uciec, zamykam drzwi na klucz. Zanim zdążyła zareagować, było za późno. Wszystko zawrzało w niej z oburzenia i urazy. Już ona pokaże temu wstrętnemu brutalowi! Nie miał prawa jej tu zamykać! Wściekła, podeszła do drzwi z zamiarem głośnego wzywania pomocy. Na szczęście rozsądek zwyciężył. Opanowała się, bo przecież takie krzyki mogły zaalarmować mężczyzn zgromadzonych w salce po drugiej stronie korytarza. Poza tym bała się, że jeśli zrobi zamieszanie, Woźnica może wrócić i ponownie przełożyć ją sobie przez kolano.

Urażona i wściekła z powodu swojej bezsilności, podeszła do łóżka. Już miała na nim usiąść, gdy nagle jej wzrok padł na kwieciste zasłony.

Rozsunęła je pośpiesznie i obejrzała okno. Nie było zbyt duże, ale wystarczające, żeby mogła się przez nie przedostać. Otworzyła je i choć na dworze było już ciemno, dostrzegła spadzisty daszek tuż poniżej. Szybko ukryła włosy pod kapeluszem i precyzyjnie się przez okno, znalazła się na daszku. Ostrożnie dotarła do jego krawędzi i skoczywszy na dużą drewnianą beczkę stojącą na ziemi, bez problemu znalazła się na dole.

Ruszyła w stronę stajni, ale zaledwie zrobiła kilka kroków, ktoś z rozmachem otworzył drzwi za jej plecami. Stała w nich córka gospodarzy. Verity odetchnęła z ulgą.

- Myślałam, że już dawno pan odjechał. - Dziewczyna uśmiechnęła się przyjaźnie do przystojnego „młodzieńca”. - Muszę

zanieść ten kosz z jedzeniem jednej starszej pani - wyjaśniła, równając krok z Verity.

- Na mnie też pora - mruknęła Verity niskim głosem. - Przeszedłem się trochę po waszej wiosce i jestem pewien, że ciotka z przyjemnością zatrzyma się tu na noc.

- To miłe i spokojne miejsce. Przykro mi, że nie mogłam panu pokazać salki na piętrze. Ale stary pułkownik Hanbury to dziwak. Kiedy ją wynajmuje, nie pozwala nikomu tam wchodzić. Byłby zły, gdyby do niego doszło, że pana wpuściłam.

- Pułkownik Hanbury? - zapytała Verity.

- To ma być sekret, ale wszyscy w okolicy i tak wiedzą. - Dziewczyna ściszyła głos do konspiracyjnego szeptu. - To znaczy wszyscy oprócz ich żon. Pułkownik, pastor i stary doktor spotykają się tu dwa razy w miesiącu, żeby pograć w karty. Ich żony nie pochwalają gry, więc panowie dla świętego spokoju umawiają się tutaj w tajemnicy przed nimi.

Verity jęknęła w duchu. Była pewna, że kiedy Woźnica dowie się, kogo obserwował, wpadnie w szal. Pewnie pomyśli, że specjalnie naprowadziła go na fałszywy ślad... Jak miała udowodnić, że to nieprawda? Im szybciej stąd zniknie, tym lepiej!

Błyskawicznie pożegnała córkę gospodarzy, wyprowadziła konia ze stajni i krzywiąc się, usiadła w siodle.

Powrotna droga do Londynu była denerwująca i okropnie niewygodna. Za każdym razem, gdy słyszała odgłos zbliżających się końskich kopyt, truchlała ze strachu, obawiając się, że to Woźnica.

Spoglądając przez ramię, bała się ujrzeć powiewający szary płaszcz i groźnie zmarszczone brwi. Dopiero kiedy dotarła do Londynu i ze zdumieniem odkryła, że ulice ciągle jeszcze pełne są jeźdźców i powozów, poczuła się bezpieczna i zdołała się trochę odprężyć.

Przygnębiona i nieszczęśliwa podjechała pod dom Elizabeth. Tak świetnie wszystko zaplanowały, pomyślała rozżalona. A okazało się, że wizyta w Little Frampington była stratą czasu. Niepotrzebnie się męczyła.

Nie rozumiała, co się stało. W którym miejscu popełniła błąd? Mogła pomylić godzinę spotkania, ale przecież nie pomyliła miejsca. Francuz powiedział wyraźnie Little Frampington...

I wtedy przypomniała sobie, że jego słowa brzmiały inaczej. Powiedział: „Leetle Leetle Frampington”.

Och, nie! Zrozpaczona zamknęła oczy, przeklinając w duchu swoją głupotę. Frampington było dużo mniejsze niż sąsiednie Little Frampington, i to właśnie tę nędzną dziurę Francuz musiał mieć na myśli. Spotkanie odbyło się w obskurnej ruderze, do której nie odważyła się wejść! Miała ochotę krzyknąć ze złości. Tyle czasu i wysiłku! I co z tego miała? Obolałe pośladki i nic więcej.

Rozdział piąty.

- Przestań się wreszcie tym zamartwiać. Nie możesz się obwiniać. Przecież nic więcej nie mogłaś zrobić!

Od zakończonej niepowodzeniem wyprawy do Little Frampington minął już prawie tydzień, ale Verity nie mogła przestać o

niej myśleć. Spodziewała się wizyty stryja Charlesa, który na pewno miał jej za złe marnowanie czasu jego współpracownika. Stryj jednak ani się nie pojawił, ani nawet nie przysłał żadnego listu. Uważała, że to dosyć dziwne, bo Woźnica na pewno poinformował go, kto i w jakim celu odbywał spotkania w gospodzie w Little Frampington.

- Masz rację, Elizabeth. Nic więcej nie mogłam zrobić - przyznała Verity, uśmiechając się blado. - Przebywanie w moim towarzystwie było ostatnio mało zabawne. A już jutro wyjeżdżasz do Brukseli. Ciekawe, kiedy się znów spotkamy?

- Obawiam się, że nie nastąpi to w ciągu kilku najbliższych miesięcy. Ale tym razem nie dopuszczę, żebyśmy straciły kontakt.

- Kiedy byłam w ostatniej klasie, dostałam od ciebie jeden list - powiedziała Verity. - Odpisałam ci, a potem wysłałam jeszcze kilka, ale nigdy na nie nie odpowiedziałas.

Poprzednio, kiedy Verity wspomniała o listach, Elizabeth milczała, tym razem jednak okazała się bardziej rozmowna.

- Po śmierci ojca odeszłam ze szkoły i wróciłam do domu, ale nie wytrzymałam z matką długo. Jak wiesz, zamieszkałam z babcią, a matka nie przesłała mi żadnego twojego listu. Byłam niemądra, bo pomyślałam, że o mnie zapomniałaś. Ale obiecuję, że nie powtórzę tego błędu. Nie znam adresu, pod którym zatrzymam się w Brukseli, ale zaraz po przyjeździe napiszę do ciebie i podam wszystkie szczegóły. A kiedy wrócimy, musisz nas koniecznie odwiedzić w Bristolu - oczywiście jeśli do tej pory nie będziesz jeszcze zaręczona.

- Elizabeth uśmiechnęła się prowokująco.

- Tego nie musisz się obawiać, moja droga. - Verity skrzywiła się z niesmakiem.

- Wydaje mi się, że kiedy byliśmy w szkole, mówiłaś o kimś, kto ci się podobał - przypomniała Elizabeth. - Byłaś w nim chyba nawet zakochana.

- To była szczenięca miłość. - Verity niecierpliwie machnęła ręką. - Na szczęście teraz mam więcej rozumu - dodała, marszcząc brwi.

Zjadliwy ton tej odpowiedzi sprawił, że Elizabeth ponownie się uśmiechnęła.

- Nie pamiętam, jak on się nazywał, ale powiedz mi, co się stało? Co zrobił, że aż tak go nie lubisz?

- Nazywał się Brin Carter... obecnie major Carter - odparła Verity po chwili milczenia. - Przyznaję, że kiedyś darzyłam go uczuciem, ale wtedy byłam młoda i raczej głupia, skoro uważałam go za wspaniałego człowieka.

- Brin...? Co za niezwykle imię!

- Jego dziadek ze strony matki miał na nazwisko Brinley. Rodzice skrócili je do Brin i tak mu dali na imię.

- I co takiego zrobił ten Brin Carter?

- Och, właściwie nic wielkiego. Kiedyś uważałam, że jestem w nim zakochana, ale on nie odwzajemniał moich uczuć. Kochał się w córce miejscowego bogacza. Angela Kingsley była eteryczną piękną z twarzą anioła i z cudowną figurą, za które niejedna kobieta sprzedałaby duszę, ale miała serce lichwiarza. Próbowałam

otworzyć mu oczy na to, jaka jest naprawdę ta jego cudowna Angela, ale bezskutecznie. Usłyszałam jedynie, że jestem zepsuta i mściwa i że ktoś powinien mnie w końcu nauczyć dobrych manier.

Verity zaśmiała się gorzko.

- Mówiąc w skrócie, podczas kampanii hiszpańskiej Brin walczył za kraj. W tym czasie jego ukochana Angela, która przyrzekła na niego czekać, wyszła za mąż za bekę sadła na zywającą się sir Frederick Morland. Twierdziła oczywiście, że rodzina ją do tego zmusiła, ale nie wiem, czy Brin jej uwierzył. Nie widziałam go od pięciu lat.

Elizabeth zamyśliła się. Milczała przez dłuższą chwilę. Już jako dziewczynka była obdarzona niezwykłą spostrzegawczością, a teraz, po wysłuchaniu opowiadania przyjaciółki, nabrała wątpliwości, czy major Carter jest jej naprawdę tak obojętny, jak twierdzi. W końcu przez tyle lat nie zainteresowała się żadnym innym mężczyzną...

Ale Verity kategorycznie zaprzeczyła.

- Niech ci się nie wydaje, że przez ten cały czas leczyłam złamane serce, bo tak nie było! Po prostu dorosłam. Jestem mądrzejsza i nie lokuję już swoich uczuć tam, gdzie nikt ich nie pragnie i nie odwzajemnia.

- Mówisz o tym tak lekko, ale podejrzewam, że musiałaś czuć się głęboko zraniona.

Verity nie odpowiedziała. Kończąc spacer, w milczeniu podeszły do czekającego w cieniu powozu.

- Wezmę Meg i wrócę do domu pieszo. Żegnaj, kochana, i

uważaj na siebie. - Verity pospiesznie uściskała przyjaciółkę.

- Będę uważać, ale powiedzmy raczej - do zobaczenia. I obiecuję mi, że przestaniesz się zamartwiać sprawą Little Frampington. Nie pozwól, żeby to jedno niepowodzenie zepsuło ci cały pobyt w Londynie. Pamiętaj też, że nie wolno ci dopuścić, aby dawne rozczarowanie stało na przeszkodzie związkowi z dżentelmenem, który będzie wart twojego uczucia.

Verity nie zdołała powstrzymać smutnego uśmiechu.

- Zastanowię się nad małżeństwem, jeśli spotkam kogoś, z kim mogłabym być szczęśliwa i kto byłby szczęśliwy ze mną. Wątpię jednak, by ktoś taki mógł się kryć wśród szykownych młodzieńców, których spotkałam od przyjazdu do Londynu. Możesz być pewna, że moje ego nie ucierpi, jeśli po sezonie w Londynie wrócę do Yorkshire bez narzeczonego!

Elizabeth wsiadła do powozu i odjechała, a Verity, machając jej ręką, uświadomiła sobie, jak wiele spraw musi przemyśleć. Zawsze trudno nawiązywała przyjaźnie. Niewielu ludzi darzyła szacunkiem, a jeszcze mniej prawdziwym uczuciem. Czy to dlatego, że przed laty zraniono ją i odtrącono jej uczucia? Niemożliwe! Przecież już dawno przeboleła Brina Cartera. Od lat prawie o nim nie myślała. Ale musi przyznać, że trzymała na dystans młodych wolnych mężczyzn, jacy się koło niej pojawiali. Czyżby uważała ich wszystkich za głupków? A może w ten sposób chciała się ustrzec przed kolejnym rozczarowaniem?

To ostatnie pytanie nie dawało jej spokoju. Pograżona w

przygnębiających rozmyślaniach, nie zwracała uwagi na drepczącą obok niej Meg ani na elegancki powóz sunący wolno aleją. Z zamyślenia wyrwał ją dopiero wysoki, przenikliwy głos, wołający ją po imieniu. Uniosła wzrok i zobaczyła Hilary Fenner, córkę najbliższego sąsiada wuja Luciusa.

Ale to nie widok sąsiadki sprawił, że jej serce nagle zabiło jak oszalałe. Verity patrzyła na siedzącego w powozie mężczyznę o szerokich barach. Mrugała powiekami, jakby nie wierząc, że to naprawdę żywy człowiek, a nie wytwór jej wyobraźni.

- Wiedziałam, że jesteś w Londynie, i zastanawiałam się, czy na siebie wpadniemy! Tylko popatrz, kto był tak dobry i zaprosił mnie na przejażdżkę swoim wspaniałym zaprzęgiem! Pamiętasz Brina, prawda? - Hilary była życzliwa, ale wysoki ton jej głosu na dalszą metę był nie do zniesienia.

Verity spojrzała prosto w uśmiechnięte oczy Brina i dostrzegła w nich niepokojący błysk. W skrytości ducha musiała przyznać, że czas obszedł się z nim łaskawie i że jest tak samo zabójczo przystojny jak przed pięcioma laty. A może nawet bardziej, bo zmarszczki w kącikach oczu i dołeczki po obu stronach ładnie wykrojonych zmysłowych ust dodawały jego twarzy charakteru.

Serce wciąż biło jej mocno i gardziła sobą za to, że wystarczył jeden jego uśmiech, by na nowo była nim oczarowana. Myślała, że już dawno uodporniła się na jego urok. Ale skoro nie, to trudno. Musi się przemóc i oprzeć tej słabości.

- Pana twarz wydaje mi się znajoma, ale nie mogę sobie

przypomnieć, kiedy i gdzie mogliśmy się spotkać - powiedziała, chcąc udowodnić, że jest jej obojętny.

- Och, Verity! - Panna Fenner roześmiała się. - Jak mogłaś zapomnieć? Tak bardzo lubiłaś Arthura Brinleya. A Brin jest przecież jego wnukiem.

Obserwując twarz Brina, Verity z satysfakcją dostrzegła, że poczuł się urażony, iż ktoś mógł go zapomnieć.

- Oczywiście! Proszę mi wybaczyć, ale od naszego spotkania minęło tyle lat - odparła z uśmiechem.

- Rzeczywiście, to było dosyć dawno - przyznał aksamitnym głosem. - Była pani wtedy jeszcze niemal dzieckiem. I pozwolę sobie dodać, że niewiele się pani zmieniła.

Verity rzuciła mu ostre spojrzenie, przypuszczając, że ostatnie zdanie nie miało być komplementem, ale zanim zdążyła wymyślić jakąś ciętą ripostę, Hilary zmieniła temat rozmowy.

- Wybierasz się jutro na przyjęcie do lady Morland? Brin i ja tam będziemy.

Zapowiada się wesoły wieczór, pomyślała Verity. Ciekawe, czy to będzie pierwsze spotkanie Brina z ukochaną Angelą, od kiedy została żoną potwornie grubego baroneta? Szybko spuściła oczy, by nie mógł w nich dostrzec złośliwych iskierek, i wtedy zauważyła zaprzężoną do powozu parę doskonale utrzymanych siwych koni.

Beztronski nastrój prysł. Verity była pewna, że już wcześniej widziała te konie. Podeszła bliżej i przesunęła dłonią po smukłej szyi. Bez trudu znalazła czarne znamię w kształcie rombu ukryte pod

jedwabistą grzywą. Wszystko się zgadza, tylko co Brin Carter robił w piątkowy wieczór w rozpadającej się obskurnej gospodzie?

Uniosła głowę i dostrzegła jego baczne spojrzenie.

- Nie jestem pewna, jakie plany ma na jutro lady Billington. Ale jeżeli zostałyśmy zaproszone do lady Morland, to bez wątpienia wieczorem spotkamy się na przyjęciu. Nie będę was dłużej zatrzymywać. - Verity uśmiechnęła się do Hilary i z trudem spojrzała w oczy Brina. - Bez wątpienia trudno panu zmuszać tak piękne konie do dreptania w miejscu.

- Nie mogę przyznać pani racji, bo to stawiałoby mnie w bardzo kiepskim świetle. Mogłaby pani pomyśleć, że rozmowa z nią jest dla mnie mniej ważna niż dobro moich koni.

- Miałby pan rację, wybierając konie, bo nieczęsto widuje się tak piękne stworzenia.

- Rzeczywiście, są wyjątkowo piękne - przyznał Brin, nie odrywając od niej wzroku. Przy czym w jego spojrzeniu było tyle ciepła, że Verity zamarła, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Nie odpowiedziała na wesołe pożegnanie i w milczeniu patrzyła, jak powóz rusza, a po chwili kryje się wśród wielu innych i niknie jej z oczu.

Odwróciła się na pięcie i zdecydowanym krokiem ruszyła w stronę wyjścia z parku. W głowie miała zupełny mętlik i znowu nie bardzo słuchała, co Meg do niej mówi. Kiedy jednak pokojówka chwyciła ją za ramię, zatrzymała się.

- O co chodzi, Meg?

- Idzie pani w złą stronę, panienko.

- Idę do stryja Charlesa. Postanowiłam złożyć mu wizytę - wyjaśniła, a z jej głosu można było wywnioskować, że perspektywa tej wizyty zbytnio jej nie cieszy.

Kamerdyner lorda Charlesa serdecznie zaprosił ją do środka, a potem poszedł poinformować swego pana o jej wizycie. Tym razem także nie musiała długo czekać, już po chwili została poproszona do biblioteki.

Stryj siedział jak zwykle za wielkim mahoniowym biurkiem, zajęty pisaniem listu. Na jej widok nie okazał najmniejszego zdziwienia, ale też nie uśmiechnął się, jak to miał w zwyczaju. Verity poczuła, że nie jest dobrze.

Po chwili lord Charles dokończył list, posypał go piaskiem, i dopiero wtedy powoli podszedł do miejsca, w którym stała.

- Ciekaw byłem, moja młoda damo, ile czasu zajmie ci zebranie się na odwagę, aby tu przyjść i przeprosić za swoje skrajnie nierozsądne zachowanie.

- Przeprosić? - powtórzyła zaskoczona Verity, czując, że zaczyna w niej wzbierać gniew. - Pozwoliłeś, bym myślała, że nie podejmiesz żadnych działań związanych z informacjami, które ci przekazałam. Dlatego uważam, że jeżeli w ogóle ktoś tu powinien przeproszać to ty, stryju, a nie ja!

Starszy pan popatrzył na nią z namysłem.

- Zaczynam się zgadzać z moim współpracownikiem, który twierdzi, że najwyższa pora, aby ktoś wziął cię wreszcie w karby -

powiedział spokojnie.

- Jeśli stryj ma na myśli to wstrętne indywiduum, które zostało wysłane do Little Frampington, to będę wdzięczna, jeśli mu stryj powtórzy ode mnie, aby swoje głupie uwagi zachował dla siebie!

- Rozumiem, że podczas spotkania wynikła między wami... pewna... różnica zdań - odparł spokojnie lord Charles, choć kąciki jego ust niebezpiecznie zadrżały.

- Można to tak nazwać - przyznała Verity, z trudem opanowując złość. - To zwyczajny brutal i prostak!

Starszy pan sięgnął do kieszeni i wyjął misternie zdobioną tabakierkę.

- On również nie wypowiadał się o tobie w samych superlatywach. Nie spodobało mu się, że wróciłaś do Londynu sama, nie czekając na niego. Poza tym podejrzewa, że wszystko to wymyśliłaś i że nie było żadnego spotkania.

- To nieprawda! - zawołała coraz bardziej zła i urażona. - Nigdy nie przyszedłabym do ciebie z wymyśloną historią. Wiesz, że tego bym nie zrobiła!

- Oczywiście, kochanie. Wiem - zapewnił pospiesznie. - W tej sytuacji mogę jedynie przypuszczać, że spotkanie zostało odwołane albo że źle usłyszałaś, gdzie i o której ma się odbyć.

- Usłyszałam dobrze, ale potem mylnie zinterpretowałam informację - przyznała i zawstydzona, słowo po słowie, po wtórzyła rozmowę szpiega i mężczyzny w ciemnym płaszczu.

Lord Charles słuchał z uwagą, a kiedy Verity wyznała, że jej

zdaniem spotkanie odbyło się o ósmej wieczorem, w tym mniejszym Frampington, przyznał jej rację kiwnięciem głowy.

- Ale to jeszcze nie wszystko. Najgorsze jest to, że ja tam byłam. Początkowo pojechałam w dobre miejsce. Byłam pod tą rozpadającą się gospodą, ale nie odważyłam się wejść do środka. Myślę, że każdy, kto zamierza przekroczyć jej próg, powinien być porządnie uzbrojony! Natomiast zajrzałam do stajni i zobaczyłam parę pięknych siwych koni zaprzęzonych do wyścigowego powoziku. Od razu mnie zastanowiło, co właściciel takich koni może robić w tym zakazanym miejscu... A niecałą godzinę temu, w parku, ponownie widziałam ten zaprzęg.

- Jesteś pewna, że to te same konie? - zapytał stryj, przenikliwym wzrokiem wpatrując się w jej twarz.

- Absolutnie. Jeden z nich, a być może oba, ma na szyi pod grzywą czarne znamię w kształcie rombu.

- Znasz nazwisko osoby, która jechała tym powozem?

- To niejaki major Brin Carter - odparła niechętnie.

Ręka stryja Charlesa, wędrująca z odrobiną tabaki w stronę nosa, zatrzymała się na chwilę.

- Bardzo ciekawe - mruknął.

- Znasz majora Cartera, stryju?

- Oczywiście. Major Carter to bardzo dzielny żołnierz. W Hiszpanii zdobył cesarską chorągiew z orłem wieńczącym drzewce, a w bitwie pod Badajoz został ciężko ranny. W dowód uznania za męstwo i waleczność awansowano go na majora. Sam Wellington ma

o nim bardzo wysokie mniemanie. Musisz wiedzieć, że nawet Francuzi szanują naszych żołnierzy noszących zielone mundury strzelców, choć niechętnie się do tego przyznają.

- Znam wyczyny majora Cartera. W Yorkshire jest traktowany jak bohater. Dlatego tak trudno było mi tutaj przyjść i powiedzieć ci o tych koniach. Uwielbiałam jego dziadka, Arthura Brinleya. Nie widziałam świata poza nim. A choć jego wnuka nie darzę wielkim szacunkiem, nie wierzę, żeby mógł być zdrajcą.

- Wielu zdradziło swój kraj. Pieniądze to bardzo silna pokusa.

- Masz rację, stryju. Tym bardziej nie wierzę w zdradę majora. Jego dziadek miał tkalnie, które przynosiły ogromne dochody. Był bardzo zamożnym człowiekiem, a Brin to wszystko po nim odziedziczył. Z drugiej strony... nie mogę przestać zastanawiać się, co robił w tej obskurnej gospodzie we Frampington, dokładnie wtedy, kiedy miało się odbyć tamto spotkanie. Oczywiście może się okazać, że pożyczył komuś konie, ale... - Verity przerwała i kręcąc głową, wstała z krzesła. - Muszę wracać do domu, bo ciotka Clara zacznie się o mnie martwić.

Lord Charles jak zwykle zaprezentował nienaganne maniery i także wstał z fotela.

- Dziękuję ci, dziecko, że tu przyszłaś. Twoje informacje mogą być niezmiernie ważne.

- Mam nadzieję, że tak będzie, bo bardzo chciałabym okazać się pomocna. I obiecuję, że nigdy więcej nie będę się sama włóczyć nocą po drogach - dodała, widząc srogie spojrzenie starszego pana. -

Gdybym mogła się do czegoś przydać, powie mi stryj, dobrze?

Tego samego wieczoru lord Charles zjadł w domu kolację, a potem udał się do swojego klubu. Usiadł do kart ze znajomymi dżentelmenami, ale cały czas czujnie zerkał na drzwi, sprawdzając, kto wchodzi i wychodzi. Z czasem w salach zaczęło się robić coraz tłoczniej, jednak stojący w kącie zegar zdążył wybić północ, zanim ten, kogo lord Charles miał nadzieję spotkać, stanął w drzwiach.

Mężczyzna był nienagannie ubrany. Miał na sobie czarną smokingową marynarkę i obcisłe, płowożółte spodnie, podkreślające muskulaturę jego długich nóg. Rozejrzał się po sali i usiadł przy jedynym wolnym stoliku. Lord Charles dokończył grę, a potem podziękował partnerom i przysiadł się do człowieka, na którego czekał.

- Miałem nadzieję, że cię tutaj dzisiaj spotkam. Widzę, chłopcze, że znowu byłeś na jakimś przyjęciu. Gdzie tym razem?

- Wieczorek u lady Gillingham. - Mężczyzna wzniosł oczy do nieba. - Wytrzymałem nawet grę panny Gillingham na harfie. Ale kiedy jakiś niezbyt urodziwy i zezowaty młodzian zaczął recytować swoje beznadziejne wiersze, uciekłem.

- Moja bratanica, Verity, też unika takich wieczorków jak zarazy. Jestem pewien, że w innych okolicznościach moglibyście się polubić. Ale skoro już o niej mówimy, to chcę ci po wiedzieć, że odwiedziła mnie dzisiaj po południu.

Towarzysz lorda Charlesa sięgnął do butelki, którą kelner postawił na ich stoliku, i nalał wina do dwóch kieliszków.

- Naprawdę? Ciekawe, co ta mała małpka knuje tym razem.

- Wydaje mi się, że moja Verity ciągle jest u ciebie w niełasce.

A kiedy z nią rozmawiałem, odniosłem wrażenie, że i ona za tobą nie przepada. Co takiego zaszło między wami w tej gospodzie w Little Frampington? - zapytał lord Charles, patrząc w szelmowsko błyszczące oczy młodszego mężczyzny.

- Aha, więc tego ci nie powiedziała.

- Tego nie, ale i tak dowiedziałem się czegoś ciekawego - odparł lord Charles i nie bawiąc się w dalsze uprzejmości, powtórzył, co usłyszał od Verity.

- Skoro rozpoznała ten zaprzęg dziś w parku, to może rozpoznała osobę, która nim powoziła?

- Rozpoznała, i to jest w tym wszystkim najciekawsze. Bo zaprzęgiem powoził niejaki major Brin Carter. - Lord Charles uśmiechnął się smutno.

Młodszy z rozmówców gwizdnął przez zęby.

- Masz rację. To naprawdę ciekawe! Ta wiadomość może się okazać punktem zwrotnym w naszej sprawie. Dawno już czekaliśmy na coś takiego.

- Może. - Lord Charles nie spuszczał wzroku z młodszego mężczyzny. - Znalazłem się w niezręcznej sytuacji, ale muszę wiedzieć, czy ten zaprzęg rzeczywiście należy do majora Cartera, a jeśli tak jest, to czy tamtego wieczoru nie pożyczał go przypadkiem któremuś ze swoich przyjaciół.

- Zaprzęg rzeczywiście należy do niego - odparł bez wahania

rozmówca lorda Charlesa i wyjął z kieszeni kilkakrotnie złożoną kartkę. Rzucił papier na stół, a lord Charles podniósł go i przeczytał, unosząc wysoko brwi.

- No proszę! Moja mała bratanica odkryła coś, czemu warto przyjrzeć się trochę bliżej. Ta dziewczyna ma świetny zmysł obserwacji. Gdyby była chłopcem, mógłbym to wykorzystać. Szkoda, że jest kobietą.

- W przeciwieństwie do ciebie ja wcale tego nie żałuję i uważam, że dobrze byłoby znaleźć dla niej jakieś zadanie. Chociażby po to, żeby nie miała czasu wtrącać się w nasze sprawy.

- Masz jakiś pomysł?

- Wydaje mi się, że... zdradziecki major powinien się znaleźć pod obserwacją. A któż mógłby lepiej wykonać to zadanie niż pańska urocza bratanica?

- Do czego zmierzasz?

- Zapewniam, że moje plany są jak najbardziej honorowe. Wydaje mi się jednak, że panienka Verity powinna dużo przebywać w towarzystwie majora.

- A więc o to chodzi. - Lord Charles uniósł kieliszek w niemym toastcie. - Życzę ci szczęścia w walce o serce mojej bratanicy. Powinienem cię jednak ostrzec, że Verity nie przepada za majorem.

- Zabawne, że o tym wspomniałeś, bo ja również odniosłem takie wrażenie. Myślę, że chodzi o jakieś dawne dziecinne żale czy urazy. Mimo wszystko wierzę, że w końcu zmieni zdanie. Nie martw się, osobiście tego dopilnuję!

- Ani przez chwilę w to nie wątpię. I uważam, że będziesz dla niej idealnym partnerem. Ale na razie bądź ostrożny. Verity nie jest głupia. Gdyby przypadkiem wymknęło ci się coś na temat poprzedniego właściciela tych koni, kto wie, co mogłaby zrobić... Nie chciałbym, żeby coś jej się stało. To moja ulubiona bratanica.

- Proszę się nie martwić, sir. Będę się nią opiekował. Muszę wyznać, że ta niesforna psotnica podbiła także moje serce. A sądzę, że nie jest to dla pana zaskoczeniem.

Rozdział szósty

Od swojego przyjazdu do Londynu lady Billington i Verity prawie wszystkie wieczory spędzały poza domem. Zaledwie dwa razy nie skorzystały z żadnych zaproszeń i spokojnie zjadły kolację we własnym domu. Lady Billington dziwiła się trochę uległości bratanicy, bez protestów godzącej się na uczestnictwo w różnych wieczorkach, balach i przyjęciach, jednak bardzo się z tego cieszyła. Ale choć codziennie gdzieś wychodziły, miała wrażenie, że Verity nie bawi się tak dobrze, jak powinna, a jej myśli błądzą gdzieś daleko.

Tym większe było jej zaskoczenie, żeby nie powiedzieć ulga, gdy spostrzegła entuzjazm, z jakim bratanica powitała dzisiejsze wyjście na przyjęcie do lady Morland. Lady Billington wiedziała, że lady Morland pochodzi z Yorkshire. Była więc skłonna przypuszczać, że Verity spodziewa się w jej domu spotkać wielu znajomych i stąd jej nagłe ożywienie. Meg dostała za zadanie ułożyć staranniejszą niż zazwyczaj fryzurę. Kręcąc rude jedwabiste włosy swojej pani,

zastanawiała się, czy te wyjątkowe zabiegi nie są przypadkiem spowodowane osobą pewnego dżentelmena, który wczoraj w parku zatrzymał swój zaprzęg i rozmawiał z panienką Verity.

Meg wcale nie miała racji, ale nie mogła przecież wiedzieć, że przyczyną, dla której jej pani tak chętnie wybiera się na dzisiejsze przyjęcie, jest krótki liścik otrzymany kilka godzin wcześniej.

Cała służba lady Billington bardzo lubiła Verity. Łatwo ją było zadowolić, nie stroiła fochów i nie zajmowała im czasu kapryсами i żądaniami. A to, że od przyjazdu do miasta wzięła na siebie obowiązek wyprowadzania na spacer rozpieszczonego i leniwego pekińczyka starszej pani, sprawiło, że pokochali ją jeszcze bardziej. Verity chodziła z psem do Green Parku. Nie było to eleganckie ani modne miejsce. Pasły się tu krowy i pełno było nianiek z małymi hałaśliwymi chłopcami, którzy mogli się tam swobodnie wybiegać. A jednak Horace polubił park i po powrocie ze spaceru do końca dnia był zawsze spokojniejszy i mniej kłopotliwy.

Verity, jak co rano, była na spacerze z psem, kiedy zupełnie niespodziewanie stryj Charles złożył wizytę w domu swojej siostry przy Curzon Street. Niestety odjechał, zanim wróciła, ale zostawił dla niej krótki liścik.

Moja droga Verity!

Ze słów twojej ciotki wynika, że wybierasz się dzisiaj na przyjęcie do domu sir Fredericka Morlanda. Proszę, byś poświęciła mi kilka chwil swojego czasu i spotkała się ze mną o dziesiątej wieczorem w ogrodzie, gdzie będziemy mogli porozmawiać bez

świadków.

Twój C.H.

Zastanawiając się, co skłoniło stryja do napisania tego listu, uznała, że jedynym powodem mogła być sprawa francuskiego szpiega. Pomyślała, że dochodzenie musiało posunąć się do przodu i stryj pragnie z nią o tym porozmawiać. Oczywiście wydało jej się też, że poprosił o spotkanie w ogrodzie, gdzie nikt nie będzie ich mógł podsłuchać.

Nie posiadała się z radości na myśl, że zaufał jej na tyle, by informować o rozwoju sprawy. Bo skoro aż tak jej ufał, to kto wie, może poprosi ją także o dalszą pomoc.

Ani przez chwilę nie pomyślała, że lord Charles chciałby z nią porozmawiać o czymś innym, niezwiązanym ze szpiegowską aferą. Uszczęśliwiona perspektywą ekscytującej współpracy ze stryjem, ku wielkiej radości ciotki dosłownie tryskała dobrym humorem.

- Widzę, że wprost nie możesz się doczekać dzisiejszego przyjęcia i bardzo się z tego cieszę - powiedziała z uśmiechem lady Billington. - Domyślam się, że dosyć dobrze znasz lady Morland. O ile się nie mylę, zanim wyszła za mąż za sir Fredericka, należała do twoich najbliższych sąsiadek?

- Rzeczywiście mieszkała bardzo blisko. Powiedziałabym nawet, że za blisko. - Verity skrzywiła się.

Ciekawe, pomyślała zaintrygowana lady Billington. Do tej pory przypuszczała, że to spotkanie z uroczą lady Angelą tak cieszy jej bratanicę. Najwidoczniej jednak Verity nie przepadała za dawną

sąsiadką. Lecz dzisiaj lady Billington nie zamierzała przejmować się takimi drobiazgami. Wiedziała, że Verity potrafi być uparta i że według znajomych czasami zachowuje się w niemożliwy do przewidzenia sposób. Nie chciała nawet myśleć, co mogła wyczyniać w Yorkshire, na odludziu! Ale znajdując się w towarzystwie, nigdy nie dała jej powodu do wstydu i zawsze zachowywała się bez zarzutu.

Po chwili powóz zatrzymał się przed domem sir Fredericka i panie wysiadły. Verity z wdziękiem przywitała się z gospodarzami, nie zdradzając nawet mrugnięciem powiek swego braku szacunku do lady Morland. Za to gospodyni, zdaniem lady Billington, przyglądała się Verity zdecydowanie za długo, demonstrując tym samym wyraźny brak dobrych manier.

Podczas pierwszej godziny przyjęcia Verity dużo tańczyła. Obojętne, czy były z ciotką na balu, przyjęciu czy na raucie, nigdy nie uskarżała się na brak partnerów do tańca. Każdy młody mężczyzna pragnął ją poprosić, a lady Billington patrzyła z dumą, jak bratanica wiruje wdzięcznie po parkiecie, nigdy nie myląc kroku.

Verity zawsze uważała, aby jednego wieczoru nie zatańczyć dwa razy z tym samym partnerem. Lady Billington obserwowała to ze smutkiem i nie była zaskoczona, kiedy jej bratanica odmówiła tańca młodzianowi, z którym zaledwie kilka minut temu była na parkiecie. Dżentelmen skłonił się i odszedł, a Verity została na krzeselku obok ciotki i wyglądając na zupełnie zadowoloną, rozglądała się po pełnej ludzi sali.

- Ciekawe gdzie ukrywa się stryj Charles? Nigdzie go nie widzę?

- Nie miałam pojęcia, że Charles tu będzie! - Lady Billington nie kryła zdumienia. - Widziałam się z nim dziś rano, ale nie wspomniał słowem, że przyjdzie. Może jest w pokoju karcianym, po przeciwnej stronie korytarza.

Verity rzuciła okiem na zdecydowanie zbyt ozdobny zegar stojący na kominku. Do wyznaczonego spotkania brakowało zaledwie kilku minut. Wiedząc, że stryj ma bzika na punkcie punktualności, przypuszczała, że czeka już na nią w ogrodzie. Uznała więc, że najwyższa pora, aby i ona się tam znalazła.

Powiedziała ciotce, że po tych wszystkich tańcach jest zmęczona i że koniecznie musi się czegoś napić. Wstała z krzesła i udała się w stronę stołu, gdzie służący w liberii rozlewał do szklaneczek dość wodnisty poncz.

Tańcząc z jakimś młodym dżentelmenem, doskonale zorientowanym w rozkładzie domu, Verity dowiedziała się dokładnie, jak dojść do ogrodu. Tak więc teraz bez żadnych trudności odnalazła drzwi prowadzące do oranżerii, przez którą można było się dostać do ogrodu.

Verity ukryła się za dużą palmą, rosnącą w donicy i wyglądając przez szpary między liśćmi, sprawdziła, czy nikt na sali na nią nie patrzy. Upewniwszy się, że jej zniknięcie nie zwróciło niczyjej uwagi, wśliznęła się szybko za aksamitną kotarę.

Po gorącej i dusznej sali balowej powietrze w oranżerii wydało się jej chłodne. Zadrzała, a na odkrytej skórze ramion, między długimi rękawiczkami i krótkimi, bufiastymi rękawami ślicznej sukni z

szafirowego jedwabiu, pojawiła się gęsia skórka. Dyskretnie sprawdziła, czy w oranżerii nie skryły się jakieś pary spragnione chwili samotności, ale na szczęście było pusto. Otworzyła drzwi i wyszła do ciemnego ogrodu.

Unosząc odrobinę spódnice, Verity przeszła kilka kroków wysypaną żwirem ścieżką. Dalej nie chciała iść, bojąc się, że po ciemku może się o coś potknąć i podrzeć piękny materiał. Ukryty za chmurami księżyc nie dawał wiele światła, ale choć wokół było całkiem ciemno, Verity dostrzegła z lewej strony czarne kształty dużych krzewów i coś, co mogło być amorkiem z marmuru.

Po cichu, niepewnie zawołała stryja, ale odpowiedziała jej cisza. Pomyślała, że być może stryj nie przybył na spotkanie zatrzymany jakimiś ważnymi sprawami, i już miała wracać do środka, gdy nagle dostrzegła po swojej prawej stronie jakiś ruch i świecący czerwony punkcik.

- Kto to? Kto tam jest? - zapytała lekko drżącym głosem, zdradzającym niepokój.

- Nie bój się, panienko.

Verity od razu poznała, do kogo należy ten lekko ochrypły głos z wyraźnym akcentem z Yorkshire. Wiedziała, że to Woźnica, jeszcze zanim pojawił się na ścieżce, kiedy mogła już dostrzec znajomy trójgraniasty kapelusz i obszerny szary płaszcz. Rozdrażniona i zła, odwróciła się na pięcie i ruszyła z powrotem w stronę oranżerii, ale Woźnica błyskawicznie ją dogonił.

Chwycił ją za ramiona i przyciągnął do szerokiej piersi.

- Nie szarp się, dziewczyno, bo podrzesz tę śliczną sukienkę - poradził z rozbawieniem w głosie, a Verity poczuła gwałtownie narastającą wściekłość.

Z bliżej nieokreślonych powodów w obecności tego okropnego człowieka nigdy nie była w stanie zapanować nad swoimi nerwami.

- W takim razie puść mnie, ty... ty barbarzyńco!

- Cicho. Nie chcesz chyba, żeby wszyscy w środku cię usłyszeli i przybiegli sprawdzać, co się stało? Przyszedłem tu, bo mam dla ciebie wiadomość, ale jeżeli narobisz hałasu, będę musiał uciekać przez płot i nie dowiesz się, co miałem ci przekazać.

Unieruchomiona, nie mogąc uwolnić się z jego silnego uścisku, przypomniała sobie upokarzające chwile z ich ostatniego spotkania. Rozzłościło ją to jeszcze bardziej i kiedy się wreszcie odezwała, w jej głosie wibrowała wściekłość.

- Słucham, co miałeś mi przekazać?

Czuła, jak przyspiesza jej puls. Złościła się na siebie, że bliskość tego mężczyzny tak silnie na nią działa i że nie umie nad tym zapanować. Woźnica był wysoki i silny i wiedziała, że mógłby z nią zrobić, co tylko by zechciał, a ona nie byłaby go w stanie powstrzymać. A jednak wcale się go nie bała. Kobięcy instynkt mówił jej, że on nigdy nie robi jej krzywdy i że przy nim może się czuć zupełnie bezpieczna.

- Dlaczego mój stryj sam tu nie przyszedł? - zapytała słabym głosem, starając się nie zwracać uwagi na ciepły, lekko pachnący tytoniem oddech muskający jej policzek.

- Odwiedził go niezapowiedziany gość, więc wysłał mi wiadomość, żebym tu przyszedł zamiast niego.

- Bądź więc tak dobry i przekaż mi ją wreszcie, żebym mogła wrócić do środka. Zimno mi - powiedziała łagodnie.

- Myślałem, że moje towarzystwo dostatecznie panienkę rozgrzewa - szepnął ochryłym głosem, a potem delikatnie chwycił zębami płatek jej ucha.

- Niech pan natychmiast przestanie! - rzuciła ostro, starając się ukryć zakłopotanie i rozkoszne drżenie, jakie przebiegło całe jej ciało.

- Od pierwszej chwili pozwala pan sobie wobec mojej osoby na zbyt wiele. Nie jest pan dżentelmenem, sir!

- Mogę nim być, jeśli zechcę - odparł beznamiętnym tonem.

- Miałam okazję przekonać się o tym na własnej skórze - prychnęła rozzłoszczona. - Uważam, że należy pan do najgorszego gatunku mężczyzn... którzy wykorzystując swoją przewagę, terroryzują słabszych i znęcają się nad nimi.

- Rozumiem, że ciągle jeszcze ma panienka żal za tamte klapsy. Zapewniam, że nic gorszego nie spotka panienki z mojej strony. A zrobiłem to jedynie dlatego, że panienka na to w pełni zasłużyła! Samotna wyprawa do Frampington była głupia i ryzykowna. Ludzie, których ścigamy, są gotowi na wszystko.

- Dobrze o tym wiem! Nie jestem idiotką! - zasyczała bynajmniej nie uspokojona i daleka od wybaczenia upokarzającej kary, jaką jej wymierzył.

- Idiotką nie. Ale jest panienka trochę rozpuszczona -

powiedział, doprowadzając ją do wściekłości. - Mnie to jednak nie przeszkadza. I tak za panienką szaleję. - Przytulił policzek do jej rudych loków. - Nie mogę przestać o panience myśleć - przyznał, wprawiając ją w osłupienie. - Nigdy dotąd żadna kobieta tak na mnie nie działała. A teraz przynajmniej będę mógł panienkę widywać.

Verity poczuła w głowie potworny zamęt. Zupełnie sprzeczne ze sobą uczucia kłębiły się w jej głowie i nie była w stanie myśleć. Nadal była zła i urazona, ale jednocześnie było jej przyjemnie, że Woźnica nie umie się oprzeć jej urokowi. Była też ciekawa. Po chwili milczenia doszła do wniosku, że do tego ostatniego może się bezpiecznie przyznać, i spytała, dlaczego jego zdaniem będą się teraz częściej widywać.

- Panienska wie, że jego lordowska mość i ja prowadzimy razem pewne dochodzenie. Jeśli więc panienska zechce nam w nim pomóc, nie da się uniknąć częstszych spotkań.

- Czy to znaczy, że stryj naprawdę chce mnie prosić o pomoc?

Verity nie mogła uwierzyć, że jej najskrytsze gorące pragnienie miało się spełnić, i czuła się jak małe dziecko, któremu obiecano wymarzoną zabawkę.

- Co miałabym zrobić?

- Przekazała panienska lordowi Charlesowi ciekawą informację na temat pewnego majora lub kogoś z jego znajomych. Major, o którym mówimy, może się okazać całkowicie niewinny, ale musimy się co do tego upewnić. I właśnie w tym panienska może pomóc.

Verity zdecydowanie nie spodobało się to, co usłyszała. Od

ostatniej wizyty u stryja dręczyły ją wyrzuty sumienia. A teraz nabrała pewności, że w sprawie majora musiały zostać odkryte jakieś nowe informacje.

- Na czym miałyby polegać moja pomoc? - zapytała ostrożnie.

- Myślałem, że to oczywiste. Panienka zna majora, prawda?

- Znałam, kiedyś.

- W takim razie trzeba odświeżyć tę znajomość. Chcemy znać każdy jego krok. Jeśli panienka będzie wiedziała, do kogo major wybiera się na przyjęcie, proszę też tam iść. Proszę przebywać w jego towarzystwie tak często, jak to tylko możliwe. Chcemy wiedzieć, kim są jego przyjaciele i co robią, spędzając razem czas. Niech panienka będzie dla niego miła, a może wymknie mu się słówko lub dwa.

- Co takiego? - Verity nie mogła uwierzyć, że Woźnica mówi poważnie. - Jeżeli będę się tak zachowywać, Brin może pomyśleć, że ja... Będzie przypuszczał, że chcę go... usidlić.

- Przecież panienka chce - zauważył rozbawiony Woźnica.

- Owszem. Ale nie tak! Nie chcę wychodzić za niego za mąż! - krzyknęła.

Przemyślała jednak sprawę i zmieniła zdanie.

- Zrobię to, ale tylko po to, aby dowieść jego niewinności.

- Widzę, że ma panienka słabość do majora Cartera.

- Nie mam! - zaprzeczyła gwałtownie. - Major Carter to bufon! Ale jego dziadek, Arthur Brinley, był wspaniałym człowiekiem. I to ze względu na pamięć dziadka dowiodę, że jego wnuk jest niewinny.

Woźnica zamilkł, ale jeszcze zanim się odezwał, Verity

wyczuła, że coś się w nim zmieniło.

- Dobrze. W takim razie zgadzam się, aby panienka nam pomagała. Ale pewne rzeczy musimy ustalić już na początku - powiedział tonem nieznoszącym sprzeciwu. - Jeżeli panienka cokolwiek odkryje, nieważne, jak błahe może się to wydawać, nie wolno panience samej podejmować żadnych działań. Ma panienka od razu informować lorda Charlesa. Czasem to ja będę się z panienką kontaktował, a ponieważ nie zawsze mogę być zamaskowany, musi panienka odwracać się do mnie plecami. Chyba że wydam inne polecenie. Jeżeli mamy mieć chociaż cień szansy na schwytanie tego pozbawionego wszelkich skrupułów zdrajcy, który od lat pracuje dla Francuzów, moje nazwisko musi pozostać tajemnicą. To bardzo ważne.

Verity kiwnęła głową na znak, że wszystko rozumie i zgadza się. A potem zapytała, kto jego zdaniem może być zdrajcą.

- Dzięki panience mamy jakiś ślad. Ale to wszystko, co mogę w tej chwili powiedzieć - odparł Woźnica i zanim zdążyła zapytać, czy rzeczywiście podejrzewają majora Cartera, odwrócił ją twarzą do siebie.

Gruby szal zasłaniający dolną połowę jego twarzy znikł, natomiast pojawiła się skórzana maska z wycięciami na oczy. Poprzednio, z niewidoczną twarzą, wyglądał tajemniczo, maska zaś, odsłaniając usta, nadała mu jakiś złowrogi wygląd. A jednak, choć było to dziwne, Verity nie czuła strachu.

Tak samo dziwne mogło się wydawać, że nie przyszło jej do

głowy, aby wyrywać się z jego objęć albo odwrócić głowę, kiedy chciał ją pocałować.

Czując dotyk jego warg, Verity instynktownie rozchyliła usta i odruchowo objęła go za szyję. Woźnica westchnął i przytulił ją do siebie z całej siły. Ich ciała niemal stopiły się ze sobą, tworząc doskonałą całość i choć to niepojęte, nawet w takiej sytuacji nie pomyślała, że mogłaby się opierać. Będąc w jego ramionach, czuła, że jej dusza i ciało należą tylko do niego. Jakby od zawsze był jej przeznaczony i żadna siła nie była w stanie tego zmienić. I wcale jej nie przerażało, że naprawdę mogło tak być. Bo czy coś tak doskonałego, wspaniałego i naturalnego mogło być złe?

Woźnica niechętnie oderwał usta od jej warg i wtulił twarz w jedwabiste loki.

- Dostyc. Sama myśl o tobie mnie odurza, a teraz muszę mieć jasny umysł. Ale możesz być pewna, że kiedy to wszystko się skończy i będę wolny, nie pozwolę ci odejść. Właśnie to zrozumiałem i wiem, że nie pozwolę, by ktokolwiek mi ciebie odebrał.

Woźnica powiedział te słowa lekkim tonem, ale Verity wyczuła jego determinację i pojęła, że mówi śmiertelnie poważnie. Przestraszyło ją to, bo wiedziała, że nie zdoła mu się przeciwstawić. W jego ramionach stawała się bezwolna, całkowicie niezdolna do oporu.

Nagle odsunął ją od siebie, jakby chciał zaprzeczyć swoim słowom, ona popatrzyła na niego oczami pełnymi strachu i niepewności.

- Nie patrz tak na mnie, panienko. - Woźnica delikatnie musnął palcem jej policzek. - Wszystko będzie dobrze, zobaczysz. Idź już, dopóki jeszcze mogę pozwolić ci odejść. Poczekam, aż bezpiecznie wrócisz do środka - dodał i pocałował ją w czoło.

Wiedziała, że musi odejść, choć wcale nie chciała go zostawiać. Wciąż jeszcze czuła na sobie dotyk jego dłoni i tylko o nim mogła myśleć. Ale wszystko działo się tak szybko. Za szybko jak dla niej. Potrzebowała czasu, żeby się nad tym zastanowić i zrozumieć dziwną hipnotyczną moc, którą miał nad nią ten nieznośny człowiek.

Nie oglądała się, ale instynkt mówił jej, że on tam ciągle jeszcze stoi i patrzy, czy bezpiecznie dotarła do oranżerii i dalej, do wnętrza domu. W czasie jej wizyty w ogrodzie na przyjęciu pojawili się kolejni goście. Bez żadnych kłopotów i przez nikogo niezauważona wysliznęła się zza zasłony i ruszyła w stronę krzesła, na którym zostawiła ciotkę Clare.

- Na Boga, dziecko! Nareszcie jesteś! Już miałam cię zacząć szukać. Gdzie byłaś przez ten cały czas?

- Bardzo tu gorąco. Wyszłam na chwilę odetchnąć świeżym powietrzem - odparła Verity, nie widząc powodu, by kłamać. Tym bardziej że w obecnym stanie ducha, kiedy zdrowy rozsądek i opanowanie toczyły w niej walkę z jakąś dziwną, niezaspokojoną tęsknotą, na pewno nie wyszłoby jej to najlepiej.

Lady Billington zwróciła uwagę na to, że bratanica jest trochę zaróżowiona i że z tym lekkim rumieńcem wygląda doprawdy uroczo. Zauważyła też jej lekko obrzmiałe wargi i nowe błyski w błękitnych

oczach. Ktoś, kto nie znał Verity tak dobrze jak ona, mógłby pomyśleć, że dziewczyna była przed chwilą namiętnie całowana. Niestety ona dobrze wiedziała, że jej bratanica nie ma romantycznej natury, i szczerze nad tym bolała.

- Nie powinnaś sama wychodzić do ogrodu. Pamiętaj o tym na przyszłość. Nie wiadomo, kto może się czaić w ciemnościach.

Mądre słowa! Nie wiadomo też, jak człowiek sam się zachowa, pomyślała zawstydzona Verity, ciągle jeszcze zdumiona swoim lekkomyślnym postępowaniem w ogrodzie. Pochłonięta własnymi myślami, poczuła nagle na sobie czyjś wzrok. Spojrzała i dostrzegła wpatrujące się w nią przenikliwe niebieskie oczy należące do wysokiego, jasnowłosego i niewątpliwie przystojnego dżentelmena. Nie spuszczał z niej wzroku. Ciotka Clara poinformowała ją, że to pan Lawrence Castleford.

- Jego stryj, lord Castleford, bardzo dobrze zna twojego stryja Charlesa. O ile dobrze pamiętam, lord Castleford ma coś wspólnego z Ministerstwem Wojny. Lord ma syna, ale choć to nienormalne, zdecydowanie faworyzuje bratanka. Dziwny z niego ojciec i wszyscy o tym wiedzą.

Lady Billington przerwała, widząc, że gospodyni idzie pospiesznym krokiem w kierunku przystojnego pana Castleforda, i lekko zmarszczyła brwi.

- A teraz, w drodze rewanżu, może ty zaspokoisz moją ciekawość i powiesz mi, skąd twoja awersja do lady Morland?

- Awersja to zbyt mocne określenie, ale rzeczywiście nie mam

szacunku dla takich jak ona - przyznała niechętnie Verity.

- Nie powiem, żebym rozumiała. Wiem, że to córka bogatego ziemianina, ale nie mogę uwierzyć, aby to jej niskie urodzenie było powodem twojej niechęci.

Verity nie zdołała powstrzymać śmiechu.

- Możesz być pewna, że to nie to. Wiesz przecież, że człowiek, którego w swoim życiu najbardziej szanowałam, był zwykłym wieśniakiem i synem ladacznicy.

- No wiesz, moja droga! Życzyłabym sobie, żebyś nauczyła się trochę powściągać swój język. - Lady Billington wzruszyła ramionami.

- Zapewniam cię, że Arthur Brinley bywał określany dużo gorzej. - Verity uśmiechnęła się z czułością na wspomnienie starszego pana. - Sama powiedz, jak można nie podziwiać człowieka urodzonego w rynsztoku, który własną ciężką pracą dorobił się majątku i umarł jako jeden z najbogatszych ludzi w Yorkshire? Natomiast tacy, którzy zawierają małżeństwa tylko dla tytułu, nie zasługują na mój szacunek.

- Wreszcie rozumiem! - Lady Billington rzuciła okiem w kierunku gospodyni, a potem przeniosła wzrok na otyłego gospodarza. - Twoim zdaniem lady Morland wyszła za mąż tylko dla pieniędzy?

- Nie. Nie dla pieniędzy. Gdyby jej chodziło o majątek, poślubiłaby zapewne wnuka Arthura Brinleya. Kiedy zamieszkałam w Yorkshire, Angela i Brin uchodzili za parę. Ona nie mogła mieć wtedy wiele ponad szesnaście lat, a Brin miał może osiemnaście albo

dziewiętnaście. Wszyscy w okolicy uważali, że kiedyś się pobiorą. Pamiętam jakieś plotki, że rodzice Angeli nie zgadzali się na ślub, dopóki córka nie osiągnie pełnoletności. Nie byłabym jednak wcale zdziwiona, gdyby to ona sama je rozpowszechniała. Bo kiedy Brin wyjechał do Hiszpanii, nie minęły nawet trzy miesiące, a ona już wyszła za mąż za tłustego baroneta. Mimo że do osiągnięcia pełnoletności brakowało jej wtedy jeszcze roku.

- Uważasz, że chodziło jej o tytuł?

- Jestem przekonana, że tak było. Ale popatrz, jak dziwnie potoczyły się sprawy. Gdyby poślubiła syna tkacza, lada dzień zostałaby wicehrabiną. - Verity roześmiała się.

Kilka osób spojrzało w jej kierunku, ale ona nie zwracała na to uwagi.

- O wilku mowa! - zawołała, przyglądając się dżentelmenowi, który właśnie pojawił się w drzwiach.

Lady Billington powędrowała za jej wzrokiem i zobaczyła wysokiego, potężnie zbudowanego młodego mężczyznę.

- Czyżbyś chciała powiedzieć, że ten wyjątkowo atrakcyjny młody dżentelmen jest wnukiem Arthura Brinleya?

- Tak, to wnuk Brinleya. Popatrz na niego. On po prostu nie może się nie podobać. A teraz porównaj go z tą beką tłuszczu. - Verity nie zdołała powstrzymać śmiechu. - Jeżeli widząc ich obu, nadal nie wierzysz, że Angella wyszła za barona dla tytułu, to chyba cierpisz na zaćmienie umysłu.

- Może masz rację - odparła lady Billington, nie pozwalając

sobie na dalsze komentarze. W przeciwieństwie do bratanicy, która zawsze mówiła to, co myśli, ona wolała nie zdradzać się ze swoimi opiniami. W skrytości ducha przyznała jednak, że Verity prawdopodobnie się nie myli.

Na młodego majora naprawdę było miło popatrzeć, i lady Billington uważnie obrzuciła wzrokiem jego sylwetkę zdradzającą wojskowego. Idąc przez salę, trzymał się prosto, a jego krok był płynny i sprężysty. Natura była dla niego łaskawa, dając mu nie tylko piękne ciało, ale i twarz. Miał regularne rysy, choć ciągle można było dopatrzeć się w nim śladów podobieństwa do linii Carterów, a nienaganne maniery świadczyły o dobrym wychowaniu.

Lady Billington nie rozumiała, skąd mogła się wziąć awersja, jaką Verity darzy majora. Zanotowała sobie w pamięci, by koniecznie dowiedzieć się, o co w tym chodzi, bo obserwując zachowanie młodego mężczyzny, nie mogła sobie wyobrazić, by mógł kogokolwiek do siebie zrazić. Major zbliżył się do lady Morland, lecz w jego zachowaniu nie było śladu poufałości, która mogłaby sugerować, że był z nią kiedyś związany.

Lady Morland wyciągnęła do niego dłoń, a on ją ujął i przytrzymał kilka chwil. Jeśli oczekiwała, że będzie odgrywał galanta i ucałuje czubki jej palców, musiała się poczuć rozczarowana, bo on tylko elegancko skłonił głowę i zaraz puścił jej rękę.

- Bardzo się cieszę, że przyjąłeś moje zaproszenie, Brin. To cudowne spotkać cię znowu po tylu latach.

- Nie mogłem nie skorzystać z okazji, aby w końcu podziękować

za serce, jakie okazywałaś mojemu dziadkowi. Jestem ci bardzo wdzięczny, że kiedy byłem za granicą, zadałaś sobie trud, żeby go tak często odwiedzać... - Brin przerwał, widząc, że lady Morland marszczy brwi. Zrozumiał, że Angela nie chce o tym rozmawiać, i szybko zmienił temat. - Wspaniale pani wygląda, lady Morland. Czas jest dla pani łaskawy.

Angela wdzięcznie wydeła usteczka. Nastolatka wyglądałaby z tym ponętnie, pomyślał major, ale kobieta koło trzydziestki, robiąca takie miny, wygląda po prostu głupio.

- Cóż za rezerwa, sir! Czy mam się do pana zwracać: „Majorze Carter”?

- Jeśli takie jest pani życzenie. Uważam jednak, że nasza dawna znajomość usprawiedliwi zwracanie się do mnie w nieco mniej oficjalny sposób.

- Byliśmy czymś więcej niż tylko znajomymi - przypomniała mu Angela prowokacyjnie ochrypłym głosem i podniosła na niego jasnoblękitne oczy, w których widać było wyraźne zainteresowanie. - Czyżbyś mi jeszcze nie wybaczył?

- Wierz mi, moja droga, że nie obwiniam cię o złą wolę.

W ciągu ostatnich lat kilkakrotnie miałem okazję dojść do wniosku, że młode damy dorastają znacznie szybciej niż młodzi panowie. Na szczęście ty okazałaś się wystarczająco mądra, by nie pomylić bliskiej przyjaźni z czymś znacznie głębszym. I choćby tylko za to do końca życia będę twoim dłużnikiem.

Nie takiej odpowiedzi się spodziewała. Była jednak pewna, że

słowa majora stanowią wyłącznie zasłonę dymną, za którą próbuje on ukryć swoje złamane serce. Spojrzała więc na niego łaskawie... i odkryła, że nawet na nią nie patrzy.

Biegając wzrokiem za jego spojrzeniem, lady Morland dostrzegła, że z uznaniem przygląda się młodej kobiecie w szafirowej sukni.

- Pamiętasz małą Verity Harcourt? Wielka z niej była chłopczyca. Ciągłe wdawała się w jakieś awantury i bójki. Pamiętam, jak narzekałeś, że jest strasznie rozpuszczona. Była prawdziwym utrapieniem i włóczyła się za tobą jak bezpański pies.

- Naprawdę mówiłem, że jest rozpuszczona? - Major zmarszczył brwi. - Mam nadzieję, że starczyło mi na tyle rozumu, aby nie mówić jej tego w oczy! Choć... - Brin zamilkł, a jego usta wykrzywiły się w uśmiechu. - Tak, to może być powód!

- dokończył triumfalnie i dość zagadkowo.

Verity widziała, że major i Angela popatrują w jej kierunku, i zastanawiała się, co o niej mówią. Pomyślała, że być może po wczorajszym spotkaniu w parku major poprosi ją do tańca. Ale nawet jeśli chciał to zrobić, ubiegł go młody Castleford.

Myśląc o powierzonym jej przez stryja zadaniu, najchętniej od razu zaczęłaby swoje dochodzenie w sprawie Brina. Nie widziała jednak powodów, aby nie zatańczyć z panem Castlefordem. Zdaniem ciotki Clary był on zdecydowanym ulubieńcem pań i gdyby mu odmówiła, wywołałoby to niepotrzebne komentarze. A tego należało unikać za wszelką cenę. Jeśli jej misja miała się powieść, nie mogła

budzić żadnych podejrzeń. Musi zachowywać się jak najbardziej naturalnie.

Przez cały wieczór tańczyła z wieloma partnerami, czasem jednak przysiadła na krześle obok ciotki, żeby chwilę odpocząć. W ten sposób dawała majorowi okazję, by mógł ją poprosić do tańca. Ale on nawet się do niej nie zbliżył. Verity obserwowała, jak tańczy z innymi, i czuła się coraz bardziej sfrustrowana, a gdy wieczór dobiegał końca, była już naprawdę zirytowana.

Goście zaczęli powoli wychodzić i w końcu lady Billington, która dzisiejsze przyjęcie uważała za wyjątkowo udane, zasugerowała, że na nie też już pora. Verity posłusznie wstała z krzesła, pamiętała jednak o swojej misji i nie miała zamiaru pozwolić, by coś jej przeszkodziło. Skierowała się do wyjścia niezwykle krętą drogą, a chcąc uniknąć podejrzeń ciotki, krążyła po salonie, żegnając się z licznymi znajomymi.

Wreszcie zbliżyła się do majora, który rozmawiał z lady Gillingham i z jej ładniutką córką. Stając za jego plecami, z premedytacją stuknęła go w łokieć, a wtedy połowa szampana z jego kieliszka znalazła się na gorsie prześlicznej, bladożółtej, jedwabnej sukni panny Gillingham.

Nieszczęsna dziewczyna pisnęła, a zrozpaczona Verity pospieszyła z przeprosinami. Obserwująca bratanicę lady Billington nawet przez chwilę nie dała się zwieść jej słodkim słówkom. Tak samo major, który, zmrużywszy nieco swoje piękne złote oczy, przyglądał się w milczeniu tej scenie. Na szczęście lady Gillingham

zdawała się niczego nie domyślać, i usatysfakcjonowana przeprosinami Verity, odeszła razem z córką ratować suknię.

- Co za nieszczęśliwy wypadek! - zawołała bohaterko lady Billington, przejmując pałeczkę.

- Rzeczywiście, nieszczęśliwy - odparł lakonicznie major, nie spuszczać wzroku z Verity, w której błyszczących oczach nie było śladu poczucia winy ani wyrzutów sumienia.

- Panno Harcourt, proszę uczynić mi ten zaszczyt i przedstawić mnie swojej uroczej towarzyszce - poprosił.

Verity dokonała prezentacji, przy czym dłoń lady Billington znalazła się na chwilę w ciepłym i silnym uścisku ręki Cartera.

- Znałam pańskiego dziadka, majorze. Proszę przyjąć moje spóźnione kondolencje z powodu jego śmierci. Wiem, że był bardzo szanowanym człowiekiem. Verity zawsze mówiła o nim z wielkim szacunkiem.

Major uśmiechnął się, a lady Billington musiała przyznać, że to był najpiękniejszy męski uśmiech, jaki widziała w swoim życiu.

- Pamiętam, że pani bratanica, będąc wtedy jeszcze dziewczynką, bywała częstym gościem w naszym domu. Mój dziadek był zwolennikiem surowej dyscypliny i dlatego zawsze mnie dziwiło, że jej wybryki wcale go nie złościły, a wręcz przeciwnie, bawiły. Najwidoczniej robił się z wiekiem coraz łagodniejszy - dodał, a kąciki jego ust zdradziecko zadrgały.

Lady Billington dostrzegła kątem oka, że bratanica sztywnieje, i ponownie pospieszyła na ratunek. Błyskawicznie pożegnała majora,

wyrażając nadzieję, że wkrótce znowu się spotkają. Odeszła na bok, ciągnąc za sobą urażoną Verity. Bała się, że dosyć niefortunne wspomnienia majora mogą spowodować, iż Verity odpowie mu w sposób, który okaże się jeszcze bardziej naganny niż oblanie sukni panny Gillingham szampanem.

Kiedy obie siedziały już bezpiecznie w wygodnym powozie, lady Billington popatrzyła na bratanicę.

- Czasem naprawdę mnie zdumiewasz! Widziałam przecież, że specjalnie szturchnęłaś majora w łokieć.

Verity nie próbowała zaprzeczać. Wszystko kipiało w niej ze złości, bo wspomnienia majora były raczej nie na miejscu, ale jeśli spojrzeć na cały ten incydent z innej strony, mógł się wydać nawet zabawny.

- Wcale nie chciałam, żeby wylał szampana na suknię Clarissy Gillingham. A ona zrobiła takie zamieszanie, jakby naprawdę coś się stało!

- Ani przez chwilę nie podejrzewałam, że chciałaś ją oblać. Nie mogę jednak pojąć, czemu zadałaś sobie tyle trudu i obeszczałaś cały salon, żeby porozmawiać z kimś, kogo tak nie lubisz.

Verity odwróciła głowę do okna, aby uniknąć spojrzenia ciotce w oczy.

- Harcourtowie nie lubią być ignorowani - odparła wyniosłym tonem. - Ten drań znalazł czas, żeby porozmawiać z każdą młodą kobietą na przyjęciu, a do mnie nawet nie próbował podejść!

Uraza wyraźnie słyszalna w głosie Verity powiedziała lady

Billington, że choć bratanica uważa się za obojętną na uroki majora, to nie do końca ma w tej sprawie rację. Zaciekało ją też, co major sądzi teraz o dziewczynie, która przed laty bywała dla niego utrapieniem. Lady Billington musiała przyznać, że Carter rzeczywiście przez cały wieczór ani razu nie spróbował porozmawiać z Verity, ale zauważyła, że całkiem często na nią zerkał.

Starsza dama miała wrażenie, że w oczach majora widziała coś więcej niż tylko upodobanie. Ale na razie było za wcześnie, by próbować to interpretować. W przeciwieństwie do tego, co mówiła o nim Verity, major Carter okazał się inteligentnym młodym człowiekiem i określenie „bufon”, którym panna tak lubiła go nazywać, zupełnie do niego nie pasowało.

Lady Billington pomyślała, że jeśli się nie myli, Carter wygląda raczej na mężczyznę, który umiałby wziąć w karby niesforną i nieobliczalną młodą damę, jaką bywała czasem jej bratanica.

Oparła się wygodnie o aksamitne poduszki i zadowolona, uśmiechnęła się do siebie. Czuła, że przyszłość rysuje się nie tylko ciekawie, ale także bardzo obiecująco!

Rozdział siódmy

Jeżeli lady Billington oczekiwała, że podwaliny przyszłego szczęścia jej bratanicy zostaną położone natychmiast następnego dnia, musiała się poczuć rozczarowana. Major Carter wyjechał bowiem z Londynu, zanim obie panie zdążyły wstać z łóżek, aby rozpocząć kolejny miły i pełen rozrywek dzień.

Brin jechał na zachód, prowadząc swój powozik wzdłuż głównej pocztowej drogi do Oksfordu. Po kilku tygodniach pobytu w stolicy z przyjemnością oddychał świeżym wiejskim powietrzem i kolejny raz doszedł do wniosku, że nie znosi miejskiego życia. Te niekończące się przyjęcia i bale i ciągła rywalizacja gospodarzy poszczególnych imprez, walczących o upragniony i zaszczytny tytuł Wydarzenia Sezonu, wydawały mu się okropne. Na szczęście wszystko to było już poza nim i szybko o tym zapomniał.

Pomyślał o zaproszeniach na bale, które piętrzyły się na stole w bibliotece. Codziennie ich przybywało i bez przerwy ktoś pukał do drzwi. Wszyscy go zapraszali. A przyjęcie, na którym się nie pokazał, nie mogło uchodzić nawet za średnio udane. Ale ilu z tych, którzy tak bardzo chcieli go teraz gościć w swoich domach, zwróciłoby na niego uwagę, gdyby nie to, że wkrótce miał zostać wicehrabią Dartwood? Zastanawiał się nad tym co wieczór, patrząc na nieszczerze, przyklejone do twarzy uśmiechy i słuchając pochlebstw, od których robiło mu się mdło.

Na szczęście odziedziczyłem po dziadku zdrowy rozsądek, pomyślał, uśmiechając się do siebie.

I rzeczywiście, major umiał trzeźwo ocenić sytuację, dzięki czemu całe to ogromne zainteresowanie jego osobą nie przewróciło mu w głowie. Nie zawsze jednak zachowywał się rozsądnie. Bywało, że robił rzeczy, których nie powtórzyłby za skarby świata, gdyby udało mu się cofnąć czas. Popełniał błędy, i to bardzo głupie! Ale kto ich nie popełnia? Na szczęście teraz jest mądrzejszy. Razem z latami

przybyło mu rozumu i doświadczenia. I stał się bardziej wymagający.

Nie wykluczał, że zrobił się też bardziej cyniczny. Był to rezultat czasu spędzonego w wojsku, gdzie każdy uczy się cieszyć dniem dzisiejszym i nie robić zbyt dalekich planów na przyszłość. Nigdy nie wiadomo, kto wróci z kolejnej bitwy. Ale wszyscy szybko poznają, komu można zaufać, a komu nie. W czasie swojej służby major nauczył się, że zarówno oficer, jak i zwykły żołnierz mogą być dobrzy albo źli. Ta sama zasada dotyczyła ludzi, których zostawił w Londynie.

Niektórzy byli szczerzy i autentyczni, inni z pewnością nie. Kiedyś, gdy jeszcze nie znał się na ludziach tak dobrze jak teraz, z pewnością popełniłby niejeden błąd, każdą damę z towarzystwa traktując jak harpię. Na pewno okazałby się też niesprawiedliwy, zakładając, że tak zwany dobrze urodzony dżentelmen nie może być niczym więcej niż tylko bezmyślnym fircykiem, spędzającym całe dnie w kawiarniach. Jeszcze pięć lat temu nie byłby w stanie uwierzyć, że jego najlepszym i najbardziej zaufanym przyjacielem mógłby zostać ktoś z najwyższych sfer.

Zajęty rozmyślaniami, nawet nie zauważył, kiedy zrobiło się wczesne popołudnie, a on sam znalazł się u celu, którym była wiejska posiadłość jego przyjaciela. Ogromny dom, zbudowany z połyskującego złociście kamienia, znajdował się pośrodku rozległych pagórkowatych terenów z przepięknym parkiem. Główna aleja prowadząca do domu spływała ze wzgórza wdzięcznym łukiem, a z najwyższego jej miejsca można było podziwiać wspaniałą panoramę

Oxfordshire.

Posiadłość Ravenhurst stanowiła widok, którego nie można było nie podziwiać. Park, stworzony jeszcze w ubiegłym stuleciu przez „Capability” Browna, był prawdziwą uczcą dla oka. Rozplanowane ze smakiem rozległe trawniki i kępy potężnych drzew zachwycaly, a strumienie (pełne pstrągów) i urokliwe jezioro dawały wytchnienie oczom. Na tyłach domu znajdował się ogród poprzecinany licznymi wysypanymi drobnym żwirkiem ścieżkami, oddzielony od parku przystrzyżonym w geometryczne wzory żywopłotem. Za ogrodem zaś rosły kępy rododendronów. Kiedy kwitły, wyglądały tak pięknie, że całość wprost zapierała dech w piersiach.

Za każdym razem, gdy tu przyjeżdżał, przypominał sobie swój pierwszy pobyt w tym wspaniałym miejscu. Za ledwie kilka tygodni po tym, jak dołączył do swego regimentu w Hiszpanii, Wellington zdobył będące w posiadaniu Francuzów miasto Badajoz. Brin został wtedy ciężko ranny i zanieśono go na noszach do obozu. Wojskowy lekarz tylko rzucił okiem na młodego kapitana. Zaogniona rana w boku wyglądała paskudnie i medyk nawet nie spróbował wydobyć tkwiącego w niej głęboko ołowianego pocisku.

Uznał, że dla kapitana nie ma już ratunku, i kazał go przenieść tam, gdzie leżały trupy i ciężko ranni, których los został już przesądzony. Niewiele brakowało, aby nazwisko Brina znalazło się na długich listach zabitych. I stałoby się tak na pewno, gdyby nie jego dowódca, który postanowił osobiście dopilnować, aby męzny młody oficer trafił z powrotem do Anglii. Nie chciał, by taki dzielny

człowiek skończył w bezimiennym grobie daleko od domu. Jeżeli była mu pisana śmierć, niech go chociaż pochowają w rodzinnym Yorkshire.

Droga do portu była bardzo męcząca i pułkownik Pitbury nie spodziewał się, że Brin ją przeżyje. On jednak przeżył, a na statku, który miał go zawieźć do Southampton, zajął się nim cywilny lekarz. On także nie przypuszczał, że pacjent zniesie podróż, ale wyjął mu kulę, która utkwiała w boku, i drugą z ramienia. Kiedy statek przybił do portu w Southampton, Brin miał wysoką gorączkę i choć wciąż żył, lekarz nie dawał mu wielkich szans.

Pułkownik Pitbury był w rozterce. Nie chciał oddawać tego dzielnego oficera w obce ręce, ale bał się, że Brin nie wytrzyma długiej drogi do rodzinnego Yorkshire. Nie wiedział, co robić. Nagle przypomniał sobie o liście, który nadszedł do kapitana, kiedy był on już ranny. Nadawcą był niejaki Marcus Ravenhurst.

Pułkownik nie miał pojęcia, że kapitan Carter i Marcus Ravenhurst bynajmniej nie są przyjaciółmi i że naprawdę ledwo się znają. Nie mógł wiedzieć, że poznali się zupełnie przypadkiem, kiedy obaj utknęli na kilka dni w jakiejś położonej na odludziu gospodzie. Ale kiedy dotarł powozem do olbrzymiej rezydencji w Oxfordshire i pani domu bez wahania kazała wnieść młodego kapitana do domu, poczuł ogromną ulgę. Patrzył, jak czterech silnych służących niesie bezwładne ciało po schodach, i był pewien, że już nigdy nie zobaczy dzielnego młodzieńca. Kapitan ciągle gorączkował, a rany nie chciały się goić. W takiej sytuacji trudno było mieć nadzieję. Pułkownik nie

uwzględnił jednak determinacji i poświęcenia, z jakim Sarah Ravenhurst zajęła się swoim gościem.

Wspomnienia sprawiły, że oczy Brina wypełniły się łzami. Pamiętał, że kiedy gorączka wreszcie spadła i otworzył oczy, zobaczył nad sobą uśmiechniętą twarz pochylonego nad nim pięknego anioła. Przez całą podróż Brin był nieprzytomny i majaczył w gorączce. Nie miał pojęcia, że płynął statkiem i że teraz znajduje się w Anglii, w pięknym domu obcych ludzi.

A Sarah Ravenhurst rzeczywiście była aniołem. Ta kochająca żona i matka okazała się najlepszą, najbardziej oddaną i troskliwą opiekunką, jaką można sobie wymarzyć. I właśnie trzy lata temu Sarah uleczyła nie tylko jego ciało, ale także duszę.

Kiedy o tym myślał, aż trudno mu było pojąć, jakim był wtedy zgorzkniałym młodzieńcem. W szkole był bez przerwy krytykowany przez synów tak zwanych dżentelmenów. W dodatku miał za sobą zawód miłosny. Stał się zamknięty w sobie i nieszczęśliwy, pełen urazy do świata i pozbawiony złudzeń. Wystarczyło jednak kilka tygodni rekonwalescencji w pięknym domu Ravenhurstów i wszystko się zmieniło. Młody kapitan, który wyleczywszy rany, wrócił do Hiszpanii, do swojego regimentu, był zupełnie innym człowiekiem i znał już swoją wartość.

Brin wstydził się nawet do tego przyznać, ale kiedyś przerażała go sama myśl, że miałby wejść w szeregi arystokracji. Ale to było dawno, zanim jeszcze udowodnił, że jest świetnym żołnierzem i urodzonym przywódcą. Teraz nie miał wątpliwości, że z czasem

sprawdzi się także w nowej roli właściciela ziemskiego i gospodarza, a także jako szanowany członek Parlamentu. Był pewny, że tak będzie, i wierzył w siebie, a tę wiarę i pewność zawdzięczał Marcusowi i Sarah Ravenhurstom.

Brin wjechał na dziedziniec przed stajnią i wysiadł z powozu. Serdecznie przywitał się z Suttonem, głównym stajennym Ravenhurstow, który wyszedł, aby go uściskać. Obszedł dom i stanął przed głównym wejściem. Drzwi otworzył mu Stebbings, bardzo oficjalny i absolutnie perfekcyjny kamerdyner Marcusa, który poinformował, że pani jest w małym salonie, a pan pracuje w bibliotece.

- W takim razie pozwolę sobie narzucić moje towarzystwo twojej pani. - Brin podał Stebbingsowi płaszcz i kapelusz. - Ale nie zwlekaj zbyt długo z przekazaniem swojemu panu, że przyjechałem - dodał złośliwie.

Wszedł do salonu i zobaczył, że Sarah siedzi przy oknie i haftuje. Po chwili podniosła głowę, by sprawdzić, kto wszedł, a kiedy zobaczyła, że to Brin, zapiszczała z radości i odrzucając robótkę, padła wprost w szeroko rozłożone ramiona.

- Och, Brin, tak się cieszę, że cię widzę! - zawołała, a w jej pięknych oczach o barwie akwamaryny malowała się wielka radość. - Jesteś przejazdem czy może zostaniesz na dłużej?

- Sir, proszę być tak dobrym i puścić moją żonę! - polecił głęboki, męski głos. - Za każdym razem, kiedy tu przyjeżdżasz, nie mija nawet pięć minut, a ty już ściskasz się z Sarah!

- To prawda - odparła Sarah, wcale nie próbując uwolnić się z objęć majora. - Na twoim miejscu wyzwałabym go na pojedynek.

- Ależ pani! Nie chcesz być chyba wdową? Czyżbyś nie wiedziała, że to jeden z najlepszych strzelców wyborowych w całej armii, a może nawet najlepszy? - zapytał Marcus i porzucając pozę obrażonego męża, podszedł uścisnąć dłoń przyjaciela.

- Widzę, że miejskie życie nie przypadło ci do gustu - stwierdził kpiąco.

Brin w odpowiedzi zrobił tak zbolaną minę, że mąż i żona się roześmieli.

- Kpijcie sobie, kpijcie, ale mówię wam, że człowiek może tam naprawdę oszaleć.

- Muszę przyznać, że udział w niekończącym się ciągu kolejnych przyjęć zaczyna być po pewnym czasie nużący - zauważyła Sarah. - Ale co można zrobić? Trzeba przyjmować zaproszenia, bo inaczej można kogoś obrazić.

- Wielu obraziłbym z największą przyjemnością - oznajmił stanowczo Brin. - Gdyby nie twój list wprowadzający, który napisałeś do klubu bokserskiego Jacksona, byłbym skazany wyłącznie na damskie towarzystwo. Tylko tobie zawdzięczam chwile, które w czasie ostatnich tygodni udało mi się spędzić z daleka od tych nieznośnych matek swatających swoje córki.

- Nie dziwię się, że tak na ciebie polują. Stanowisz w tej chwili świeży towar i jesteś bardzo pożądaną partią.

Brin i Sarah usiedli na sofie, a Marcus podał przyjacielowi

szklaneczkę madery i zajął miejsce naprzeciwko niego na krześle.

- Muszę ci pokazać, jak posyłać miażdżące spojrzenia. To doskonały sposób, żeby się uwolnić od niechcianego zainteresowania. Nigdy się na tym nie zawiodłem, zawsze działało!

- Brin nie musi przejmować twoich złych nawyków. Jestem pewna, że sam świetnie umie sobie radzić - wtrąciła się Sarah, patrząc karcąco na męża, a potem znów zajęła się Brinem.

- Co roku przyjeżdża do Londynu na sezon wiele ślicznotek. Nie wierzę, by żadna z nich nie zwróciła twojej uwagi - powiedziała z figlarnym błyskiem w oczach, który Brin tak bardzo kochał.

- Owszem zauważyłem dwie czy trzy. I właśnie dlatego tu przyjechałem. - Brin przerwał i oparłszy się wygodnie o miękkie obicie sofy, smakował doskonałe wino. - Wiem, że nie powinienem was o to prosić, bo Sarah dopiero niedawno urodziła Julię. Poza tym i tak już korzystam z waszej szczodrości, mieszkając w Londynie w waszym domu. Ale mimo wszystko zastanawiałem się, czy nie bylibyście tak dobrzy i nie pozwolili mi w najbliższej przyszłości urządzić tutaj przyjęcia na kilka osób? Nie więcej niż ośmioro gości.

- Ależ oczywiście! Nie mam nic przeciwko temu! - zgodziła się Sarah. - Marcus przesadza i nie zwracaj na niego uwagi. Po urodzeniu pierwszego dziecka nie miałam żadnych powikłań i teraz też dobrze się czuję. Jestem już zdrowa jak ryba i z przyjemnością pojechałabym na kilka tygodni do Londynu. Ale jak dobrze wiesz, byłam na tyle nierozsądna, że poślubiłam dyktatora. A on trzęsie się nade mną, jakbym była zrobiona z porcelany, i na nic mi nie pozwala.

- Gdybyś była moją żoną, postępowałbym dokładnie tak samo. Niewielu mężczyzn ma tyle szczęścia, co Ravenhurst.

- Brin uśmiechnął się do niej z czułością. - Ale kiedy przychodzi do wyboru żony, każdy powinien przynajmniej się postarać, aby wybrać najlepszą. I właśnie w celu dokonania takiego wyboru chciałbym tu zaprosić pewne młode damy. Wytypowałem trzy, z których moim zdaniem każda doskonale nadaje się na przyszłą wicehrabinę. Ale ponieważ w przeszłości zdarzyło mi się już błędnie ocenić zarówno charakter, jak i uczucia kobiety, tym razem chciałbym tego uniknąć.

Sarah posmutniała. Znała historię młodzieńczej miłości Brina do Angeli i wiedziała, jak cierpiał, kiedy okazało się, że jego ukochana poślubiła sir Fredericka Morlanda.

- Wciąż jeszcze myślisz o Angeli? Nadal ją kochasz? - zapytała.

- Ależ skąd! - odparł z przekonaniem Brin. - Oczywiście, zawsze będę jej wdzięczny za troskę, jaką okazywała mojemu dziadkowi. Odwiedzała go regularnie, gdy byłem w Hiszpanii. Nawet po swoim ślubie. Dziadek w każdym liście pisał: „ta dziewczyna znów u mnie była”. Zachowała się wspaniale, poświęcając tyle czasu umierającemu staruszkowi. Zawsze będę miał u niej dług wdzięczności, ale... - Brin przerwał i wypił łyk wina.

- Wczoraj wieczorem byłem na przyjęciu w jej domu. Widziałem ją po raz pierwszy, odkąd wyszła za mąż. Idąc tam, myślałem, że może wróćą dawne uczucia, ale jedyne, co poczułem na jej widok, to była ulga. Ogromna ulga, że nie okazałem się na tyle

głupi, by ją poślubić.

- Nie ty pierwszy i nie ostatni pozwoliłeś, aby serce rządziło głową - zauważył Marcus.

- Nie chcę popełnić tak głupiego błędu jeszcze raz. Przekonałem się, że co innego spotykać kogoś na przyjęciach, a co innego spędzić w jego towarzystwie trochę czasu. Przebywając razem w różnych codziennych sytuacjach, łatwiej zauważyć pewne... wady charakteru, które podczas krótkich spotkań towarzyskich mogłyby się wcale nie ujawnić.

Sarah obserwowała go przez chwilę w milczeniu.

- Powiedziałeś, że wybrałeś sobie trzy młode damy. I naprawdę żadna z nich nie podoba ci się bardziej od innych?

- Wszystkie trzy są jednakowo czarujące - odparł Brin i nagle oderwał wzrok od dywanu, w który wpatrywał się od dłuższej chwili.

- Chwileczkę, czyżbym powiedział trzy? Bo właściwie jest jeszcze czwarta. Niestety ta ostatnia nie zawsze zachowuje się tak jak przystoi damie.

Sarah i Marcus wymienili znaczące spojrzenia, po czym Sarah zapewniła Brina, że może zaprosić, kogo tylko chce.

- Zakładam, że zostaniesz u nas przynajmniej jedną noc. - Popatrzyła pytająco na Brina, a kiedy potwierdził, wstała, żeby zarządzić, aby służba przygotowała sypialnię dla gościa.

Marcus wpatrywał się w swój kieliszek i odezwał się dopiero wtedy, kiedy za jego żoną zamknęły się drzwi.

- Jeżeli choć przez chwilę pomyślałeś, że Sarah uwierzyła w

twoje bajki, to chyba te kilka tygodni w Londynie osłabiły twoje władze umysłowe - powiedział.

- Wiem, że nie uwierzyła, ale jest zbyt delikatna, żeby się wtrącać.

- Masz rację, Sarah nie będzie się wtrącała - przyznał Marcus, nie spuszczać wzroku z przyjaciela. - Ale ja jestem inny i bez owijania w bawełnę pytam wprost. Jaki jest prawdziwy powód, dla którego chcesz tu zaprosić swoich gości?

Verity siedziała przy biurczku w słonecznym frontowym salonie i zastanawiała się, jak zredagować list do wuja Luciusa. Gdyby nie cała ta historia z francuskim szpiegiem i fakt, że miała obserwować pewnego majora, bez kłopotów opisałaby wujowi, jak spędza czas w Londynie. Ale w obecnej sytuacji jej myśli uparcie krążyły wokół obiektu, którym miała się zajmować, a który zniknął z miasta. Zastanawiając się, gdzie mógł się podziać, w żaden sposób nie mogła się skupić na liście do wuja.

Brin opuścił Londyn i nie było go już pełne dwa tygodnie. Ktoś widział go, gdy rano po przyjęciu u lady Morland jechał swoim zaprzęgiem główną drogą do Oksfordu. Verity wiedziała, że bliski przyjaciel majora, Marcus Ravenhurst, mieszka w tamtych stronach. Uznała więc, że pojechał go odwiedzić i że nie ma w tym nic niezwykłego ani niepokojącego. Każdy może przecież składać wizytę przyjacielowi bez uprzedzenia.

Patrząc niewidzącym wzrokiem przez okno, zastanawiała się jednak, co Brin porabiał dwa dni później na Great North Road.

Oczywiście mógł jechać do Yorkshire, biorąc jednak pod uwagę, że sezon w Londynie właśnie się rozkręcał, był to dosyć dziwny termin na pojawianie się we własnym domu.

Zniknięcie majora wydało się jej tajemnicze, ale jeszcze bardziej zaskoczyła ją reakcja stryja, kiedy przekazała mu swoje informacje. Verity była absolutnie pewna, że Brin wyjechał nagle. Spodziewano się go w kilku miejscach, ale gospodarze imprez, na których miał się pojawić, dostali bileciki powiadamiające o nagłych okolicznościach, które zmusiły go do wyjazdu. Wyjaśniła to wszystko stryjowi, a potem dodała, że trzy dni po wyjeździe majora z Londynu ktoś widział go wysiadającego z wynajętego powozu w zajezdzie pod Newark. Ale lord Charles w najmniejszym stopniu nie przejął się tymi rewelacjami.

- Myślę, że nie ma powodu, aby się tym martwić. - Wzruszył ramionami, podkreślając swój obojętny stosunek do informacji. - Jeśli tam, w Newark, to był rzeczywiście on, to należy przypuszczać, że pojechał do swojego domu.

- Pomyślałam to samo. Ale dlaczego tak nagle, i to w środku sezonu? Przecież jest w Anglii od kilku tygodni i mógł się wybrać do Yorkshire wcześniej? Nie uważa stryj, że takie zachowanie miałoby większy sens? Moim zdaniem postępowanie majora jest niejasne.

- Nie wykluczam, że masz rację, ale nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Major w końcu wróci, a wtedy wybadasz go dyskretnie i dowiesz się, czemu tak nagle wyjechał. Pamiętaj jednak, co mówiłem, i zbytnio się tym nie przejmuj. Wiem dokładnie, gdzie

znajduje się w tej chwili nasz mały francuski przyjaciel, i zapewniam cię, że jest pod ciągłą obserwacją. Mogę ci zdradzić, że nie opuścił Londynu, dzięki czemu mamy pewność, że żadna informacja jeszcze do niego nie dotarła.

To było wszystko, czego się dowiedziała, trudno więc było się dziwić, że wizyta u stryja nie poprawiła jej humoru. Opuszczając jego dom, była zaniepokojona. Brin zachowywał się dziwnie, ale reakcja stryja Charlesa również wydawała się jej zaskakująca. Gdyby nie fakt, że to przecież on sam poprosił, by obserwowała majora, mogłaby pomyśleć, że jego poczynania są stryjowi zupełnie obojętne. A jeśli to, co robi major Carter, rzeczywiście nie obchodzi lorda Charlesa, to dlaczego prosił, aby miała na niego oko?

Głośne stukanie do drzwi wejściowych wyrwało Verity z zamyślenia. Po chwili w salonie pojawił się kamerdyner i z pełną dezaprobaty miną oznajmił, że przybył jakiś dżentelmen, który pragnie się z nią zobaczyć.

Verity wzniosła oczy do nieba. Niemal od przyjazdu do miasta do domu jej ciotki ciągnęły zastępy młodych dżentelmenów pragnących jej złożyć wizytę. Tak ogromne powodzenie w zasadzie powinno jej pochlebiać, i prawdę mówiąc, trochę pochlebiało, w głębi serca czuła jednak, że nie straci głowy dla żadnego z tych młodzieńców. Ale chociaż nie zamierzała się zakochać, nie chciała nikogo urazić. Dlatego też przyjmowała wszystkie wizyty. Niestety, bardzo szybko zrozumiała, że bezstronność, jaką prezentowała, by nie budzić w nikim fałszywych nadziei, to całkowicie niewłaściwa

taktyka.

- Jak się nazywa ten dżentelmen? - zapytała kamerdynera.

- Nazywa się Carter, panienko - usłyszała głęboki męski głos i major, nie czekając na zaproszenie, wszedł do salonu.

Tylko dzięki niezwykłemu opanowaniu Verity nie podniosła wzroku znad biurka. Jak to możliwe, że zawsze, kiedy tylko mówi albo myśli o majorze, on zaraz się pojawia?

- Pan major! Co za miła niespodzianka! - Verity wstała i z uśmiechem, pod którym wdzięcznie ukryła zaskoczenie, powoli skierowała się w stronę gościa. - Byłam pewna, że nie ma pana w mieście.

- Czyżby śledziła pani moje poczynania, panno Harcourt?

- Ależ skąd - roześmiała się Verity, ale sama doskonale usłyszała, jak nieszczerze to zabrzmiało. - Po prostu pana wyjazd z miasta nie pozostał niezauważony, a niektóre młode damy wprost zamartwiają się z tego powodu.

- Sądząc z tego, jak wspaniale pani wygląda, nie należy pani do tych dam, panno Harcourt.

Z całą pewnością, nie! - pomyślała, ale na szczęście zdołała się powstrzymać i nie odpowiedziała, że nie powtórzy błędu sprzed lat, kiedy to obdarzyła go sympatią. Raz już ją zranił i nie miała zamiaru stwarzać mu okazji, aby mógł to zrobić ponownie!

- Ja? To niemożliwe, sir - zaprzeczyła z uśmiechem, który jednak nie objął jej oczu. - Znamy się od tylu lat. Jesteśmy prawie jak brat i siostra! - stwierdziła, ale jeśli chciała w ten sposób urazić męską

dumę majora, to poniosła całkowitą klęskę.

- No właśnie. Dokładnie to samo próbowałem wyjaśnić kamerdynerowi pani ciotki. Ale on nadal upierał się, że panienka nie powinna przyjmować wizyt dżentelmenów bez przyzwoitki. Może w takim razie, korzystając z pięknej pogody, przyjmie panienka zaproszenie na przejażdżkę po parku?

Każda chwila spędzona w towarzystwie majora była jej wstrętą. Nie mogła jednak dopuścić, aby taka świetna okazja wypytania go o różne rzeczy przemknęła jej koło nosa, więc pospiesznie przyjęła zaproszenie.

Włożenie odpowiednio dobranego czepka zajęło jej tylko chwilę i oboje spiesznie wyszli wprost w ciepły kwietniowy dzień. Zaprzęg majora czekał przed domem i wystarczył jeden rzut oka, by Verity natychmiast rozpoznała piękne siwe konie. Siedzący na koźle sługa został odesłany do domu na Berkeley Square, a major ujął lejce.

- Co za wspaniałe konie! - pochwaliła Verity, kiedy zaprzęg ruszył.

- W rzeczy samej, panno Harcourt.

- Nie przypominam sobie, żeby przed służbą w wojsku kiedykolwiek jeździł pan powozem. O ile mnie pamięć nie zawodzi, zawsze i wszędzie udawał się pan konno.

Brin milczał, patrząc na nią nieodgadnionym wzrokiem, aż w końcu się odezwał.

- Nadal tak robię. Wydawało mi się jednak, że w mieście powinienem wyglądać... bardziej elegancko.

- Kupił pan ten zaprzęg, żeby lepiej prezentować się w towarzystwie?

- Nie tylko w tym celu.

W ten sposób upewniła się, że konie są własnością majora. Ale to był początek i jeszcze niejednej rzeczy powinna się dowiedzieć.

- Jak dawno pan je kupił? I gdzie można znaleźć takie piękne zwierzęta?

- Zadaje pani strasznie dużo pytań, panno Harcourt! Można by odnieść wrażenie, że przyjęła pani moje zaproszenie wyłącznie po to, żeby mnie wypytać.

Verity pomyślała, że dawniej Brin nie był aż tak przebiegły. Uznała, że od tej chwili musi postępować ostrożniej. Słodko się do niego uśmiechnęła.

- Co też pan mówi, majorze! Pytałam o konie, bo sama też chętnie pojeździłabym po mieście. Nie tylko panowie lubią w ten sposób zadawać szyku.

- To prawda. Ale niech pani nie oczekuje, że będę ją zachęcał do takiego szaleństwa.

W głosie majora zabrzmiała determinacja, która wydała się Verity znajoma, ale zanim zdążyła sobie uzmysłwić, z czym jej się to kojarzy, wrażenie ulotniło się. Ton majora był znów pogodny.

- Pani wuj Lucius nigdy by mi tego nie wybaczył. A skoro już o nim mówimy, to proszę, bym panią od niego pozdrowił.

Brin rozpoznał błysk satysfakcji, który pojawił się na chwilę w oczach Verity.

- Tak, panno Harcourt. Byłem w Yorkshire. - Uśmiechnął się. - Nie zapyta pani, co mnie do tego skłoniło?

Verity policzyła w myślach do dziesięciu.

- Nie. Nie zapytam - odparła cicho i powoli. - Tak samo jak nie będę pana prosiła o pomoc w kupnie koni, bo właśnie sobie przypomniałam, że podobno najlepiej je kupować w Tattersall!

- Tattersall to nie miejsce dla damy.

- Skoro tak, to w jaki sposób dama może kupić parę dobrych koni? - zapytała rozdrażniona zakazami, jakie na każdym kroku ograniczały swobodę młodych niezamężnych kobiet.

- Jak widzę, wciąż ma pani dosyć wybuchowe usposobienie. I nadal nie umie pani nad tym zapanować. Pamiętam, jak mój dziadek mówił przed laty, że pani potrzebuje twardszej ręki niż ręka Luciusa Redmonda.

Tego było doprawdy za wiele. Verity spojrzała na przystojny profil majora spod zmrużonych powiek. Z jakichś sobie tylko znanych powodów major celowo się z nią drażnił. Postanowiła jednak nie dopuścić, żeby to on zwyciężył w tej walce na słowa.

- Ależ, majorze! Dobrze pan wie, że to nieprawda. Pamiętam, co pan mówił podczas naszego ostatniego spotkania. Otóż twierdził pan wtedy, że pański dziadek zawsze patrzył na mnie pobłaźliwie i że moje zachowanie raczej bawiło go, niż złościło.

- Touche, panno Harcourt! - przyznał major z pełnym uznania uśmiechem, a humor Verity od razu się poprawił. - A wracając do koni, radzę, aby zanim pomyśli pani o kupnie, najpierw znalazła pani

kogoś, kto się na nich zna i będzie umiał służyć fachową pomocą.

- Czy pan tak właśnie postąpił? - zapytała z przekory, bo nie miała go już zamiaru wypytywać.

- W pewnym sensie tak. Mój dobry przyjaciel Marcus Ravenhurst wiedział, że szukam pary koni, i to on naprowadził mnie na te siwki.

Ciekawe. Bardzo ciekawe, pomyślała Verity. Chętnie wypytałaby majora, kiedy dokładnie wszedł w posiadanie tych pięknych koni, ale nie chciała ryzykować. I tak zadała już zbyt wiele pytań. Major mógł zacząć coś podejrzewać. Zrezygnowała więc z dalszego dochodzenia i zapytała go jedynie, czy zamierza pozostać w mieście do końca sezonu.

- Nie mam żadnych ustalonych planów. Wszystko zależy od tego, jak potoczą się sprawy.

- Ma pan na myśli kwestię tytułu?

- Tak, ale nie tylko. Są jeszcze inne istotne rzeczy - odparł, patrząc wprost przed siebie. - Czy to nie lady Gillingham i jej zachwycająca córka?

Major skierował konie w stronę odkrytego powozu Gillinghamów i zatrzymał zaprzęg. Wszyscy się przywitali, a potem major skierował całą swoją uwagę na obie panie Gillingham. Verity przysłuchiwała się rozmowie i z zaskoczeniem stwierdziła, że zarówno sposób wysławiania się majora, jak i jego maniery są bez zarzutu. Był czarujący i dystyngowany. Można było wręcz powiedzieć, że otacza go aura elegancji i dobrego wychowania.

Słuchając, jak Clarissa, wyjątkowo dziś spokojna i opanowana, odpowiada na zadawane jej pytania jedynie „tak”, „nie” lub „tak, mamo”, Verity zastanawiała się, czy Brin był zawsze taki dobrze ułożony.

- Mam nadzieję, że zobaczymy panią jutro na naszym balu, panno Harcourt - odezwała się lady Gillingham, wyrывая Verity z zamyślenia.

- Za nic w świecie nie chciałabym tego stracić - zapewniła pospiesznie Verity. - Słyszałam z absolutnie wiarygodnych źródeł, że pani dekoracje kwiatowe są niedoścignione i że nie ulega pani najnowszej modzie, która każe zmieniać salon w jedwabny namiot.

- Obiecuję, że nie będzie żadnego namiotu. Oczekujemy też obecności pana majora, chyba że jakieś pilne sprawy zatrzymają pana gdzie indziej. - Lady Gillingham uśmiechnęła się i dała znak woźnicy, żeby ruszał.

- Lady Gillingham to bardzo miła kobieta - zauważył Brin. - Ma taki uroczy i naturalny sposób bycia. Wielka szkoda, że tak niewiele pań z towarzystwa jest do niej podobnych.

- To prawda - przyznała Verity. - Clarissa jest bardzo podobna do matki, ale dzisiaj była jakaś nieswoja. Prawie się nie odzywała. A może nadal jest trochę zła, że oblał pan jej suknię szampanem? - zapytała z figlarnym błyskiem w oczach.

Pięć lat temu, zanim jeszcze wstąpił do wojska i wyjechał do Hiszpanii walczyć za ojczyznę, nie interesował się Verity Harcourt. Uważał ją wtedy za bardzo ładne, ale zdecydowanie zbyt

rozpuszczone dziecko. W tamtych czasach widywał ją jednak na tyle często, że doskonale pamiętał ten błysk w jej oczach i dobrze wiedział, co oznacza.

- Pozwolę sobie poinformować panią, panno Harcourt, że jest pani pozbawioną wszelkich skrupułów małą szelmą!

Verity roześmiała się, zupełnie nieurazona jego słowami.

- Muszę przyznać, że czasami postępuję trochę... niekonwencjonalnie. Ale jeszcze nikt nie nazwał mnie pozbawioną skrupułów... Nigdy!

I nagle Verity poczuła się w towarzystwie majora swobodnie jak przed laty, kiedy traktował ją z pobłażliwością starszego brata. Zanim spacer dobiegł końca i major odwiózł ją na Curzon Street, była cudownie odprężona i zadowolona z życia. Obiecała majorowi, że zarezerwuje dla niego taniec na balu u lady Gillingham. Nie umiała jednak powiedzieć, czy zrobiła to, by podjąć niedokończone dochodzenie, czy też po prostu chciała być jak najbliżej niego.

Rozdział ósmy

Lady Billington uznała, iż stwierdzenie, że Verity nie przywiązuje wagi do swojego wyglądu, byłoby niesprawiedliwe. Co prawda jej bratanica w porównaniu z innymi młodymi damami spędzała niewiele czasu przed lustrem, lecz zawsze była zadbana. Wyglądała ładnie i schludnie. Niestety lubiła zdecydowane, nasycone barwy i jej suknie były zazwyczaj koloru głębokiej ciemnej zieleni albo ulubionego szafiru. Tym razem jednak wybór materiałów na

swoje stroje powierzyła ciotce, co starsza dama przyjęła z pewną ulgą.

Ogólnie przyjęte zasady rządzące kolorami damskich strojów stanowiły, że młode niezamężne kobiety powinny nosić pastelowe barwy. Lady Billington z radością zaopatrzyła bratanicę w stosowną do jej wieku i stanu cywilnego garderobę. Dzięki temu na kolejnych przyjęciach sezonu Verity pojawiała się w bladych odcieniach żółci, błękitu albo zieleni. Ale za swój największy sukces starsza dama uznała nakłonienie bratanicy do włożenia sukni w kolorze białym, o czym wcześniej Verity nie chciała nawet słyszeć.

W czwartkowy wieczór, na balu w domu państwa Gillingham, lady Billington z niemałą satysfakcją obserwowała, jak ogromne wrażenie zrobiło na gościach pojawienie się Verity. Mimo tłoku została od razu zauważona i niejeden dżentelmen, wodząc za nią pełnymi zachwytu oczami, musiał w duchu przyznać, że dziś wygląda wręcz olśniewająco. Przepiękna suknia z cienkiego jak pajęczyna białego tiulu na białym satynowym spodzie budziła powszechny zachwyt, a wplecione w rude loki białe kwiatki dopełniały całości.

- Muszę przyznać, ciociu, że miałaś całkowitą rację - oświadczyła niespodziewanie Verity, choć zachowywała się tak, jakby nie była świadoma pełnych podziwu spojrzeń.

- Masz na myśli kolor sukni? - zapytała lady Billington, kiedy usiadły na przygotowanych pod ścianą krzesłach. - Wiem, moja droga. Wyglądasz naprawdę uroczo.

- Nie chodzi o sukienkę! - Verity niecierpliwie machnęła ręką. - Mówię o dekoracjach kwiatowych lady Gillingham. Pamiętam, jak się

nimi zachwyciłaś, i przyznaję, że są rzeczywiście wyjątkowo piękne.

- Masz rację. A w dodatku jestem pewna, że to ona sama je wszystkie zrobiła.

- W takim razie jest obdarzona ogromnym talentem. Chciałabym umieć zrobić coś chociaż w połowie tak pięknego.

Lady Billington nie miała jednak okazji odpowiedzieć, bo Verity została poproszona do tańca przez młodzieńca w jedwabnej kamizelce w żółtozielone paski. Na parkiecie zbierały się już pary, zajmując pozycję do pierwszych tańców.

Obserwując wirującą po parkiecie bratanicę, lady Billington uśmiechała się do siebie. Znała Verity i wiedziała, że dziewczyna ma dobre serce i że jej pochwały są zawsze szczerze. Z całą pewnością nie znosiła głupców, ale jeżeli nie miała naprawdę ważnych powodów, nigdy celowo nie robiła innym przykrości. Zarówno z księciem, jak i ze stajennym umiała uprzejmie i miło porozmawiać i chwaliło jej się to, że nigdy nie wywyższała się nad innych z racji swego urodzenia. Ale choć obdarzona tyłoma różnymi zaletami, miała też i wady. Ciotka zdawała sobie z tego sprawę, bo chociaż ogromnie kochała bratanicę, to nie była tą miłością zaślepiona. Verity bywała uparta jak osioł, a w dodatku nie zawsze potrafiła zapanować nad swoim wybuchowym usposobieniem. Lady Billington czuła, że aby okiełznać bratanicę, potrzeba męskiej ręki. I to ręki dżentelmena o bardzo silnej woli. Kto wie, czy nie silniejszej niż ta, którą była obdarzona Verity.

Nagle uwagę starszej damy przyciągnęło pojawienie się dwóch nowych gości. Jednym z nich był jej brat. Obecność lorda Charlesa na

balu była dość zaskakująca, ale to nie jego widok wywołał uśmiech satysfakcji na twarzy lady Billington. Patrzyła na mężczyznę, który towarzyszył bratu. Jeśli się nie myliła, to właśnie ten wysoki i postawny dżentelmen wydawał się doskonałym kandydatem do poskromienia tej upartej dzierlatki.

Verity, wirując po parkiecie, nie zwróciła uwagi na pojawienie się stryja Charlesa i majora Cartera. Nie zdołała też wrócić do ciotki w ciągu kilku kolejnych dwóch tańców, bo następni partnerzy pojawiali się, zanim zdołała dotrzeć do krzesła. Zaczęła już się nawet obawiać, że jeśli nie podejmie jakichś zdecydowanych kroków, cały wieczór będzie musiała spędzić na parkiecie. Skorzystała z tego, że muzyka na chwilę umilkła, i energicznym krokiem skierowała się wprost do lokaja trzymającego srebrną tacę z napojami. W ten sposób umknęła kolejnemu młodzieńcowi, który wyraźnie chciał ją poprosić do tańca.

Sięgając po szklaneczkę z napojem, zauważyła szczupłą sylwetkę Clarissy, która widocznie także była spragniona.

- Coraz większy tłok i robi się gorąco - zagadnęła Verity. - Ciozia na pewno powiedziała by, że to znak, iż przyjęcie okaże się sukcesem. Twoja mama musi być bardzo zadowolona.

Nie doczekała się jednak odpowiedzi, więc mówiła dalej.

- A te aranżacje kwiatowe są doprawdy wyjątkowe. Nigdy w życiu nie widziałam nic równie pięknego - pochwaliła.

- Mama jest bardzo utalentowana. Szkoda, że nie jestem do niej bardziej podobna. - Clarissa westchnęła cicho.

Verity i Clarissa poznały się dopiero podczas tegorocznego

sezonu, ale rozmawiały ze sobą na wszystkich przyjęciach i balach, na których się spotykały. Dlatego Verity uznała, że może sobie pozwolić na nieco bardziej osobistą uwagę.

- Jest pani bardzo podobna do swojej mamy, panno Gillingham. Wielu ludzi to widzi i podkreśla - powiedziała miękkiem głosem.

- Tylko z wyglądu, ale nie ze sposobu bycia - zauważyła Clarissa. - Mama zawsze tak ślicznie wygląda i bez względu na okoliczności i towarzystwo umie się elegancko zachować, podczas gdy ja...

- Wcale nie różni się pani od mamy, panno Gillingham.

- Proszę mi mówić po imieniu. Staram się postępować tak, jak życzyłaby sobie tego mama. Ale czasami zupełnie mi nie wychodzi. Dużo lepiej czuję się na wsi niż w mieście. Bardzo lubię mieszkać z tatą na farmie i pomagać przy gospodarstwie.

Verity była zaskoczona tym nieoczekiwanym wyznaniem. A choć panna Gillingham wyraźnie wolała stajnię niż salon, jakoś nie mogła sobie wyobrazić tej drobnej, kruchej dziewczyny przedzierającej się przez błoto i brud w roboczych buciorach.

- Mama nie mogła się doczekać mojego debiutu w towarzystwie - ciągnęła Clarissa płaczliwie. - Tak bardzo się starała, żeby to był wielki sukces. Mam nadzieję, że jej nie zawiodę i znajdę męża, który wyda się jej odpowiedni. Ale...

- Na pewno jej nie rozczarujesz. - Verity uśmiechnęła się pokrzepiająco do nieszczęsnej dziewczyny. - Zawsze, kiedy cię widzę, otacza cię wielu młodych dżentelmenów.

- To prawda - odparła bez specjalnego entuzjazmu Clarissa. - Ale problem polega na tym, że z większością z nich nie potrafię rozmawiać. Wydaje mi się, że interesują ich jedynie takie bzdury, jak najnowsze fasony płaszczy czy butów. Nawet major Carter, który podoba mi się bardziej niż inni, robi wrażenie, jakby nie orientował się zbyt dobrze w sprawach związanych z gospodarstwem.

- Pewnie masz rację - powiedziała Verity, z trudem powstrzymując rozbawienie. - Tym bardziej że jak wiemy, kariera wojskowego pociągała go znacznie bardziej niż zarządzanie majątkiem. Ale uważam, że jeśli major poważnie zajmie się gospodarstwem, na pewno odniesie sukces - dodała, chcąc pocieszyć Clarissę.

Rozglądając się po sali, sączyła szampana, gdy nagle dostrzegła stryja Charlesa.

- Wielkie nieba! Cudom nie ma końca! - zawołała. - Stryj Charles pojawił się na balu. Wybacz mi, proszę, ale muszę wrócić do ciotki. I tak na pewno już się martwi, co ze mnie wyrośnie.

Ale wbrew przewidywaniom Verity lady Billington wcale nie była zmartwiona jej nieobecnością. Starsza dama ani na chwilę nie traciła bratanicy z oka i zerkając w jej kierunku, nieustannie kontrolowała, gdzie jest i z kim rozmawia. A choć nie spuszczała czujnego spojrzenia z Verity, w tym samym czasie obserwowała jeszcze kilka osób, jednocześnie rozmawiając z siedzącą obok niej damą. To, co zauważyła, wprawiło ją w świetny humor.

- Wielbiciele nareszcie dali ci odpocząć? - zapytała, kiedy Verity

usiadła na krześle obok niej. Dziewczyna wzniosła oczy do nieba, a lady Billington uśmiechnęła się.

- Pochlebia mi, że tylu dżentelmenów prosi mnie do tańca, ale nawet tak miłe rzeczy mogą zmęczyć. Poza tym te nieszczęsne białe pantofelki okropnie uciskają mnie w palce.

- Wirujesz po parkiecie z taką gracją, że nikt tego nie odgadnie.

Verity uśmiechnęła się, dziękując ciotce za komplement, ale zaraz zmieniła temat.

- Widziała ciocia, kto się tu pojawił?

- Owszem, widziałam, że przyjechał major Carter.

- Major? Nie wiedziałam, że tu jest. - Verity rozejrzała się po salonie i dostrzegła wysoką sylwetkę majora stojącego z grupą dżentelmenów pod przeciwległą ścianą. - Rzeczywiście! Ale to nie jego miałam na myśli. Chciałam cioci powiedzieć, że widziałam stryja Charlesa.

- A tak, mój brat i major Carter przyszli razem. Nie wiedziałam, że się znają.

- Eee... Jestem pewna, że kiedyś się poznali - odparła ostrożnie Verity. Nie chciała, aby ciotka domyśliła się, że rozmawiała ze stryjem na temat majora, bo kto wie, co mogłaby sobie pomyśleć. Na wszelki wypadek szybko zmieniła temat.

- Kim jest ten dżentelmen w średnim wieku, z którym rozmawia stryj Charles? Jestem pewna, że nigdy go nie widziałam.

- To lord Castleford. W ubiegłym tygodniu, na przyjęciu u Morlandów, tańczyłaś z jego bratankiem. Pamiętasz?

- A tak! Taki przystojny blondyn. Nie bardzo mi się spodobał. Ma zbyt wysokie mniemanie o własnej osobie... I jest w nim coś takiego... - Verity nie dokończyła i popatrzyła na dość krępą sylwetkę lorda Castleforda. - Czy żona lorda albo jego syn są tutaj dzisiaj?

- Wątpię, moja droga. Żadne z nich nie przepada za miejskim stylem życia.

- Dowiedziałam się, że jest tu jeszcze ktoś, kto ma podobne upodobania. - Verity uśmiechnęła się leciutko. - Okazuje się, że mała Clarissa Gillingham woli owce i krowy niż bale i przyjęcia.

- Naprawdę? - Zaskoczona lady Billington uniosła brwi. - Interesujące! Ciekawe, czy przez to wypadnie z gry?

Verity nie miała zamiaru udawać, że nie rozumie, o czym mówi ciotka. Niemal od pierwszych dni pobytu w Londynie знаła nazwiska trzech młodych dam, które wzbudziły zainteresowanie przystojnego majora Cartera. Aż do dzisiejszego wieczoru uważała, że to właśnie ładna, miła i łagodna Clarissa ma największe szanse na tytuł przyszłej wicehrabiny Dartwood. Ale po jej wyznaniu nie była już tego taka pewna.

Zrozumiała, że Clarissa nie będzie szczęśliwa, żyjąc w mieście. Nie wiedziała jednak, czy wiejska sielanka może zadowolić byłego żołnierza nawykłego do mocnych wrażeń, dla którego ryzyko było chlebem powszednim. Trudno to sobie wyobrazić. Bo przecież trudy żołnierskiej egzystencji podczas kampanii hiszpańskiej i ciągle narażanie życia dla ojczyzny musiały zostawić jakieś ślady w psychice majora.

Zamyślona, przeniosła wzrok na drugą z faworytek majora, która właśnie w tej chwili mknęła lekko po parkiecie w jakimś skocznym tańcu. Hilary Fenner. Panienska z dobrego domu, ładna i sympatyczna, znała majora dużo dłużej niż Verity. Niestety była okropnie gadatliwa, a do tego natura obdarzyła ją wysokim i piskliwym głosem, którego brzmienie było trudne do wytrzymania. Gdyby nie ten głos, Hilary byłaby doskonałą kandydatką, pomyślała Verity. Zerknęła na trzecią faworyzowaną przez majora młodą damę.

Lady Caroline Mortimer - jedyna córka hrabiego i hrabiny Westbury. Zdaniem Verity Caroline była najładniejsza z tych trzech młodych dam, choć jej wyniosły sposób bycia mógł działać ciut odpychająco. Jeżeli Brin rzeczywiście chciałby ją poślubić, to trzeba przyznać, że mierzył wysoko. Ale w zasadzie dlaczego niby miałby nie próbować? W końcu tytuł wicehrabiny był nie do pogardzenia.

- Obiecała mi pani taniec, panno Harcourt. Mam nadzieję, że pani pamięta?

Głos majora wyrwał Verity z zamyślenia. Doprawdy, co za okropny zwyczaj zjawiać się wtedy, kiedy przypadkiem akurat o nim myślę! - powiedziała sobie w duchu zirytowana.

- Oczywiście, sir, pamiętam. - Verity podniosła się z krzesła, przywołując na twarz uśmiech. - Mam wrażenie, że za chwilę zagrają walca. Co za szczęście, że w ubiegłym tygodniu moja straszna ciotka pozwoliła mi to tańczyć.

- Na Boga, dziecko! Mów ciszej! - zganiała ją niemal szeptem lady Billington, a potem dyskretnie zerknęła, czy siedząca niedaleko

pani Drummond Burrell, najbardziej onieśmielająca matrona na balu, słyszała słowa bratanicy. - Nie chcesz chyba zostać zbojkotowana i wykluczona z towarzystwa?

- Całkiem kusząca perspektywa! - odparła Verity z figlarnym błyskiem w błękitnych oczach.

- Pani pozwoli, że uwolnię ją na chwilę od towarzystwa bratanicy, która czasami bywa wyjątkowo irytująca - wtrącił major i zanim Verity zdążyła zrobić kolejną skandaliczną uwagę, która mogłaby zdenerwować zazwyczaj spokojną i opanowaną lady Billington, pociągnął ją na parkiet.

Czując dłoń majora na swojej talii, spoważniała, a całe niestosowne rozbawienie nagle minęło bez śladu. Wśród seniorów walc wciąż uchodził za taniec nieprzyzwoity, ale Verity tańczyła go w ciągu minionego tygodnia, za zgodą ciotki, z wieloma partnerami. Dotyk żadnego z nich nie sprawił jednak, aby jej puls tak gwałtownie przyspieszył jak teraz. Co się ze mną dzieje? - zastanawiała się. Czy to możliwe, żeby gdzieś głęboko, na samym dnie jej serca, ciągle jeszcze tliły się uczucia do majora? Byłoby to świetne wytłumaczenie jej reakcji na niego, ale wcale nie było jej przez to łatwiej się uspokoić. Próbując się opanować, skupiła się na tańcu, pilnując, by nie pomylić kroku.

- Jest pani bardzo spokojna - zauważył major, a ta zwyczaj na uwaga sprawiła, że Verity uniosła głowę i popatrzyła na niego. - Czy coś się stało? - zapytał, dostrzegając w tej chwili w jej oczach niepokój. - Co aż tak panią poruszyło? - W jego zatroskanym głosie

nie było śladu kpiny.

Co za przebiegłość, pomyślała i pospiesznie zapewniła, że wszystko jest w porządku. Zrobiła to jednak tak nieprzekonująco, że nie uwierzyłby jej nawet największy naiwniak.

- Ciągle jeszcze myślą mi się kroki tego tańca, a nie chciała bym nadepnąć panu na palce.

- Proszę się tym nie martwić. Nawet jeśli pani nadepnie, zapewniam, że nic mi nie będzie.

Verity dobrze wiedziała, że nic mu się nie stanie, tak samo jak wiedziała, że nie uwierzył w jej tłumaczenie.

- Przyjechał pan dziś wieczorem razem z moim stryjem, lordem Charlesem Harcourtem. Dobrze go pan zna? - zapytała, żeby zmienić temat.

- Nie przyjechaliśmy razem. Spotkaliśmy się na schodach - wyjaśnił major. - Ale owszem, znam lorda Harcourta. Jesteśmy członkami tego samego klubu.

Skoro tak, to czemu stryj sam nie dowie się czegoś o majorze? Przecież przy kartach i kieliszku wina, w miłej atmosferze klubu, łatwo się rozmawia. Prawdę mówiąc, trudno sobie wyobrazić lepsze okoliczności. Dlaczego z nich nie skorzysta? Wydało się jej to niepokojące, ale szybko odsunęła od siebie te myśli.

- Stryj rzadko pojawia się na balach, dlatego zdziwiłam się, widząc go tutaj dziś wieczorem.

- To samo można powiedzieć o lordzie Castlefordzie. - Brin zerknął na rozmawiających w kącie dwóch mężczyzn. - Tak się

składa, że Castleford jest bliskim sąsiadem mojego przyjaciela Ravenhursta.

Czy ciotka nie wspominała przypadkiem, że Castleford jest jakoś związany z Ministerstwem Wojny? Verity zmrużyła lekko oczy. Bardzo ciekawe!

- Szkoda, że pana przyjaciel nie przyjechał do miasta. Chętnie zamieniłabym z nim dwa słowa - powiedziała i dopiero słysząc samą siebie, uświadomiła sobie, że głośno myśli. - Na temat koni, oczywiście. W końcu to przez niego trafił pan na tę parę wspaniałych siwków... - dodała, widząc zagadkowy błysk w oczach majora.

- Na pani miejscu raczej bym na to nie liczył - odparł major z lekko kpiącą nutą w głosie. - Mogę zapewnić, że Ravenhurst nie pomoże pani znaleźć żadnych koni.

- A to dlaczego?

- Po pierwsze, mój przyjaciel nie jest zwolennikiem powożenia przez kobiety. Nigdy nie pozwoliłby na przykład, aby jego żona wzięła lejce do ręki. A po drugie, dlatego że ja się temu sprzeciwię. Jest pani zbyt uroczą młodą damą, aby ryzykować skręcenie karku dla czegoś, co, jak podejrzewam, okaże się tylko kaprysem.

Verity musiała użyć całej swojej siły woli, aby nie powiedzieć majorowi, co myśli o jego wtrącaniu się w jej prywatne sprawy. Jak on śmie przypuszczać, że kiedykolwiek będzie miał w jej sprawach coś do powiedzenia? - pomyślała oburzona. I nagle roześmiała się, bo sytuacja wydała się jej zabawna.

- Już wcześniej wykazał się pan bezbrzeżną impertynencją,

ośmielając sugerować, że jestem pozbawiona skrupułów. Wydaje mi się jednak, że z nas dwojga to pan jest bardziej przebiegły. Jak mogłabym przywołać pana do porządku, skoro w jednej chwili zakłada pan wyniośle, że mógłby dyktować mi, co mam robić, a zaraz potem prawi mi komplementy?

- Czyżbym pomieszał pani szyki? Mimo wszystko mam nadzieję, że nie żywi pani do mnie urazy. Może to pani udowodnić, pozwalając odprowadzić się później na kolację i rezerwując dla mnie ostatni taniec wieczoru.

Chcąc spełnić prośbę majora, Verity musiałaby złamać swoją żelazną zasadę, która zabraniała jej podczas jednego przyjęcia tańczyć dwa razy z tym samym partnerem. Ale nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby mu odmówić. Uznała, że zna majora wystarczająco długo, by dla niego zrobić wyjątek.

Zresztą im dłużej będzie przebywała w jego towarzystwie, tym większa szansa, że zdoła odkryć coś ważnego. Zakładając oczywiście, że w ogóle było coś ważnego do odkrycia.

Od balu w domu Gillinghamów nie było dnia, aby Verity nie widziała się z majorem. Spotykali się albo wieczorem na przyjęciu, albo w ciągu dnia, kiedy major zabierał ją na przejażdżkę po parku. Nie trzeba było wiele czasu, aby zostało zauważone i skomentowane, że ostatnio panna Harcourt wyraźnie cieszy się łaskami majora Cartera.

Zaczęto snuć domysły: czy to możliwe, że przystojny major znalazł czwartą kandydatkę na przyszłą wicehrabinę Dartwood? Na to

wyglądało. A jaką piękną parę stanowili! Ona smukła z płomiennymi włosami, a on wysoki i szeroki w barach z rudobrązowymi lokami!

Tylko ślepy i głuchy mógłby nie zwrócić uwagi na te krążące po salonach plotki. Ale nikt nie odgadł, co myśli o tych rewelacjach Brin. Zawsze kiedy spotykał Verity na jakimś balu czy przyjęciu, prosił ją do tańca. Mimo to nie mogła stwierdzić, żeby major ją wyróżniał lub okazywał jej szczególne zainteresowanie. Bo jeśli na balu znajdowała się którakolwiek z pozostałych trzech panien, które powszechnie uważano za kandydatki na przyszłą wicehrabinę Dartwood, major także pilnował, aby z nią zatańczyć.

Będąc razem, obojętne, czy na parkiecie sali balowej, czy w powozie podczas spaceru po parku, major i Verity zwracali na siebie powszechną uwagę. Początkowo Verity uważała, że to zabawne. Ale z czasem była coraz mniej zadowolona, aż w końcu zaczęła czuć się winna. Próbowала sobie tłumaczyć, że jej pogoń za Brinem powodowana jest wyłącznie najlepszymi intencjami. Ale choć powtarzała sobie, że robi to przecież dla dobra kraju i dla samego Brina, nie zdołała uspokoić swojego sumienia. Im więcej przebywała w towarzystwie majora, tym bardziej go lubiła i czuła, że ta sympatia jest odwzajemniana. Uznała, że w tej sytuacji nie ma prawa ryzykować i dopuścić do tego, by major zaczął do niej żywić silniejsze uczucia. To byłoby niesprawiedliwe, bezduszne i nie fair! I niegodne Verity Harcourt.

Sprawy przybrały szybszy obrót mniej więcej tydzień po balu u Gillinghamów.

Verity zeszła na śniadanie i zastała w jadalni ciotkę, która siedziała już za stołem, z trudem panując nad radosnym podnieceniem.

- Nigdy nie zgadniesz, co dostałam dzisiaj rano - zawołała lady Billington, biorąc do ręki list. - Otóż pani Sarah Ravenhurst zaprasza nas na kilka dni do swojej wiejskiej rezydencji. Zresztą masz, sama przeczytaj.

Verity przebiegła wzrokiem kilka linijek zapisanych starannym, eleganckim pismem i zdziwiona popatrzyła na ciotkę.

- Nie wiedziałam, że ciocia zna Ravenhurstów.

- Nie znam ich. To znaczy oczywiście znam Marcusa Ravenhursta, który jest raczej nieprzystępny i zawsze ma strasznie srogą minę. A w zeszłym roku, kiedy zjawili się w Londynie, poznałam jego żonę, Sarah. Muszę przyznać, że to wyjątkowo ładna i urocza młoda kobieta. Ale ani jego, ani jej nie znam bliżej.

- Dlaczego w takim razie zapraszają nas do siebie do domu? Odpowiedź na to pytanie była dla lady Billington zupełnie oczywista. Sara Ravenhurst zaprosiła je w imieniu swoje go dobrego przyjaciela, Brina Cartera. Dlaczego jednak Verity sama na to nie wpadła? - zastanawiała się, próbując nie przyglądać się bratanicy zbyt nachalnie.

Sięgnęła po dzbanek i naląa kawę do dwóch filiżanek. Prawdę mówiąc, od początku czujnie obserwowała majora i Verity. Wiedziała więc, i była z tego zadowolona, że dziewczyna nigdy nie odmówiła mu tańca ani nie wykręcała się od przejazdów jego zaprzęgiem.

Major, dżentelmen w najlepszym tego słowa znaczeniu,

zachowywał umiar w okazywaniu Verity zainteresowania i widać było, że podchodzi do tego bardzo ostrożnie. Każdy jednak, kto widział tych dwoje razem, musiał przyznać, że nie tylko świetnie razem wyglądają, ale też dobrze się czują w swoim towarzystwie. Lady Billington nie miała wątpliwości, że dawne dziecinne uprzedzenia Verity wobec majora już zostały zapomniane. Ale trudno było jej ocenić, jak głębokie jest uczucie, którym jej bratanica teraz go darzy. Nie mogła wykluczyć, że Verity nadal widzi w nim tylko dawnego przyjaciela, a to oznaczało, że aby majora nie zniechęcić, należy postępować bardzo ostrożnie. Ta sprawa wymaga prawdziwej finezji, uznała ta starsza, bardzo inteligentna dama. Wiedziała doskonale, że nie wolno jej nie doceniać spostrzegawczości bratanicy.

- Z listu wynika, że Sarah Ravenhurst zaprasza do siebie kilka osób i wcale nie byłabym zdziwiona, gdyby się okazało, że to na prośbę Brina zaprosiła także i ciebie. Ostatnio znów się przyjaźnicie. - Lady Billington podała bratanicy filiżankę kawy i nie dając jej dojść do słowa, ciągnęła: - Muszę przyznać, że to zaproszenie to zaszczyt. Poza tym naprawdę chciałabym zobaczyć ich dom. Słyszałam, że jest wspaniały i zupełnie niesamowity. Ale nie musimy odpowiadać od razu. Możemy to przemyśleć i podjąć decyzję jutro lub pojutrze.

Mimo pozornie obojętnego tonu ciotki Verity ani przez chwilę nie dała się zwieść jej słowom. Wiedziała, że lady Billington decyzję już podjęła. A ona sama też nie potrzebowała czasu do namysłu. Przyjęcie tego zaproszenia w ogóle nie wchodzi w rachubę! Coś takiego jest absolutnie nie do pomyślenia! Jakże byłaby okrutna,

pozwalając, aby Brin pomyślał, że jej zgoda wynika z uczuć, jakie do niego żywi. A przecież gdyby przyjęła jego zaproszenie do Ravenhurstow, byłoby to równoznaczne z przyznaniem, że nie jest jej obojętny. Nagle zrozumiała, jak gruboskórne i bezduszne było jej zachowanie w stosunku do majora, od kiedy przystała na prośbę stryja i zaczęła go obserwować. Cóż z tego, że przyświecał jej tak zacny cel? Poczula, że musi to wszystko naprawić. Tylko jak? Najważniejsze to grzecznie odmówić przyjęcia zaproszenia, tak by nie obudzić podejrzeń ciotki.

Lady Billington powiedziała coś na temat wieczornego przyjęcia i przerwała ponure rozmyślenia bratanicy. Verity zmusiła się, by wysłuchać jej uwag, ale natychmiast po skończonym śniadaniu poszła do siebie. Przebrała się w suknię spacerową. Uznała bowiem, że dziś potrzeba jej świeżego powietrza i samotności.

Bez trudu udało się jej uniknąć towarzystwa Meg, która niewzywana, nigdy nie przychodziła do pokoju swojej pani. Dużo trudniej było jednak umknąć przed czujnym okiem Horacego. Pies, przyzwyczajony do spacerów, czekał już na nią przy schodach, machając z nadzieją ogonem. Verity popatrzyła na kudłate maleństwo i ku swojemu zdziwieniu odkryła, że nie ma serca sprawić mu zawodu.

Wymknęła się z domu przez nikogo niewidziana, ale idąc ulicą, nie mogła się pozbyć wrażenia, że ktoś ją obserwuje. Kilka razy się obejrzała, lecz nie zauważyła niczego podejrzanego. Było dość tłoczno i niejedna osoba zerknęła na nią ze zdziwieniem. W

zaskoczonych i zgorszonych spojrzeniach nie było jednak niczego niezwykłego. Verity wiedziała, że postępuje bardzo niewłaściwie, bo żadna dobrze urodzona młoda panna nie chodzi sama po ulicy, nawet w środku dnia.

W końcu dotarła do parku i odetchnęła, czując, że tu już nie budzi takiego zainteresowania. W przeciwieństwie do Hyde Parku, gdzie zawsze było tłoczno, Green Park był raczej pusty. Patrząc na pasące się krowy i na pastuchów, którzy chętnie oferowali spacerowiczom szklanekę świeżego mleka, Verity czuła się niemal jak na wsi.

Niestety, Horace był urażony tym, że ma dzielić park z krowami, i obwieszczał to głośnym szczekaniem. Aby uniknąć jego hałaśliwych protestów, Verity starała się trzymać z dala od miejsc, gdzie wypasano krowy.

Kiedy pies dosyć się już nabiegał, Verity usiadła na trawie w pobliżu krzaków i zaczęła rozmyślać, jak wybrnąć z delikatnej sytuacji, w jakiej się znalazła.

Nagle na jej twarzy pojawił się cierpki uśmiech. Myślała, że już dawno wyrosła z młodzieńczej porywczosci, ale jak widać, wcale nie. Od kiedy opuściła szkołę dla panien w Bath, musiała pogodzić się z wieloma zasadami i ograniczeniami, jakimi społeczeństwo z uporem krępowało płec piękną. Uważała przy tym, że kobiety, nie mając ani prawa głosu w sprawach państwowych, ani nie mogąc walczyć za ojczyznę, są traktowane jak obywatele drugiej kategorii.

Kobiety dobrze urodzone miały zaś jeszcze mniej swobody od

tych prostych, pochodzących ze społecznych nizin. Damy z towarzystwa traktowano nieledwie jak ozdoby i oczekiwano od nich jedynie urodzenia dzieci i sprawnego zarządzania gospodarstwem domowym. W tej sytuacji trudno było się dziwić, że dziewczyna obdarzona tak żywą inteligencją jak Verity wprost rzuciła się na propozycję stryja Charlesa, który dawał jej okazję zrobienia w życiu czegoś naprawdę znaczącego. Była jednak w stosunku do siebie na tyle uczciwa, że nie kryła, iż nie zastanowiła się wtedy nad różnymi konsekwencjami swojego działania.

Od balu w domu Gillinghamów nie dowiedziała się o majorze niczego nowego, ale była zupełnie pewna, że nie jest on zdrajcą. Załóżmy jednak, że odkryłaby coś, co mogłoby go bardzo obciążyć... na przykład to, że w tamten piątek to on był w gospodzie we Frampington. Czy przekazałaby tę informację stryjowi, wiedząc, że Brin zostanie aresztowany i jako zdrajca odda życie na szubienicy?

Och, nie! To byłoby straszne. Verity zadrżała, nie chcąc o tym nawet myśleć.

Zrozumiała, że to, co zdążyła zrobić do tej pory, było wystarczająco okropne, i poczuła wyrzuty sumienia. Nigdy niczego mu nie odmówiła i zawsze okazywała radość na jego widok. Nic dziwnego, że mógł odnieść mylne wrażenie co do jej uczuć. Nie zaprzeczała, że go lubi... Owszem, lubi, ale on wyraźnie uwierzył, że z jej strony to coś więcej niż zwyczajne lubienie. Zrozumiała, że nie ma wyboru i musi przekonać Brina, że się pomylił. A do tego musi to zrobić możliwie jak najdelikatniej, aby nie sprawić mu bólu.

- Co panienka tu robi, i to zupełnie sama?

Verity podskoczyła, słysząc to pytanie, a Horace, obudzony z drzemki, zaczął hałaśliwie protestować przeciwko takiemu traktowaniu. Była tak zaskoczona, że wypuściła smycz, a pies od razu skorzystał z okazji i zniknął w krzakach, aby zbadać, kto ośmielił się mu przerwać sen.

- Woźnico, czy to pan? - zapytała Verity, gdy po chwili odzyskała równowagę. Niestety krzaki były zbyt gęste, by mogła coś zobaczyć.

- Tak, panienko... I niech panienka odwróci się do mnie tyłem. Nieznośna dziewczyna! Nie pamięta panienka, co jej mówiłem?

Verity natychmiast posłuchała polecenia i odwróciła się plecami do krzaków.

- Nie jest pan teraz przebrany? Oczywiście, że nie. Co za głupie pytanie! - Zaśmiała się cicho, bo w jego towarzystwie czuła się zupełnie swobodnie. - Gdyby próbował pan prze chadzać się po parku w masce i w pelerynie, szybko trafiłby pan do aresztu.

Ale z krzaków nie dochodził żaden głos. Nawet rozpieszczony pekińczyk ciotki Clary przestał szczekać.

- Gdzie jest Horace? - zaniepokoiła się.

- Jest tutaj razem ze mną. Mam nadzieję, że to nie jest pies panienki, bo ja wolę większe.

- Oczywiście, że nie jest mój! Należy do ciotki Clary. Ale co pan mu zrobił, że jest tak cicho? O Boże! Chyba go pan nie udusił? - zapytała podejrzliwie. - Ciotka nigdy by mi tego nie wybaczyła!

- Nic mu nie jest. Drapię go po brzuchu, a on leży na plecach i zadowolony macha łapami.

- Proszę uważać. Czasem potrafi ugryźć nieznajomego - ostrzegła.

- Zwierzęta mnie nie gryzą, panienko. Choć muszę przyznać, że raz rzuciła się na mnie niegrzeczna mała kotka. Myślę jednak, że już nigdy więcej tego nie spróbuje. Chyba że okaże się całkiem niemądra.

Verity zacisnęła usta i nie dała się wciągnąć w sprzeczkę. Ale kiedy Woźnica ponownie zapytał, dlaczego przyszła do parku bez pokojówki, nie mogła dalej milczeć.

- Chciałam być sama! - warknęła, urażona apodyktycznym tonem głosu, jakim domagał się odpowiedzi. - Skąd pan wiedział, że tu jestem? Chyba mnie pan nie śledził?

- Często widzę panienkę w mieście i w parku, ale panienka nie wie, że ja tam jestem.

- Nie musi mnie pan już pilnować - oświadczyła, bo właśnie podjęła decyzję. - Postanowiłam, że nie będę dłużej pomagać stryjowi.

- A to dlaczego? - zdziwił się.

- Doszłam do wniosku, że nie nadaję się do tego typu zadań.

- Niech panienka da spokój! Czuję, że kryje się za tym coś więcej. Co panienkę tak zaniepokoiło? - zapytał, tym razem łagodnie.

- Nic. Naprawdę, nic. Tylko... - Verity ciężko westchnęła. - Od razu mówiłam, że nie wierzę w winę Brina i wcale nie zmieniłam zdania. W zeszłym tygodniu odkryłam tylko tyle, że przyjaciel majora, Marcus Ravenhurst, miał coś wspólnego z kupnem pary

siwych koni, którymi teraz jeździ major. Ale nie wiem, czy to były jego konie, czy tylko skontaktował majora z ich właścicielem. Brin to szczwany lis! Z łatwością unika odpowiedzi na pytania, na które nie ma ochoty odpowiedzieć. I szczerze mówiąc, wątpię, abym zdołała od niego jeszcze coś wydobyć - zakończyła zirytowana.

- Czy to jedyny powód, dla którego panienka nie chce dłużej pracować dla stryja?

- Muszę przyznać, że mam wyrzuty sumienia. - Verity znów westchnęła. - Boję się, że major mógł wyciągnąć mylne wnioski, widząc radość, z jaką go za każdym razem witam. Mógł sobie wyrobić całkowicie nieprawdziwą opinię... Chodzi o to, że zostałam zaproszona na kilka dni do posiadłości państwa Ravenhurst.

- I co z tego?

Verity wzniosła oczy do nieba. Ależ ci mężczyźni potrafią być czasami tępi!

- Nigdy ich nawet nie spotkałam. Mogę się więc domyślać, że za tym zaproszeniem stoi osobiście major Carter, który ostatnio... chyba mnie polubił.

- Na pewno polubił. Przecież jest panienka uroczą młodą kobietą.

Stwierdzenie Woźnicy sprawiło jej dużą przyjemność i poczuła, że się rumieni.

- W każdym razie rozumie pan, że nie mogę przyjąć tego zaproszenia. Gdybym tam pojechała, major mógłby pomyśleć, że odwzajemniam jego uczucia, a to byłoby z mojej strony nie fair.

- Na miejscu panienki nie zaprzętałbym sobie tym ślicznej główki. Nie pani jedna otrzymała takie zaproszenie. O ile wiem, córka hrabiego też je dostała, i ta pani przyjaciółka, Fennerówna.

- Skąd pan wie takie rzeczy?

- Muszę wiedzieć, taka moja praca. Wszyscy wiedzą, że major im nadskakuje. Dostały zaproszenia dużo wcześniej niż panienka. - Woźnica zrobił znaczącą przerwę. - Można by powiedzieć, że panienka została dołączona do tego grona dopiero po zastanowieniu.

Verity pisnęła z oburzenia. Nagle wszystko zrozumiała. Ten drań zaprosił ją i pozostałe panny do posiadłości Ravenhurstów, żeby się im bliżej przyjrzeć, ocenić i wybrać tę, która będzie najlepszą wicehrabiną. Nigdy nie czuła się tak upokorzona!

- Skoro major nie umie zdecydować, która panna podoba mu się najbardziej, to uważam, że zaproszenie wszystkich na wieś jest całkiem dobrym pomysłem - przyznał bezstronnie Woźnica. - Choć osobiście nie miałbym z wyborem żadnego kłopotu. Mnie najbardziej podoba się panienka. Ale każdy sądzi według siebie.

Komplement Woźnicy poszedł na marne, bo Verity, zajęta wymyślaniami coraz nowych epitetów, jakimi można było określić majora, nie słyszała jego słów.

A ja miałam wyrzuty sumienia, że go krzywdzę! Co za idiotka! Major, nad którym tak niedawno jeszcze się użalała, stał się nagle w jej oczach pozbawionym wszelkich zasad łajdakiem, najgorszym, bezdusznym potworem, gotowym bezmyślnie i nieodpowiedzialnie bawić się uczuciami niczego nieświadomych dam. Ale jej to nie

dotyczy! Ona jest za mądra, aby dać się zwieść przystojnej twarzy i z pozoru nienagannym manierom... Myśl, że miałyby być oceniana i porównywana z innymi, doprowadzała ją do białej gorączki. Kipiała ze złości. Major zasłużył sobie na porządną lekcję! Już ona mu pokaże!

- Dlaczego panienka milczy?

- Zastanawiam się.

- Nad czym się panienka zastanawia?

- Myślę, jakby się tu zemścić się na tej wstrętnej gadzinie. Z krzaków dobiegł ją tłumiony śmiech.

- To dopiero dziewczyna! Niech panienka jedzie i dopadnie tego drania! Oczywiście w tym celu musi panienka przyjąć zaproszenie Ravenhurstow.

- Nie mogę się doczekać, żeby tam pojechać.

- Na miejscu panienki nie wahałbym się ani chwili. Kto wie, co przy okazji może panienka odkryć. Może dowie się panienka, kiedy Ravenhurst powiedział majorowi o tych siwych koniach? Ja zawsze znajdę sposób, żeby się z panienką skontaktować. Nawet jeśli panienka wyjedzie na wieś. Ale teraz muszę już iść. Nie mogę dłużej siedzieć w tych krzakach, bo zaczną mnie podejrzewać o nieczne plany. Będziemy w kontakcie - dodał, a potem Verity usłyszała szelest liści.

W tej samej chwili pojawił się Horace, z za którego obroży coś wystawało. Verity ostrożnie wyjęła tę rzecz i uśmiechnęła się do siebie. Dlaczego zawsze wtedy, kiedy pojawiał się Woźnica, ogarniało

ją tak cudowne uczucie bezpieczeństwa? I czemu na dźwięk jego ochrypłego głosu z silnym akcentem cały przewrócony do góry nogami świat wracał na miejsce?

Verity spojrzała na swoją dłoń, na której leżał malutki, polny kwiatek. Dobry Boże! Czy to możliwe, żebym zakochała się w tym tajemniczym, czasem okropnie irytującym człowieku? Nie! Na pewno nie! A jednak...

Rozdział dziewiąty.

- Wszystko, co słyszałam o tym miejscu, było prawdą! - zawołała oczarowana lady Billington. - Widziałas kiedyś równie wspaniale położony dom?

Verity, wyglądając przez okno wynajętego powozu, musiała przyznać, że ciotka ma rację. Od kiedy informacja o tym, że zostały zaproszone do Ravenhurstow, stała się powszechnie znana, wiele słyszała o tej posiadłości. Zjeżdżając ze wzgórza, podziwiała piękną georgiańską rezydencję, ale nie była zaskoczona zachwycającym widokiem, który ukazał się jej oczom. Zaskoczyła ją natomiast pani tego niepowtarzalnego domu.

Verity w zasadzie nie wiedziała, czego należy się spodziewać po zonie jednego z najbogatszych ludzi w kraju. Nie miała wątpliwości, że pani Ravenhurst ma nienaganne maniere, nie oczekiwała jednak od niej serdeczności. Przypuszczała, że zostaną potraktowane grzecznie, lecz oficjalnie, i wcale nie byłaby zdziwiona, gdyby się okazało, że gospodyni nie będzie kryła pewnej wyniosłości. Tymczasem Sarah

Ravenhurst była zupełnie inna, niż wyobrażała sobie Verity.

Przywitała je w ogromnym holu z uśmiechem na twarzy, wcale nie czekając, aż podejdą, żeby się przedstawić.

- Moje biedactwa! Wiem, że z Londynu nie jest do nas zbyt daleko, ale ostatnio zrobiło się tak gorąco! A już dzisiejsze popołudnie jest wprost nie do wytrzymania.

- Muszę przyznać, że z prawdziwą ulgą wysiadłam wreszcie z dusznego powozu - odparła lady Billington. - Obie z bratanicą doszłyśmy do wniosku, że będzie pani miała wystarczająco dużo kłopotu, by znaleźć miejsce dla naszych pokojówek, postanowiłyśmy więc wynająć powóz, żeby nie przywozić jeszcze woźnicy, stajennego i koni.

- Były panie bardzo przewidujące. Tak samo jak lady Gillingham. - W oczach gospodyni pojawiły się wesołe błyski. - Nie narzekamy na brak miejsca w stajniach i mamy gdzie postawić powozy. Ale obawiam się, że podróżna karetta hrabiny jest dość duża i zajmie większość wolnej przestrzeni.

- Proszę nie mówić, że hrabina przyjechała tym swoim antycznym landem! - zawołała lady Billington, a jej mina wyrażała dezaprobatę. - Wdowa po hrabim robiła ten powóz na specjalne zamówienie. Jest tak ogromny, że można by w nim zmieścić łóżko!

- Moja ciocia jest prawdziwą skarbnicą wiedzy na temat życia ludzi z towarzystwa i naprawdę rzadko coś jej umyka - poinformowała cierpko Verity, zwracając na siebie uwagę gospodyni. Sarah Ravenhurst miała piękne oczy w kolorze akwamaryny, a kiedy

na nią spojrzała, Verity odniosła wrażenie, że mignęło w nich wyraźne zainteresowanie.

- Jestem od pani tylko trochę starsza, panno Harcourt. Dla tego myślę, że możemy pominąć ceremoniał. Mam nadzieję, że nie ma pani nic przeciwko temu, byśmy zwracały się do siebie po imieniu. Verity to bardzo piękne imię, zawsze mi się podobało.

Sarah uśmiechnęła się i nie czekając na odpowiedź, poprowadziła swoich gości w stronę drewnianych schodów o pięknie rzeźbionych poręczach. Po drodze wyjaśniła, że dzisiejsza kolacja będzie miała nieformalny charakter i odbędzie się w damskim gronie.

- Niestety żaden z panów nie będzie mógł nam dzisiaj do trzymać towarzystwa. Major Carter oczekiwany jest dopiero późnym wieczorem, a mój mąż, Marcus, musiał wyjechać w interesach.

Verity uśmiechnęła się domyślnie, ale Sarah nie mogła tego widzieć, bo właśnie pokazywała lady Billington jej sypialnię. Korzystając, że gospodyni weszła razem z ciotką do środka, Verity szybko przywołała się do porządku i kiedy pani domu ponownie pojawiła się na korytarzu, po uśmiechu nie było już śladu.

- A to twoja sypialnia. - Sarah otworzyła drzwi sąsiadujące z drzwiami ciotki. - Pomyślałam, że będziecie chciały być blisko siebie.

Sypialnia była jasna i przestronna, w różnych odcieniach błękitu.

- Jaki śliczny pokój! Niebieski to mój ulubiony kolor - zachwyciła się Verity.

- Rzeczywiście, wyjątkowo ładny - przyznała gospodyni, nie odrywając wzroku od delikatnych rysów młodej dziewczyny. -

Zakładam, że tak samo jak inne panie jesteś zmęczona podróżą i chcesz odpocząć przed kolacją...

- Wcale nie jestem zmęczona. Ale jeżeli jesteś zajęta, to powiedz, bo nie chciałabym cię zatrzymywać.

- Przeciwnie, chętnie chwilę z tobą zostanę. Będziemy miały okazję poznać się trochę bliżej. - Sarah usiadła przy oknie i patrzyła, jak Verity rozwiązuje wstążkę przytrzymującą szykowny czepek. Niewiele wiedziała o młodych damach, które u siebie gościła, a o tej nawet mniej niż o pozostałych. Na temat Verity Brin mówił tak niewiele, że Sarah zaczęła się zastanawiać, co może się kryć za tą powściągliwością.

- Oboje z Brinem znacie się od dość dawna, prawda?

- Rzeczywiście. Kiedy spotkałam go pierwszy raz, miałam niewiele ponad dziesięć lat. Moja matka pochodziła z Yorkshire i po śmierci ojca wróciła w rodzinne strony. Niestety przeżyła go tylko o dwa lata. Od tamtej pory mieszkam z wujem Luciusem, bratem matki, który jest moim prawnym opiekunem. Wuj jest naprawdę kochany i świetnie się rozumiemy - dodała z czułym uśmiechem.

- Masz szczęście, że wuj jest taki dobry. Mój opiekun był wyjątkowo nieprzyjemnym człowiekiem. Prawdę mówiąc, nie cierpiałam go! - wyznała Sarah, uśmiechając się figlarnie. - Ale jako mąż sprawdza się doskonale! Jest wspaniały i nie wyobrażam sobie, że mogłabym znaleźć lepszego kandydata do tej roli.

- Ravenhurst był twoim opiekunem? - Verity klasnęła zachwycona. - To dopiero historia! Opowiedz mi wszystko, proszę!

Sarah zaczęła tę rozmowę, by dowiedzieć się czegoś więcej o Verity, ale w rezultacie zaczęła opowiadać o sobie i o tym, jak trzy lata temu postanowiła samotnie opuścić Bath. Opowiedziała o szalonym pościgu, w jaki ruszył za nią Ravenhurst, i o tym, jak ją znalazł w jakimś położonym na uboczu zajeździe, w którym później popełniono morderstwo.

Verity słuchała z przejęciem, a w jej ślicznych oczach błyszczało podniecenie.

- Co za niezwykła historia! To takie romantyczne zakochać się w swoim opiekunie i wyjść za niego za mąż. Szkoda, że Marcus musiał wyjechać. Bardzo chciałabym go poznać.

- Nie martw się. Na pewno wróci przed piątkowym przyjęciem. Będzie wystarczająco dużo czasu, żebyście zdążyli się poznać - zapewniła Sarah. - To bardzo... niefortunny zbieg okoliczności, że mój mąż musiał wyjechać akurat teraz.

- Rzeczywiście - przyznała Verity, ale nie zdołała opanować uśmiechu, który pojawił się w kącikach jej ust. Widząc to Sarah, która miała duże poczucie humoru, wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Nie udało mi się ciebie zwiędzić, więc równie dobrze mogę się przyznać. - Westchnęła. - Ten łobuz wyjechał, i jestem zdana wyłącznie na siebie. Przyznaję, że czasami brak mu wyrozumiałości w stosunku do przedstawicielek naszej płci, a niektóre z nich wyjątkowo go irytują. Biorąc to pod uwagę, uważam, że w sumie słusznie postąpił, ulatniając się z domu.

- Skoro tak, to tym bardziej należy docenić gest, jakim było

wpuszczenie pod swój dach grupki kobiet, których w większości pewnie nawet nie zna - stwierdziła obiektywnie Verity i nagle figlarny błysk w jej oczach zgasł, jakby przypomniała sobie o czymś przykrym. - Natomiast manieri majora Cartera wyraźnie pozostawiają wiele do życzenia. Nie dość, że ewidentnie wykorzystuje przyjaźń, jaką go darzycie, i nakłania was do zaproszenia do swojego domu jego gości, to w dodatku zaniedbuje elementarne zasady przyzwoitości, które nakazują, aby służył wam pomocą, kiedy ci goście już przyjadą.

Słuchając Verity, Sarah uznała, że z powodu nieobecności majora nie czuje ona ani żalu, ani urazy, a jej słowa krytyki odnoszą się właściwie do faktów. Czyżby było jej wszystko jedno, czy major tu jest, czy go nie ma? Pospiesznie zaczęła bronić przyjaciela.

- Brin uprzedził, że nie zdąży przyjechać przed wieczorem. Poza tym nie chcę, abyś myślała, że zostałam zmuszona do przyjęcia was pod swój dach, bo to nieprawda. Tacy goście to dla mnie prawdziwa przyjemność. Kocham tę posiadłość i z przyjemnością spędzam tu większą część roku. - Sarah spojrzała przez okno na cudowny pagórkowaty park ciągnący się aż po horyzont. - Obawiam się, że w towarzystwie musimy uchodzić za dziwną i bardzo staroświecką parę. Ale jest nam ze sobą dobrze i nie tęsknimy do innych ludzi. Jesteśmy małżeństwem od trzech lat. W tym czasie urodziłam dwoje dzieci i tylko dwa razy, i to bardzo krótko, byłam w Londynie. Czuję, że jeśli tak dalej pójdzie, to stanę się kompletnym odludkiem. W tej sytuacji rozumiesz chyba, że kiedy Brin zaproponował, abym zaprosiła do siebie grupkę młodych dam obeznanych z najnowszą modą,

natychmiast skorzystałam z okazji. Martwię się tylko, że w porównaniu z wyrafinowanymi rozrywkami, w jakie obfituje sezon, proste wiejskie przyjemności mogą was szybko znudzić.

Verity wyczuła, że Sarah mówi całkiem szczerze, i ze zdziwieniem poczuła, że wcale nie jest już zirytowana. Uśmiechnęła się do niej, zapewniając, że bardzo lubi spokojne wiejskie życie i zdecydowanie woli wieś od miasta.

- Dzięki twojemu zaproszeniu choć przez parę dni uniknę niekończących się przyjęć i spotkań, od których w sezonie nie ma ucieczki. To prawdziwe błogosławieństwo!

Takie oświadczenie zdawało się sprawiać Sarah szczególną przyjemność, więc z radością kontynuowała szczerą i otwartą rozmowę na różne, bliskie jej sercu tematy. Kiedy wyszła, Verity nie miała wątpliwości, że major Carter ma w uroczej pani Ravenhurst bardzo oddanego przyjaciela.

Verity zakładała, że Sarah zdaje sobie sprawę, dlaczego major poprosił ją o zaproszenie tych konkretnych osób. Nie wiedziała jednak, jak ona się na to zapatruje, i czy popiera takie postępowanie. Widać było, że Sarah jest zakochana w mężu, a z tego, co mówiła, wynikało, że zakochała się w Marcusie prawie natychmiast, gdy tylko go poznała. Niewykluczone więc, że pragnęła, by mężczyzna, którego traktowała niemal jak brata, równie szczęśliwie ułożył sobie życie i znalazł odpowiednią kobietę na żonę.

Ale żeby Brin mógł być szczęśliwy, powinien być zakochany w tej, z którą się ożeni. A tak niestety nie było. Biedna Sarah, czeka ją

rozczarowanie, pomyślała Verity, a na jej ustach pojawił się cierpki uśmiech. Gdyby był zakochany, nie musiałby zapraszać tutaj czterech młodych dam, by zdecydować, którą z nich uczynić przyszłą wicehrabiną.

Clarissa, Hilary, lady Caroline i - niech to diabli! - ona sama - wszystkie cztery zostały zaproszone do Ravenhurst, aby paradować przed majorem jak młode klaczki. A on będzie obserwował i oceniał... Verity roześmiała się w głos i podeszła do dzwonka, żeby przywołać Meg.

Od kiedy dostała zaproszenie, czuła, że jej duma została urażona. Gorąca krew Harcourtów wrzała w jej żyłach, domagając się zemsty na mężczyźnie, który miał czelność założyć, że ona będzie rywalizować o jego względy i sympatię. Jadąc do Ravenhurst, Verity dyszała żądzą zemsty. Ale rozmowa z uroczą gospodynią tej zachwycającej posiadłości podziałała na nią dziwnie uspokajająco i ku jej własnemu zdumieniu nie pragnęła już rewanżu.

Oczywiście nadal uważała, że ten łajdak major zasługuje na krótką i ostrą lekcję. Złagodniała jednak i choć wcześniej gotowa była ukarać Brina, nawet gdyby musiała go przy tym zawstydzić, teraz zmieniła zdanie i postanowiła zachowywać się spokojnie i poprawnie. Choć oczywiście nie mogła zagwarantować, że jeśli nadarzy się sposobność, by się zemścić, zdoła opanować pokusę i nie odegra się na tym potworze.

Postanowiła po prostu obserwować, jak pozostałe trzy młode damy będą poddawane kolejnym próbom. Spodziewała się, że będzie

się przy tym dobrze bawić, a przy okazji bliżej pozna sympatyczną panią Ravenhurst.

Podczas kolacji Verity miała wystarczająco dużo czasu, aby przyjrzeć się przemiłej gospodyni. Jeżeli Sarah naprawdę martwiła się, czy w wiejskiej atmosferze jej obycie towarzyskie nie zaczyna rdzewieć, to nie miała ku temu żadnych powodów. Jej maniery były nienagane, a zachowanie w stosunku do gości przyjazne i pełne gracji. Ale najbardziej ujęło Verity to, że wszystkich swoich gości traktowała jednakowo miło i uprzejmie, wcale nie wyróżniając przy tym hrabiny Westbury, która wśród zaproszonych miała niewątpliwie najwyższą pozycję towarzyską.

Wieczór był na tyle długi, że miała czas, aby lepiej poznać pretendentki do tytułu wicehrabiny Dartwood.

Clarissa miała dobre serce, była skromna, bezpretensjonalna i każdy mężczyzna mógł w niej znaleźć żonę, z którą spokojnie i wygodnie przejdzie przez życie. Zdaniem Verity była to najpoważniejsza kandydatka, która dziś wydawała się wyjątkowo radosna i wesoła. Może dlatego, że znowu była na wsi, którą najbardziej kochała?

Hilary Fenner także miała dobry charakter i choć Verity nie знаła jej aż tak dobrze, to zawsze się ze sobą zgadzały. Panna Fenner miała jednak wadę, która mogła ją zgubić. Była przesadnie rozmowna, czego dla odmiany zupełnie nie można było zarzucić córce hrabiny.

Lady Caroline, jeśli się do niej zwrócić bezpośrednio, odpowiadała zazwyczaj tylko „tak” lub „nie”, a niepytana nie

odzywała się wcale. I to właśnie ona omal nie zgubiła Verity, kiedy na sugestię gospodyni, że rano panie mogłyby pojechać i obejrzeć którąś z lokalnych atrakcji, władczy tonem oznajmiła, że powinny jechać do Oksfordu.

Diabelskie ogniki błysnęły w oczach Verity, a kiedy zerknęła na gospodynię, zauważyła, że ona też była rozbawiona odpowiedzią lady Caroline. Przy stole zapanowało milczenie, które w końcu przerwała niewzruszona lady Gillingham.

- Uważam, że to świetny pomysł! Nigdy tam nie byłam i z przyjemnością pojadę.

Harbina wymówiła się od wyjazdu, twierdząc, że w upały wszelkie podróże jej szkodzą, a Verity milczała. Bała się, że jeśli otworzy usta, nie zapanuje nad sobą i nie zdoła ukryć rozbawienia, jakie wywołała w niej propozycja lady Caroline. Pozostałe młode damy odniosły się do wycieczki z entuzjazmem, a Sarah zaproponowała, by korzystając z pięknej pogody, pojechały jej odkrytym powozem.

- Nie zmieścimy się w nim wszystkie - zauważyła rozsądnie Hilary.

- Możemy wziąć dodatkowo nasz powóz - zaproponowała pani Fenner, ale Hilary nie wydawała się zadowolona z takiego rozwiązania.

- Nasz powóz jest zamknięty, nie będzie w nim tak miło - grymasiła.

- Ja muszę zostać, aby dotrzymać towarzystwa pani Westbury -

pospieszyła z zapewnieniem Sarah.

- Ja także nie pojadę - oznajmiła Verity, ściągając na siebie zatroskane spojrzenie ciotki.

- Och, Verity, dlaczego nie chcesz jechać? Mam nadzieję, że nie czujesz się chora!

- Nie, ciociu Claro. Czuję się świetnie, jak zawsze. Po prostu dużo chętniej obejrzę tutejszy przepiękny park.

- Mimo to nadal jest nas pięć - przypomniała poirytowana Hilary, która najwyraźniej nie chciała być jedną z osób zmuszonych do podróży dusznym, zamkniętym powozem.

Sarah popatrzyła na nią ze współczuciem i uśmiechnęła się.

- Brin na pewno nie będzie chciał jechać powozem, a skoro weźmie swój zaprzęg, będzie miał jedno wolne miejsce. Jestem przekonana, że będzie szczęśliwy, mogąc zaoferować którejś z młodych dam swoje towarzystwo.

- Ja pojadę zaprzęgiem! - oznajmiła majestatycznym tonem lady Caroline.

W oczach Verity zaśniły wesołe błyski, a kiedy dostrzegła złe spojrzenie, jakim Hilary obrzuciła pewną siebie, władczą hrabiankę, omal nie wybuchnęła śmiechem.

Pomyślała, że najbliższe dni zapowiadają się niezwykle rozrywkowo. Wszystko wskazywało na to, że Hilary i lady Caroline rzucą się na siebie z pazurami długo przed zakończeniem wizyty. Ciekawe, czy w tej sytuacji major okaże zainteresowanie spokojnej i nierzucającej się w oczy Clarissie? Najbardziej jednak intrygowało ją

to, jak na wszystko, co będzie się tu działo, zareaguje Sarah. Czująca bowiem, że Sarah Ravenhurst ma równie szelmowskie poczucie humoru jak ona sama.

W końcu panie wstały od stołu i wtedy zupełnie niespodziewanie radosny nastrój Verity, która czekała już na przyszłe atrakcje, został zaburzony. Okazało się bowiem, że zostały wszystkie zaproszone do salonu, a tam w jednym z rogów, obok fortepianu, stała przepiękna złocona harfa o majestatycznych rozmiarach. Sarah zasugerowała, aby jedna z nich coś zagrała, co od razu zostało podchwyczone przez lady Caroline.

- Ja wam zagram! - oświadczyła znanym im już, nieznoszącym sprzeciwu tonem.

Kiedy niezbyt długi, dość żywy utwór dobiegł końca, Verity szczerze dołączyła się do licznych pochwał, bo lady Caroline rzeczywiście zagrała dobrze i z wdziękiem, który dowodził, że ma talent muzyczny. Hilary nie zamierzała dopuścić, by lady Caroline okazała się lepsza. Natychmiast zajęła miejsce przy instrumencie i zagrała równie dobrze. Kiedy Hilary skończyła i panie poprosiły, by teraz Clarissa udowodniła, jak dobrze radzi sobie z harfą, Verity uznała, że najwyższa pora zniknąć z salonu.

Jej krzesło znajdowało się blisko przeszklonych drzwi do ogrodu, które szczęśliwie zostawiono uchylone, by do salonu mogło wpadać świeże powietrze. Verity wykorzystała sytuację, i podczas gdy wszystkie oczy wpatrywały się w skupieniu w drobne palce Clarissy na strunach harfy wymknęła się cicho na dwór. Mając

nadzieję, że nie została zauważona, pobięła ścieżką przed siebie, ale tuż za rogiem budynku wpadła na kogoś. Silne ręce chwyciły ją za ramiona i przytrzymały, by nie upadła. A kiedy uniosła wzrok spojrzała wprost w błyszczące brązowe oczy ze złotymi cętkami. Major Carter.

- Proszę dać mi przejść! - zażądała, gdy próby oswobodzenia się z jego uchwytu nie przyniosły żadnych rezultatów. - Poza tym powinien pan pojawić się w salonie, wszyscy tam na pana czekają.

- A na panią nie? - zapytał major, unosząc drwiąco brew.

- Nie, w każdym razie nie w tej chwili.

Major usłyszał ciche dźwięki muzyki dobiegające przez uchylone drzwi salonu i uśmiechnął się.

- Czyżby nie interesowały pani sztuki piękne?

- Sztuki piękne owszem, ale nie takie piekielne brzdąkanie! - wypaliła i ku własnemu zaskoczeniu uśmiechnęła się do majora. - Bądź dżentelmenem, Brin. Pozwól mi przejść zanim moja przeklęta ciotka zacznie mnie szukać.

- A więc już nie „major”, tylko „Brin”? - mruknął, ignorując jej prośby. - Od naszego pierwszego spotkania w Londynie zachowujesz się bardzo oficjalnie. Cały czas zwracałaś się do mnie: „majorze Carter” albo ostatnio jeszcze bardziej sztywno - „sir”. Słyszając teraz: „Brin”, zakładam, że cokolwiek zrobiłem, a co cię tak irytowało, zostało mi wreszcie wybaczone i zapomniane.

Oczy Verity straciły wyraz czujności, a w zamian pojawiły się w nich wesołe błyski. Widząc to, Brin roztropnie zmienił temat.

- Pory posiłków w Ravenhurst są raczej tradycyjne. Domyślam się więc, że jesteście już po kolacji. Jak minęła podróż? O której przyjechałaś?

- Przyjechałyśmy z ciotką kilka godzin temu i w przeciwieństwie do ciebie byłyśmy na czas! - odparła, bo poczuła się dużo swobodniej, kiedy rozmowa wróciła na bezpieczny grunt.

- Czyżby panienka czuła się rozczarowana, że nie było mnie tutaj, aby ją przywitać?

Verity rzuciła mu ostre spojrzenie. Nigdy dotąd nie słyszała w jego ustach tego charakterystycznego dla Yorkshire sposobu mówienia, a poza tym w jego głosie było coś, co wydało jej się znajome.

- Nie wiedziałam, że mówisz gwarą z Yorkshire - zauważyła.

- Od czasu do czasu zapłacze mi się słowo albo dwa - przyznał i nareszcie puścił jej ramiona, co Verity natychmiast wykorzystała, robiąc krok do tyłu. - Koledzy z mojego regimentu uważali te wtręty za zabawne. Ale mój szanowny dziadek na pewno miałby mi to za złe - dodał, uśmiechając się z żalem na wspomnienie dziadka. - Zawsze gdy mnie przyłapał na mówieniu gwarą z Yorkshire, dostawałem klapsa. Uważał, że skoro mój ojciec był dżentelmenem, to i ja muszę się wysławiać jak dżentelmen.

Verity pamiętała, że Arthur Brinley, mówiąc o wnuku, przy wielu okazjach podkreślał, że jest on dobrze urodzony. Na chwilę wzruszenie zamgliło jej oczy.

- Najwidoczniej dziadek nie bił cię wystarczająco mocno, bo

ciągle popełniasz dawne błędy - zażartowała, lecz Brin nie odpowiedział.

Po chwili milczenia oderwała wzrok od jego starannie zawiązanego fularu i odważyła się spojrzeć mu w twarz, ale to, co zobaczyła, sprawiło, że natychmiast pożałowała swojej odwagi. W oczach Brina była dziwna mieszanina sympatii i czegoś tak niepokojąco intensywnego, że poczuła dreszcz na plecach.

- Myślę, że powinien pan pokazać się w salonie, majorze Carter - wykrztusiła, bo nagle zaschło jej w gardle. - Panie z niecierpliwością oczekują pana towarzystwa.

- Może mógłbym odprowadzić panią do środka? Jestem pewien, że ta młoda dama skończyła już grać.

- Dziękuję, ale nie zamierzam tam wracać. Mam ochotę na krótki spacer po ogrodzie - dodała, nie wyjaśniając, że potrzebuje chwili samotności, aby opanować wzburzenie.

Verity była na siebie zła. Zachowuje się jak pensjonarka, a przecież nie ma ku temu najmniejszych powodów! Dawna fascynacja została zwalczona i zapomniana przed laty... A może nie?

Odwróciła się bez słowa i powoli odeszła. Czowała na sobie jego spojrzenie i tylko dzięki temu zdołała opanować dziecinną pokusę, by pobiec i jak najszybciej zniknąć mu z oczu. Odprężyła się dopiero za rogiem budynku, gdzie major nie mógł jej już widzieć. Ale nawet wtedy nie zdołała opanować odruchu, by odwrócić się przez ramię i sprawdzić, czy na pewno nie poszedł jej śladem.

Idąc wciąż przed siebie drogą, która ciągnęła się wzdłuż

rezydencji Ravenhurstow, Verity dotarła w pobliże stajni. Mocno zbudowany mężczyzna w średnim wieku, najwidoczniej stajenny, przemawiał łagodnie do koni majora, zachęcając je, by weszły do zbudowanej z kamienia stajni.

Bez zastanowienia skręciła na wybrukowany plac oddzielający drogę od stajni i zanim znalazła się w kamiennym budynku, musiała stwierdzić, że nigdy jeszcze nie widziała tak czysto utrzymanego terenu wokół stajni. Wewnątrz ciągnęły się przestronne, pojedyncze boksy dla koni. Niektóre zwierzęta spokojnie jadły pachnące siano, a inne z wyraźnym zainteresowaniem wysunęły głowy nad drzwiami i przyglądały się nowo przybyłym siwkom.

- Dobry wieczór panience. Ładny mamy wieczór.

- Bardzo ładny - odparła i ruszyła w stronę stajennego, a na jej twarzy pojawił się uśmiech, który wielu doświadczonych i obytych towarzysko dżentelmenów uważało za zniewalający. - Piękne zwierzęta, prawda? - zagadnęła mężczyznę, który pracowicie szczotkował jednego z siwych koni majora.

- Ma panienska całkowitą rację. Trudno powiedzieć, czy piękniejsze są te należące do majora Cartera, czy te, których właścicielem jest nasz pan - odparł stajenny i wskazał ręką dwa boksy, znajdujące się na końcu stajni.

Pobiegła wzrokiem za jego ręką i dostrzegła kolejną parę pięknych siwków.

- Nasz pan zna się trochę na koniach. - Stajenny wzruszył ramionami. - Nic dziwnego, bo sam go tego uczyłem!

Verity zdecydowała, że nie chce mieć więcej nic wspólnego z dochodzeniami stryja Charlesa. Poinformowała go o tym dwa dni temu, czując się przy tym jak zdrajczyni, ale po prostu nie mogła już dłużej dla niego pracować. Dla dobra swojej ojczyzny była gotowa niemal na wszystko, ale rozumiała, że szpiegowanie tych, których darzy sympatią, przekracza jej możliwości. Zdecydowanie nie nadaje się do takich rzeczy. Tym bardziej zdziwiły ją teraz własne słowa.

- Rzeczywiście. Przypominam sobie, że major Carter wspominał, jak dobrze Marcus Ravenhurst zna się na koniach. Z tego, co mówił, rozumiałam, że to właśnie dzięki Marcusowi udało mu się kupić parę tych przepięknych siwków.

- Tak było, panienko - przyświadczył stajenny.

Daj spokój! Nie pytaj o nic więcej, bo możesz pożałować! - upomniała się w myślach Verity, ale pragnienie, by zrobić coś dla króla i dla ojczyzny, było zbyt silne, by mu się oprzeć.

- Dziwi mnie, że Ravenhurst sprzedał tak piękne konie.

- Te siwki wcale nie należały do mojego pana, panno Harcourt.

Dzięki Bogu! Verity z wdzięcznością wzniosła oczy do nie ba. Gdyby się okazało, że to Marcus był poprzednim właścicielem siwych koni, musiałyby przecież zdecydować, co począć z tą okropną informacją. Ale teraz, kiedy jest pewna, że mąż uroczej pani Ravenhurst jest niewinny i nie ma nic wspólnego ze szpiegowską działalnością, może przecież chyba spróbować dowiedzieć się czegoś więcej...

Ciągle jeszcze rozważała, czy powinna dalej pytać, kiedy nagle

dotarło do niej, że stajenny zwrócił się do niej po nazwisku.

- Skąd wiesz, jak się nazywam? - zapytała.

- Major Brin mi powiedział - odparł stajenny, a kąciki jego ust wyraźnie drgnęły. - „Słuchaj, Sutton” - powiedział pan major. - „Jeśli zobaczysz młodą damę z najpiękniejszymi na świecie niebieskimi oczami i płomiennymi włosami, to będzie panna Harcourt. Jeżeli ta panna będzie miała ochotę na konną przejażdżkę, możesz dla niej bez obawy osiodłać ostrego konia, bo jest naprawdę wyśmienitym jeźdźcem”. Tak powiedział.

Co za bezczelność! - pomyślała Verity. Wcale jej nie pochlebiło to, że major tak chwalił jej jeździeckie umiejętności. Tym bardziej że nie pojmowała, skąd mógł wiedzieć, jak ona jeździ. Nie widział jej przecież w siodle od bardzo dawna, a w dodatku w tamtych dawnych czasach zmuszona była dosiadać bardzo spokojnego kucyka.

- Major okazał się niezwykle troskliwy, informując cię o moich umiejętnościach jeździeckich - powiedziała przez zaciśnięte zęby Verity. - Bardzo chętnie sprawdziłabym, co umie jeden z koni twojego pana - dodała i spojrzała na konia, którego czyścił stajenny. - Nieczęsto widuje się tak piękne zwierzęta. Może słyszałeś przypadkiem, gdzie twój pan znalazł majorowi te cudowne konie?

- Słyszałem, panienko - odparł stajenny, tak jakby w jej pytaniu nie dostrzegł niczego niezwykłego. - Konie pochodzą z majątku Castlefordów, których ziemie graniczą z ziemią naszego pana od północy.

Verity zanotowała sobie nazwisko w pamięci. Tę informację z

pewnością może przekazać stryjowi Charlesowi. Niewątpliwie go zainteresuje.

- Lepiej już wróć do domu. W przeciwnym razie twoja pani pomyśli, że się zgubiłam. Miło było mi cię poznać, Sutton - powiedziała Verity, obdarzając stajennego promiennym uśmiechem. Jak się później okazało, zrobił na nim piorunujące wrażenie, i wielu ludzi słyszało, jak opowiadał, że uśmiech panny Harcourt jest w stanie zmiękczyć najtwardsze męskie serce i że piękniej uśmiecha się tylko jego pani, Sarah Ravenhurst.

Verity, nieświadoma wrażenia, jakie wywarła na stajennym swoich gospodarzy, skierowała się na ścieżkę prowadzącą do głównego wejścia do domu. Drzwi otworzył jej Stebbings i natychmiast podał jej list.

- Ten list został znaleziony pod drzwiami, panno Harcourt - wyjaśnił sługa, widząc, jak zdziwiona spogląda na swoje nazwisko wypisane nieznanym sobie, zamaszystym pismem. - Znalazł go major Carter, kiedy niedawno otwierałem mu drzwi.

Verity podziękowała kamerdynerowi i postanowiła bez chwili zwłoki zaspokoić ciekawość. Niemal biegnąc po schodach do swojego pokoju, złamała pieczęć i spojrzała na kartkę.

Moja najdroższa panienko!

Tak jak panience obiecywałem, jestem niedaleko. Jeśli panienka zechce skontaktować się ze mną z jakiegokolwiek powodu, proszę pojechać do Houghton do gospody „Pod Trzema Łabędziami”. W gospodzie proszę zapytać o Thomasa Stone a, on przekaże mi każdą

wiadomość.

Twój Woźnica

Zamyśliła się, a na jej twarzy pojawił się jeden z tych obezwładniających uśmiechów. Czy Woźnica jest naprawdę mój? - zastanawiała się. - I co ważniejsze, czy ja naprawdę tego chcę?

Musiała przyznać, że od przyjęcia u Morlandów Woźnica zajmował w jej myślach coraz więcej miejsca. Choć nie zawsze myślała o nim z sympatią. Nikt ze znajomych nie posądziłby jej nigdy o romantyczne skłonności. A mimo to zawsze, kiedy wspominała pocałunki Woźnicy i bliskość jego silnego, muskularnego ciała, czuła, że gdzieś głęboko w niej narasta namiętna i paląca tęsknota.

Uśmiech powoli zamarł na jej ustach. Nie dowierzając własnym uczuciom, potrząsnęła głową. To jakieś szaleństwo! Wprost niewyobrażalne! Jak mogłam coś takiego pomyśleć? - skarciła się ostro w myślach. Przecież nic o nim nie wiem!

Jeszcze raz przebiegła wzrokiem kilka linijek listu, widząc oczami wyobraźni wysoką, tajemniczą postać Woźnicy.

Cóż mogła o nim powiedzieć? Na pewno jest inteligentny i wykształcony. Co do tego nie miała wątpliwości. Nieraz przecież rozmawiali, i to na różne tematy. Jeśli zaś chodzi o jego silny akcent z Yorkshire, podejrzewała, że mówił tak specjalnie, by trudniej było jej rozpoznać jego głos. Oprócz tego jednego niedużego wybiegu nie mogła mu nic zarzucić. Nie wątpiła w jego lojalność i wiedziała, że można mieć do niego zaufanie. To nie ulegało wątpliwości. W przeciwnym razie lord Charles nigdy nie współpracowałby z nim przy

tak ważnej sprawie. Ona więc także mogła mu zaufać. I zrobiła to już w pierwszej chwili, kiedy spotkali się w stajni, a on ją pocałował. Już wtedy instynktownie czuła, że ten mężczyzna nigdy, przenigdy nie mógłby jej skrzywdzić.

Ale czy to nie jest za mało, aby spędzić resztę życia u jego boku? Oczywiście, że za mało! Sama myśl o małżeństwie z tym człowiekiem była czystym szaleństwem. Musiałaby go przecież najpierw lepiej poznać. Tylko kobiety o ptasim mózdzku pozwalają, żeby serce dyktowało głowie, co ma robić!

Sięgnęła po tomik poezji, który przywiozła ze sobą z Londynu, i ostrożnie, aby nie pokruszyć znajdującego się między stronicami zasuszonego polnego kwiatka, delikatnie wsunęła list do książki.

- Obawiam się, że wszystko wskazuje na to, iż powoli staję się kobietą o ptasim mózdzku - szepnęła z westchnieniem, uśmiechając się lekko do swoich myśli. Powoli podeszła do okna i spojrzała w dał rozmarzonymi oczami.

Rozdział dziesiąty

Perkins wcześniej rano wkroczył do sypialni swojego pana i zobaczył, że major, już w koszuli i spodniach, siedzi przy gotowalni.

Pracował u majora zaledwie kilka tygodni, ale zdążył już się przekonać, że trudno sobie wymarzyć rozsądniejszego, bardziej życzliwego i mniej wymagającego pana. Przez cały czas swojej służby ani razu nie widział, żeby jego chlebodawca wpadł w złość, choć czasami wydawał się nieobecny duchem, jakby intensywnie nad

czymś rozmyślał. Ale dzisiejszego ranka był wyraźnie w dobrym humorze i żadne smutne myśli nie chmurzyły mu czoła. Pogwizdywał wesoło, a na widok służącego przerwał i pogodnie go przywitał.

Perkins odpowiedział radośnie. Przyniósł właśnie fulary i jeden z nich podał swojemu panu, a pozostałe ostrożnie ułożył w szufladzie komody.

- Czy ktoś już wstał? - zapytał Brin, z wprawą przystępując do wiązania fularu.

- Jestem pewien, że pani jest już w jadalni, sir - odparł służący, a Brin uśmiechnął się, słysząc, jak silne są ciągle dawne przyzwyczajenia jego sługi.

Perkins był wiele lat lokajem w domu Ravenhurstow i dopiero niedawno został pokojowym majora. A to wszystko za sprawą pani Ravenhurst, która dowiedziawszy się, że Brin wystąpił z armii i zamierza przez jakiś czas pomieszkać w Londynie, stwierdziła, że dżentelmen nie może obyć się bez sługi.

- Ależ, Brin, nie możesz w dalszym ciągu sam się ubierać. To po prostu nie wypada! - mówiła Sarah. - Nie wyobrażam sobie, żebyś mógł wytrzymać z kimś tak pedantycznym jak pokojowy mojego męża, dlatego uważam, że powinieneś zapytać Perkinsa, czy nie zechciałby przyjść do ciebie na służbę. Jest jeszcze wystarczająco młody, abyś zdążył go przyuczyć do swoich własnych wymagań, a poza tym wiem, że na pewno się postara przystosować. Znam go od lat i mogę ręczyć, że zawsze skrupulatnie wypełniał swoje obowiązki. Uważam, że będzie z niego świetny pokojowy, a jako nasz lokaj tylko

się marnuje.

- Może tego nie zauważyłeś, ale nie jestem żonaty. Nie masz jeszcze żadnej pani... - Brin uśmiechnął się.

Pokojowy zarumienił się po korzonki jasnych włosów i zawstydzony swoim przejęzyczeniem przeprosił majora.

- Nie przejmuj się, chłopcze. Wcale się z tego powodu nie martwię. Choć nie jestem pewien, czy twój dawny pan ucieszyłby się, słysząc, że nazywasz jego żonę moją panią - dodał z błyskiem w oku.

- Sir, nigdy bym się nie ośmielił sugerować... nie miałem na myśli... - Nagle chłopak przestał się tłumaczyć, bo zrozumiał, że jego pan żartuje. Uśmiechnął się ciągle jeszcze niepewnie i dziarsko zawołał: - Oczywiście ma pan rację!

- Dobrze, że znasz się na żartach, Perkins - pochwalił Brin.

Nie wiesz przypadkiem, czy pani Ravenhurst jest sama, czy może któryś z gości towarzyszy jej przy śniadaniu?

- Jedna z młodych dam już zeszła na dół. Minąłem ją na schodach zaledwie kilka minut temu.

- Która?

- Obawiam się, że nie znam jeszcze ich imion.

- W takim razie opisz mi ją.

- jest bardzo ładna - odparł Perkins, a rumieniec powrócił na jego policzki.

- To mi niewiele mówi, chłopcze, bo one wszystkie są ładne.

- Ale ta jest najładniejsza. Ma rude włosy i najpiękniejsze niebieskie oczy, jakie... - Chłopak przerwał, bo nagle dotarło do niego,

że się zagalopował.

- Ani słowa więcej! I podaj mi niebieski surdut - zawołał Brin i wstał sprzed lustra, przed którym starannie układał fular.

Szybko wsunął ręce w rękawy nienagannie skrojonego surduta i nie tracąc czasu, udał się wprost do jadalni, aby przyłączyć się do Sarah i do Verity. Przywitał je radośnie, a w odpowiedzi jedna obdarzyła go uroczym uśmiechem, druga natomiast ledwo kiwnęła głową. Niezrażony, usiadł obok pani Ravenhurst.

- Wydaje mi się, że młoda dama, którą gościmy, nie jest dziś rano w najlepszym humorze - zwrócił się prowokująco do Sarah i jednocześnie nałożył sobie na talerz kilka plasterków szynki. - Nie przypominam sobie, żeby jako dziecko miewała takie humory. Owszem, bywała uparta, lecz nigdy nie miała skłonności do wpadania w ponury nastrój. Ale przecież z wiekiem ludzie się zmieniają... - Wzruszył ramionami.

- Szkoda, że ty się nie zmieniłeś - powiedziała cicho Verity, a Brin i Sarah wybuchnęli śmiechem.

- Widzę, że oboje jesteście dosyć bezceremonialni i nie ma w tym niczego złego - orzekła Sarah. - Ale ty, Brin, powinienesz wiedzieć, że Verity wcale nie jest pogrążona w ponurych myślach, jak to byłeś uprzejmy ująć. Zanim przyszedłeś, gawędziłyśmy sobie bardzo przyjemnie i całkiem wesoło.

- Rozmawiałyście o mnie? - zapytał, unosząc brew.

Ale zanim Sarah zdążyła odpowiedzieć, Verity wtrąciła się do rozmowy.

- Nie pojmuję, co każe ci przypuszczać, że zaczynamy dzień tak nieciekawym tematem?

Podejrzewała, że major celowo stara się ją sprowokować, a mimo to dziś rano wcale nie chciała zachowywać się tak bezceremonialnie. Niestety nie zdołała zapanować nad swoim językiem, bo major zdenerwował ją samym swoim wyglądem. Czy już od rana musi wyglądać tak okropnie atrakcyjnie? Wystarczyło, by rzuciła na niego okiem, i od razu robiło się jej gorąco, a serce zaczynało szybciej bić. Bardzo ją to złościło i postanowiła zachowywać się tak, żeby major nie zaczął się domyślać, jakie robi na niej wrażenie. Obawiała się, że w tym celu będzie musiała zachowywać się trochę gburowato, ale jeśli dzięki temu ma osiągnąć swój cel, to trudno...

- Jeśli koniecznie chcesz wiedzieć, to zanim przyszedłeś, Sarah zaofiarowała się, że pokaże mi swój piękny dom. A zwiedzanie zaczniemy od razu, gdy tylko ty i twoi goście ruszycie w drogę do Oksfordu - powiedziała Verity i sięgnęła po filiżankę, przez co nie zauważyła, że major zmarszczył brwi, a jego uśmiech przybladł. Nie umknęło to jednak uwagi ich gospodyni.

- Verity już wczoraj zdecydowała, że woli obejrzeć nasz park, niż jechać do Oksfordu - wyjaśniła Sarah i spojrzała na młodą kobietę, która z każdą chwilą coraz bardziej ją intrygowała. - Mną nie musisz się przejmować - zwróciła się do niej. - Możesz ruszać, kiedy tylko zechcesz. Najlepiej jednak daj znać do stajni, żeby Sutton miał czas przygotować dla ciebie odpowiedniego konia. Prawdę mówiąc, będę

wdzięczna, jeśli pojeździsz na mojej klaczy, bo ostatnio miała zdecydowanie za mało ruchu.

- Zrobiłabym to z największą przyjemnością, ale nie pomyślałam, żeby zabrać strój do konnej jazdy.

- Tym się nie martw. Jesteśmy podobnej budowy, więc z przyjemnością pożyczę ci któryś z moich.

- Droga Sarah, nie powinnaś jej zachęcać do jazdy - wtrącił się Brin, nie dając Verity szansy, aby mogła podziękować za propozycję pożyczania stroju. - Zawsze miała skłonności do samotnych wypraw. Zobaczysz, że gdzieś się zgubi, i będziesz musiała wysłać na jej poszukiwania wszystkich swoich ludzi.

Verity spuściła oczy, jakby nagle okruszki na jej talerzu zrobiły się niezwykle interesujące. Owszem, kiedy była dzieckiem, zdarzało się jej wypuszczać na samotne wyprawy. Nigdy jednak nie odjeżdżała naprawdę daleko od domu ani nie znikwała na tak długo, aby matka czy opiekun musieli się o nią martwić.

Od kiedy ukończyła szkołę, a było to już niemal pięć lat (emu, zawsze przestrzegała polecenia opiekuna. Poza tą jedną jedyną, niezapomnianą, choć bezowocną wyprawą do Frampington na wszystkie konne przejażdżki wybierała się zawsze w towarzystwie stajennego. Uwagi Brina były więc nie tylko nieuzasadnione, ale także krzywdzące, a co więcej, przypuszczała, że dobrze o tym wiedział.

Upewniła się, że Brin dokłada wszelkich starań, aby ją rozzłościć. A jedynym powodem, dla którego mógł się tak zachowywać, był chyba sposób, w jaki go potraktowała poprzedniego

wieczoru. Wstała i przeprosiwszy, wyszła na chwilę, by nieco się uspokoić.

Kiedy wróciła, przy stole siedziały już wszystkie pozostałe panny. Nie mogła patrzeć, jak trzy kandydatki do tytułu przyszłej wicehrabiny Dartwood skaczą koło Brina, wprost chłonąc każde jego słowo i chichocząc w odpowiedzi na każdą jego uwagę. Patrząc na umizgi tych idiotek, czuła, że robi się jej niedobrze. Stanowczo nie miała zamiaru dołączyć do grupy wielbicielek. Usiadła więc na kanapie z panią Fenner i lady Gillingham. Po paru minutach Brin porzucił chichoczące panny i skierował się w jej stronę. Zanim jednak zdążył podejść, Verity ostentacyjnie wstała i odeszła, aby usiąść obok pani Ravenhurst.

Zaryzykowała i unosząc wzrok znad stołu, szybko zerknęła na Brina. Dostrzegła w jego oczach zagadkowy błysk, po którym nabrała pewności, że Brin naprawdę chce ją sprowokować i w ten sposób odegrać się za wczorajszy wieczór. Z przyjemnością powiedziałaaby mu parę słów do słuchu, nie chciała jednak wprawiać w zakłopotanie przemilej gospodyni, która musiałaby być świadkiem tej rozmowy. Ugryzła się w język, ale niepewna, jak długo zdoła utrzymać się w ryzach, znowu opuściła pokój. Musiała to zrobić, nim pokusa wylania resztek kawy na Brina okaże się zbyt silna!

Obserwując zachowanie swojego dobrego przyjaciela, Sarah nie mogła nie zauważyć, że celowo stara się rozzłościć i zirytować Verity. Pomyślała, że gdyby zamiast Brina przy stole siedział jej mąż, takie cierpkie i prowokujące uwagi byłyby jak najbardziej zrozumiałe.

Marcus był bowiem znany ze swojego irytującego sposobu bycia. Taki już z niego był uroczy drań! Nigdy wcześniej nie widziała jednak, żeby Brin celowo starał się kogoś speszyć. To było do niego całkiem niepodobne. Dlaczego więc tak właśnie postępuje w stosunku do Verity? - zastanawiała się zaintrygowana. Z zainteresowaniem obserwowała sposób, w jaki Brin odnosił się do pozostałych panien, które pojawiły się w jadalni wkrótce po wyjściu Verity. Po skończonym śniadaniu nabrała przekonania, że już rozumie przyczynę, dla której jej przyjaciel zachowuje się w tak niepojęty sposób. Kiedy przy stole pojawiły się trzy młode damy, Brin w oka mgnieniu zmienił się na powrót w dżentelmena o nienagannych manierach. Pobłażliwie słuchał paplaniny Hilary, wciągnął do rozmowy lady Caroline, która na ogół milczała lub odpowiadała półsłówkami, a nawet udało mu się sprawić, że nieśmiała i łagodna Clarissa poczuła się swobodniej. Z jego zachowania nie można było jednak wywnioskować, czy którąś z panien darzy większymi względami niż pozostałe. Mimo to Sarah wydawało się, że Brinowi najbardziej podoba się Clarissa. Ale nawet Clarissa nie umiała sprawić, aby w oczach Brina pojawiło się to coś, co Sarah widziała w nich przez ułamek sekundy, kiedy patrząc na Verity, przestał się kontrolować.

Z ciekawością czekała, jak potoczą się sprawy między tymi dwojgiem w ciągu najbliższych dni. Rozmyślając nad tym, co może się wydarzyć, poszła do pokoju dziecinnego, by się przywitać. Początkowo uważała, że ten pomysł z zapraszaniem do jej domu kilku

młodych dam jest trochę śmieszny. Teraz jednak nabrała pewności, że Brin ma naprawdę poważne zamiary. Tyle że realizuje je w dziwny i niezrozumiały dla niej sposób. Czy nie lepiej oczarować pannę, prawiąc jej komplementy i spełniając w lot każde, nawet najmniejsze życzenie? Sarah była zwolenniczką stosowania tradycyjnych metod, które nie tylko wydawały się jej dużo miłsze, ale też intencje kawalera były w takim wypadku bardziej czytelne. Dlaczego Brin był dla Verity tak niemiły i starał się ją rozzłościć? Nie mogła tego zrozumieć. Pokręciła głową ze zdumienia. Mężczyźni czasami postępują bardzo dziwnie, pomyślała. Choć pewnie mają ku temu jakieś powody.

Brin został przez nią rozszyfrowany, ale z Verity nie było już tak łatwo. Sarah nie miała pojęcia, jakie są uczucia tej dziewczyny, a wczorajszy wieczór dowodził, że naprawdę stara się trzymać majora na dystans. Zauważyła, że w towarzystwie majora Verity bardzo się zmienia, staje się chłodna i powściągliwa, niemal czujna. Wydawało się też, że wcale za nim nie przepada. Sarah czuła jednak, że to tylko pozory i że prawda jest całkiem inna. Miała wrażenie, że Verity celowo wzniosła wokół siebie gruby mur, który miał trzymać majora z daleka. A gdyby tak przedarł się przez te zabezpieczenia? Obojętne, jakim sposobem. Ciekawe, co by się wtedy wydarzyło?

Najbliższe dni zapowiadają się niezwykle interesująco, pomyślała Sarah z uśmiechem. Z przyjemnością sobie na to popatrzę. Oczywiście nie ma mowy o żadnym wtrącaniu się w ich sprawy. Będę wyłącznie obserwować, jak Brin szturmuje twierdzę!

Kiedy wszyscy byli już po śniadaniu, panie zaczęły szykować

się do wycieczki. Verity wyszła razem z ciotką przed dom i odprowadziła ją do odkrytego powozu, który już czekał na dziedzińcu, żeby zabrać gości do Oksfordu.

Pani Fenner dostała okropnej migreny i musiała zrezygnować z wyjazdu. Zwolniła w ten sposób jedno miejsce, co rozwiązywało problem przejazdu. Teraz wszystkie panie mogły się już zmieścić w odkrytym powozie. Zanim jednak wiadomość o migrenie pani Fenner dotarła do pozostałych dam, lady Caroline usadowiła się już w zaprzęgu Brina. Panie zerkwały na nią spod oka, ale żadna nie ośmieliła się zasugerować, że skoro jest już wolne miejsce, mogłaby pojechać powozem razem z pozostałymi.

- Na pewno nie chcesz jechać razem z nami? Może jeszcze zmienisz zdanie? - pytała lady Billington, sadowiąc się w powozie obok Hilary. - Jestem pewna, że podobałaby ci się taka wycieczka.

- Na pewno - zgodziła się Verity. - Ale wolę zostać tutaj i obejrzeć park.

- Nie myśl, że dzięki temu całkiem unikniesz mojego towarzystwa - usłyszała przy uchu szyderyczy szept Brina. Podskoczyła.

- Idź stąd! - odparła równie cicho, a potem dodała dużo głośniejsze: - Majorze, panie czekają, żeby uprzyjemnić im pan podróż.

Sarah, która bacznie obserwowowała Verity, stała za daleko, żeby usłyszeć ich szept. Bez trudu dostrzegła jednak pełne irytacji spojrzenie Verity, i odgadła, że major nadal stosuje prowokację jako swoją główną broń.

- Na twoim miejscu zabrałabym panie na lunch do „The Bell” - zawołała Sarah do Brina. - Tam przynajmniej można być pewnym, że to, co podadzą, będzie smaczne i świeże.

- Skorzystaj z dobrej rady. I proszę, nie czuj się zobowiązany spieszyć się z jedzeniem - dodała Verity z szelmowskim uśmiechem. - Pamiętaj, że damy lubią jeść powoli.

- Wierz mi, że umiem zadbać, aby wszystkie panie wróciły z wycieczki, czując się co najmniej tak dobrze jak w tej chwili - odparł major, a potem zbliżył się do Verity i znowu szepnął jej do ucha: - I możesz być pewna, że po powrocie spotkam się z tobą.

- Jeśli zdołasz mnie odnaleźć! - odparła spokojnie, jakby nie słyszała wyzwania w jego głosie.

Major robił wrażenie, że chce coś odpowiedzieć, ale ostatecznie zrezygnował. W kilku słowach pożegnał się z Sarah i usiadł w swoim zaprzęgu.

Bez słowa zaciął konie i ruszył drogą, która łagodnym łukiem wspinała się po wzgórzu, a powóz z paniami pojechał jego śladem. Patrząc, jak całe towarzystwo odjeżdża, Verity odetchnęła z wyraźną ulgą. Potem zerknęła na Sarah i stwierdziła, że przemiała gospodyni przygląda się jej z zagadkowym wyrazem oczu.

- Na pewno masz czas, żeby oprowadzić mnie po swoim pięknym domu? Jeśli nie, nie przejmuj się. Umiem sobie znaleźć zajęcie, a ty przecież musisz zatroszczyć się nie tylko o hrabinę, ale jeszcze o panią Fenner.

- Nie jestem zajęta i będzie mi bardzo miło spędzić z tobą trochę

czasu - zapewniła Sarah, obejmując Verity jak siostrę i prowadząc ją z powrotem do domu. - Służba wszystkiego dopilnuje. A jeśli chodzi o pozostałych gości... Hrabina wydaje się szczęśliwa, mogąc spokojnie usiąść z haftem w salonie, a pani Fenner zapewniła mnie, że kilka godzin w sypialni przy zaciemnionych oknach wyleczy jej migrenę. Wygląda na to, że jestem wolna, więc z przyjemnością dotrzymam ci towarzystwa.

Po tak uroczym zapewnieniu Verity pozbyła się wyrzutów sumienia i następnych kilka godzin obie panie spędziły na niespiesznym oglądaniu niemal wszystkich pokoi w domu, który z wdziękiem łączył w sobie komfort i elegancję. Krótka wizyta w pokoju dzieciennym pozwoliła Verity poznać dwuletniego synka Ravenhurstów, Hugona, który zaczynał być podobny do ojca. Tak samo jak on marszczył czoło. Pokazano jej też młodszą latorośl, malutką córeczkę, cicho i spokojnie śpiącą w kołysce. Zwiedzanie zakończyły w bibliotece, sanktuarium pana domu. Wystrój pokoju i panująca w nim nieuchwytna atmosfera zdawały się mówić, że gospodarz tego wnętrza jest nie tylko człowiekiem solidnym i godnym zaufania, ale także prawdziwym mężczyzną.

W bibliotece unosiła się charakterystyczna, trudna do pomylenia woń, będąca mieszaniną zapachu skóry, brandy i tytoniu. Ale Verity wyczuła jeszcze jeden zapach. Zapach cygara. Sarah musiała poczuć to samo, bo ruszyła wprost do okna.

- Brin był tu dzisiaj rano - stwierdziła, marszcząc nos, i szeroko otworzyła jedno z okien, żeby wpuścić do środka świeże powietrze. -

Obawiam się, że nałóg palenia cygara przywiózł z Hiszpanii, a mój mąż pozwala mu tutaj palić.

Verity słuchała jednym uchem, zajęta oglądaniem wiszącego nad kominkiem obrazu, na którym przedstawiono państwa Ravenhurstow. Już wcześniej widziała znajdujący się w holu portret pana domu, ale musiała przyznać, że na tym, na którym namalowano go wraz z żoną, wyglądał o wiele łagodniej. Nie uśmiechał się co prawda, ale na pewno sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego z życia.

- Mam wrażenie, że Marcus przy tobie złagodniał - powiedziała, wpatrzona w malowidło.

- Masz rację - przyznała Sarah. - W ciągu ostatnich lat Marcus naprawdę się zmienił. Stał się bardziej tolerancyjny. Ale to nie tylko moja zasługa. Przyjaźń z Brinem też na niego wpłynęła. Są niemal jak bracia! A ten portret rzeczywiście jest bardzo udany. Świetnie oddaje podobieństwo - powiedziała z miłością w oczach.

- To raczej dziwne, szczególnie jeśli wziąć pod uwagę to, że znają się dość krótko. Chociaż... - Verity przerwała i zamyślona popatrzyła w dal. - Przypuszczam, że niektórzy ludzie lgną do siebie instynktownie. Poza tym Brin spędził z wami wiele czasu w okresie rekonwalescencji po ranach odniesionych pod Badajoz...

- Wiedziałaś o tym...? - zdziwiła się Sarah. - Oczywiście, Brin musiał ci przecież opowiadać. Jak mogłam o tym nie pomyśleć? Jestem taka niemądra!

- Brin nic mi o tym nie wspominał... Ty mi to powiedziałaś.

Sarah popatrzyła na nią z niedowierzaniem, a widząc jej

zaskoczoną minę, Verity wybuchnęła śmiechem.

- Tak, moja droga - powtórzyła. - W pewnym sensie rzeczywiście ty sama mi o tym powiedziałaś. Pisałaś listy do dziadka Brina, informując go o stanie zdrowia jego wnuka.

Pewnie pamiętasz, że Arthur Brinley był już zbyt chory, aby tu przyjechać. Mogłaś jednak nie wiedzieć, że jego wzrok szybko się pogarszał. Odwiedzałam go wtedy prawie codziennie. I nie tylko czytałam mu twoje listy, ale odpisywałam na nie pod jego dyktando.

- Wielkie nieba! - Sarah była wyraźnie poruszona i jakby nieco zmieszana. - A Brin przez cały czas wierzy... - Sarah przerwała, bo w bibliotece pojawił się kamerdyner.

Poinformował, że lunch jest gotowy i że hrabina oraz pani Fenner schodzą już do jadalni. Nie zwlekając, także tam poszły. Ucieszyły się na wieść, że migrena pani Fenner minęła. Hrabina okazała się dużo lepszą rozmówczynią niż jej córka i lunch upłynął w miłej atmosferze.

Potem panie przeniosły się do niewielkiego saloniku. Rozmowy szybko zeszły na tematy domowe i wkrótce wszystkie zaczęły się wymieniać swymi doświadczeniami. Verity, która na temat prowadzenia domu nie miała nic do powiedzenia, poczuła się znudzona i coraz częściej tęsknie zerkała przez okno na prześliczny park rozpościerający się na łagodnym wzniesieniu najbliższego wzgórza. Dzień był ciepły i bezdeszczowy. Aż szkoda było siedzieć w domu. Oczekała więc tyle czasu, ile trzeba, aby nie wydać się niegrzeczną, a potem przeprosiła i pobiegła do swojego pokoju.

Szybko włożyła czepek, zmieniła pantofelki na sznurowane trzewiki, wzięła parasolkę i wybiegła do ogrodu.

Nie mając żadnych konkretnych planów, bez zastanowienia ruszyła wprost przed siebie, kierując się na północ. Okolica była piękna, a skąpana w słonecznym blasku zieleń wyglądała wspaniale. Verity dość szybko uznała, że jest za ciepło na szybki marsz. Zwolniła więc i niemal spacerowym krokiem ruszyła w stronę lasu, przy którym w oddali kończył się park.

Najchętniej schowałaby się w cieniu drzew, ale kiedy spojrzała za siebie i zobaczyła, że dom stał się nagle bardzo malutki, zrozumiała, że odeszła za daleko i że pora wracać. Nie miała pojęcia, która może być godzina, ale zanim dotarła do stawu, poczuła się naprawdę zmęczona. Usiadła na chwilę na skarpie, chcąc dać odpocząć nogom, i z przyjemnością patrzyła na nietkniętą ręką człowieka okolicę. Żadne ślady ingerencji w dzieło natury nie psuły parku Ravenhurstow. Na szczęście nie należeli oni do zwolenników „upiększania” swoich włości jakimiś koszmarnymi tworam, które tylko psuły widok. Po chwili namysłu Verity doszła do wniosku, że Sarah Ravenhurst byłaby szczęśliwa wszędzie, byleby tylko Marcus był u jej boku.

Patrząc, jak słońce odbija się w stawie, zastanawiała się, czy ona też umiałaby pokochać kogoś tak mocno, że miejsce, w którym przyszedłoby jej żyć, nie miałoby żadnego znaczenia, jeśli tylko jej ukochany byłby obok niej. Czy ona, Verity Harcourt, umiałaby troszczyć się o mężczyznę tak, jak Sarah troszczyła się o Marcusa?

Jeszcze kilka tygodni temu odpowiadałaby sobie bez namysłu: „Nie”. Ale dzisiaj nie była już tego taka pewna.

Od czasu pamiętnej podróży dyliżansem pocztowym coś się w Verity zmieniło. Dotychczasowe życie, z którego była tak zadowolona, nagle zaczęło się jej wydawać jakieś niepełne. Tak, jakby brakowało w nim czegoś najważniejszego. Jakby ona sama przestała sobie wystarczać i czegoś jej nie dostawało. Ciekawe, czy to właśnie czuła Sarah, kiedy jej męża nie było obok niej? I czy ten nękający ból, gdzieś w środku, to właśnie miłość?

Tego Verity nie była pewna. Wiedziała jedynie, że kiedy jest z Woźnicą, ogarnia ją jakaś wspaniała euforia i czuje się szczęśliwa. Ale widywali się rzadko, a spotkania trwały bardzo krótko. Ile czasu musi jeszcze upłynąć, zanim będzie go miała dla siebie zawsze, kiedy tylko przyjdzie jej na to ochota? Nikt nie znał odpowiedzi na to pytanie, bo nikt nie wiedział, jak długo może się jeszcze ciągnąć sprawa francuskiego szpiega. A ona nie oczekiwała przecież, że Woźnica zrezygnuje z tak ważnej misji tylko po to, aby być z nią.

Zamyślona, zakręciła parasolką, aż ozdobiące ją frędzelki zawirowały. Nigdy wcześniej nie знаła nikogo takiego jak Woźnica. Owszem, od czasu do czasu doprowadzał ją do furii. Musiała jednak przyznać, że jego towarzystwo nigdy nie wydawało się jej nudne, czego nie mogła powiedzieć o znanych sobie młodzieńcach. No, może z wyjątkiem Brina, który podobnie jak Woźnica miał tę nieznośną cechę, że czasami okropnie działał jej na nerwy. Czy to nie dziwne...

- A więc tu jesteś! I pomyśleć, że nie dalej jak dziś rano

ostrzegalem Sarah, że możesz się zgubić.

Verity zirytowana spojrzała w stronę, z której dobiegał głos, i zobaczyła zbliżającego się Brina.

- Gdybyś żył kilkaset lat wcześniej i do tego był kobietą, miałbyś duże szanse, by uznano cię za czarownicę i spalono na stosie - powiedziała, przyglądając się, jak Brin schodzi ze wzgórza, poruszając się elegancko i stawiając długie kroki. - Nie wiem, jak to robisz, ale pojawiaasz się zawsze wtedy, kiedy akurat... - Nie dokończyła, ale sądząc z podejrzanego błysku satysfakcji, jaki dostrzegła w jego oczach, domyślił się, co chciała powiedzieć.

- Poza tym nie pojmuję, dlaczego uważasz, że się zgubiłam, skoro stąd, gdzie siedzę, dom Ravenhurstow widać jak na dłoni - powiedziała rozdrażniona.

Brin, nie czekając, aż go zaprosi, wyciągnął się obok niej na trawie i podłożył sobie pod głowę skrzyżowane ręce. Wyglądał na zadowolonego i odprężonego i nic nie wskazywało na to, żeby gdzieś się wybierał. Verity uznała, że jej ewentualne delikatne sugestie, iż nie życzy sobie jego towarzystwa, na nic się nie zdadzą, zapytała więc o wycieczkę do Oksfordu.

- Było bardzo ciekawie - odparł.

- Trudno uwierzyć, skoro tak szybko wróciłeś.

- Musiałaś stracić rachubę czasu. Jest już późne popołudnie. -

Brin otworzył jedno oko i zerknął na Verity spod kapelusza.

- Skoro tak, to lepiej wróć do domu i przebiorę się do kolacji.

- Nie musisz się spieszyć. - Brin delikatnie przytrzymał ją za

ramię. - Dzisiaj kolacja będzie trochę później, masz jeszcze dużo czasu.

Verity nie próbowała się z nim spierać. Nad stawem było tak pięknie, że z radością napawała się urodą tego miejsca i wcale nie spieszyła się z powrotem do domu.

- Jeżeli to, co ludzie mówią, okaże się prawdą, wkrótce odziedziczysz tytuł i zostaniesz panem podobnej rezydencji. Masz jakieś nowe wiadomości o zdrowiu stryja?

- Wiem tyle co ty. Nikt z rodziny mojego ojca nigdy nie skontaktował się ze mną ani osobiście, ani nawet listownie.

- Usta Brina wykrzywił gorzki grymas, ale w tonie jego głosu nie było żalu czy urazy, tylko całkowita obojętność. - Dla nich jestem potomkiem tkacza i jako taki nie jestem godny, by o mnie wspominać. Mój ojciec ożenił się z kobietą niższego stanu i zrobił to wbrew woli rodziny.

- Dobry Boże! Brin! - Verity była zaszokowana jego słowami i wcale nie próbowała tego ukrywać. - Słuchając cię, można by pomyśleć, że wychowywałeś się w jakiejś norze! A przecież twój dziadek był zamożnym człowiekiem, mieszkał w pięknym domu i był powszechnie szanowany.

- Owszem, ci, którzy go znali, szanowali go. Dziadek zrobił wszystko, co tylko było w jego mocy, żeby mnie wychować jak należy. Wysłał mnie do Harrow. Starał się zrobić ze mnie dżentelmena i żołnierza. Ale w oczach rodziny mojego ojca nadal byłem wyłącznie śmieciem, który tylko kała ich szlachetną krew.

- Odnoszę wrażenie, że jest ci to całkiem obojętne - zauważyła łagodnie Verity. - Ale czy zawsze tak było? Czy ich pogarda nigdy cię nie bolała?

- Ależ bolała, i to bardzo, kiedy byłem dorastającym chłopcem - przyznał otwarcie Brin. - Byłem wtedy zgorzkniały i pełen urazy... Ale to minęło.

Verity zdała sobie sprawę, że nigdy przedtem nie rozmawiała z nim w ten sposób. Kiedy Brin szedł do wojska, ona była jeszcze zbyt młoda i naiwna na takie poważne dyskusje.

Miała wtedy niecałe piętnaście lat. A choć po dwóch latach spędzonych w szkole w Bath uważała się już za młodą damę, Brin nadal traktował ją jak dziecko. Czy można się dziwić, że nie chciał jej słuchać, kiedy mówiła mu, jaka naprawdę jest Angela? Uważał, że kieruje nią dziecinna złośliwość, i trudno mieć o to do niego pretensję. A może za tamtym dawnym wybuchem Brina kryło się coś więcej?

Może pogarda, z jaką traktowała go rodzina jego ojca, bolała go do tego stopnia, że swoją złość i niechęć do krewnych rozciągał na wszystkich im podobnych?

Verity popatrzyła, jak promienie słońca odbijają się w gładkiej tafli wody, i nagle przypomniała sobie, jak kiedyś, dawno temu, Brin bez namysłu skoczył w zimną toń jeziora, żeby ją ratować. Pomyślała, że nawet jeśli żywił niechęć do całej jej sfery, umiał to w sobie przezwyciężyć.

- Jesteś taka cicha... O czym myślisz?

- O swoim dzieciństwie i o tym, jak uratowałeś mi życie.

- Naprawdę uratowałem ci życie? - zapytał kompletnie zaskoczony. - Nie pamiętam.

- Byliśmy wszyscy razem u państwa Fennerów. O ile dobrze pamiętam, było to przyjęcie urodzinowe ich najstarszego syna. Całą grupą poszliśmy nad jezioro - powiedziała, a na jej ustach pojawił się smutny uśmiech. - W tamtych czasach byłam dość niepokorna i ciągle pakowałam się w jakieś kłopoty. Jeden z chłopców stwierdził, że żadna dziewczyna nie przepłynie łodzią na drugi brzeg jeziora i z powrotem, no i oczywiście musiałam udowodnić, że nie ma racji. Wsiadłam do jakiejś starej łodzi, a oni zepchnęli mnie na wodę. Ale kiedy byłam już na środku jeziora, łódź zaczęła tonąć. Wcześniej nikt z nas nie zauważył, że jest dziurawa. Zaczęłam wzywać pomocy, i wtedy ty skoczyłeś do wody i mnie uratowałeś.

Brin wyciągnął ją wtedy z wody, wziął na ręce i zaniósł do domu. Było to tak wspaniałe przeżycie, że w głębi serca Verity uznała, iż aby znaleźć się w jego ramionach, warto było się topić. Ale tego oczywiście już nie powiedziała.

Zerknęła na Brina. Nadal leżał swobodnie wyciągnięty na trawie, tyle że teraz wpatrywał się w nią intensywnie, tak samo jak poprzedniego wieczoru.

- Przypominam sobie, rzeczywiście było coś takiego. A skoro uratowałem ci życie, to mam u ciebie dług wdzięczności, I kiedyś mogę poprosić, żebyś go spłaciła...

Powiedział to lekko, niemal żartobliwie, ale Verity wyczuła, że mówi poważnie. Chciała go zapewnić, że jeśli tylko będzie to w jej

mocy, bez wahania pospieszy mu na ratunek, ale nie zdążyła, bo usłyszała żalospny jęk i zobaczyła, jak Hilary Fenner upada na trawę.

Oboje błyskawicznie zerwali się na nogi, ale jedyne, co mogli zrobić, to patrzeć, jak nieszczęsna dziewczyna toczy się po trawie, by w końcu zatrzymać się wprost u ich stóp.

Hilary leżała bez ruchu, a nieprzyzwoicie zadarte do góry halki odsłaniały jej nogi aż do kolan i wystawiały na widok publiczny pończochy i koronkowe pantalone. Verity zarumieniła się ze wstydu, zauważyła jednak, że Brin wcale nie wydawał się speszony widokiem damskiej bielizny.

Przyklęknął obok Hilary, a Verity już miała biec po pomoc, kiedy w ostatniej chwili dostrzegła ironiczny wyraz jego twarzy. Zatrzymała się i bacznie popatrzyła na leżącą dziewczynę. Jedną ręką Hilary spoczywała w dłoniach Brina, a druga leżała na trawie, wdzięcznie uniesiona nad głową. Poza wydała się Verity zbyt wystudiowana, aby mogła być naturalna. Podejrzliwie popatrzyła na zamknięte oczy Hilary i dostrzegła, że drgają jej powieki. Hilary udawała!

- Myślę, że nie ma powodu niepokoić innych - powiedział Brin, spoglądając znacząco na Verity. - Przypuszczam, że to z upału. Zaraz przyjdzie do siebie.

Brin chciał w ten sposób dać Hilary szansę wyjścia z tej sytuacji z honorem, ale Verity nie była tak szlachetna. Nie znosiła takich sztuczek, a przedstawienie odegrane przez Hilary przekraczało wszelkie granice! Uznała, że dziewczyna zasłużyła na nauczkę.

- Masz rację. Może ją po prostu zostawimy?

- Chyba nie możemy tego zrobić. Będę ją musiał zanieść do domu. - Zrezygnowane westchnienie Brina zabrzmiało bardzo wiarygodnie.

- Gdybym była na twoim miejscu, nie chciałoby mi się jej dźwigać. Jest tak gorąco, a Hilary nie jest wcale taka lekka. Zmęczysz się, zanim przejdiesz sto metrów - powiedziała Verity, z trudem powstrzymując śmiech.

Brin nie mógł już wytrzymać i odwrócił się tyłem do Hilary.

- Co w takim razie proponujesz? - zapytał, z największym wysiłkiem panując nad głosem.

- Daj mi swój kapelusz.

- Po co?

- Przyniosę w nim trochę wody ze stawu, żebyś mógł ją polać. To powinno ją ocucić! - stwierdziła Verity i niemal natychmiast ich uszu dobiegł żalony, cichy jęk.

- No proszę! Już przychodzi do siebie.

- Och, co się stało? - Powieki Hilary zatrzepotały dramatycznie, a potem nagle błękitne oczy otworzyły się i popatrzyły na Brina. - Majorze Carter, tak dziwnie się czuję.

- Jeśli natychmiast nie przestaniesz się wygłupiać, to zaraz poczujesz mój but! - zagroziła Verity, wyprowadzona z równowagi. - Niedobrze mi się robi od tej komedii!

Hilary błyskawicznie usiadła. Popatrzyła na rozzłoszczoną Verity, a potem przeniosła wzrok na majora, który był najwyraźniej

rozbawiony całą sytuacją.

- Działo się ze mną coś dziwnego - wyszeptała słabym głosem, pozwalając, by Carter pomógł jej wstać, a potem rzuciła Verity mordercze spojrzenie. - Bez względu na to, co niektórzy sobie myślą!

- W takim razie sugeruję, aby pani jak najszybciej wróciła do domu i położyła się do łóżka. Jestem pewien, że wystarczy chwila odpoczynku i słabość minie.

Współczucie w głosie majora ośmieliło Hilary na tyle, że zaryzykowała ukradkowe spojrzenie na Verity. Zobaczyła jednak, że wyraz jej twarzy wcale się nie zmienił, więc wyniośle odwróciła głowę i bez słowa odeszła w stronę domu.

- Myślę, że więcej tego nie spróbuje - powiedział Brin, patrząc, jak Hilary niknie wśród krzewów oddzielających park od ogrodu.

- Czasami wstydzę się tego, co wyprawiają inne kobiety. Niektóre gotowe są na wszystko, byle tylko zwrócić na siebie uwagę mężczyzny! Dobrze, że poznałeś się na jej sztuczkach, bo ja byłam gotowa biec po pomoc - przyznała, patrząc na Brina z podziwem.

- Będąc w wojsku, widziałem wielu ludzi słabnących z upału. I zapewniam cię, że żaden z nich nie ścisnął delikatnie moich palców.

- Naprawdę to zrobiła? Co za trzpiotka! - Verity poczuła nagle, że sytuacja jest po prostu śmieszna.

- Możesz się śmiać, ale pamiętasz, jak powiedziałaś, że nie dam rady donieść jej do domu, bo jest za ciężka? Nie zapomni ci tego tak łatwo.

- Być może trochę przesadziłam, tym bardziej że ona wcale nie

jest gruba. Ale zasłużyła sobie na to. Zachowywała się okropnie, a ja nie znoszę udawania!

- Wiem, że tobie nie przyszłoby do głowy uciekać się do tak typowych kobiecych sztuczek - stwierdził z przekonaniem Brin i spojrzał na nią tak, że zadrżały jej kolana.

Nie byłabym tego taka pewna, pomyślała Verity. Kto wie, do czego mogę się okazać zdolna, jeśli on nadal będzie na mnie patrzył w ten sposób?

Rozdział jedenasty

Kiedy wrócili do domu, Verity dowiedziała się, że lady Billington jest w swoim pokoju i ma zamiar odpoczywać aż do kolacji. Nie zaniepokoiła się specjalnie, bo ciotka cieszyła się świetnym zdrowiem i nigdy nie nękały jej przypadłości typowe dla płci pięknej. Pomyślała jednak, że jeśli podczas wyprawy do Oksfordu Brin zmusił panie do spaceru, ciotka, która nie przepadała za wysiłkiem fizycznym, może się czuć zmęczona. Verity zmieniła suknię i postanowiła ciotkę odwiedzić.

Ale kiedy weszła do zajmowanej przez nią sypialni, okazało się, że lady Billington wcale nie leży w łóżku. Przebrana do kolacji w jedną ze swoich eleganckich wieczorowych sukien, z włosami pięknie ułożonymi przez oddaną Dodd, która mimo to jeszcze coś poprawiała przy fryzurze swojej pani, siedziała przed lustrem i wyraźnie ucieszyła się na widok bratanicy.

- Jak dobrze, że przyszłaś. Miałam nadzieję, że jeszcze przed

kolacją uda mi się z tobą porozmawiać na osobności!

- O czym chcesz rozmawiać? Stało się coś ważnego? - Verity usiadła na brzegu łóżka.

- Nic się nie stało. Absolutnie nic. Pomyślałam tylko, że byłoby miło, gdybyśmy zostały przez chwilę same. - Lady Billington uznała, że fryzura osiągnęła już doskonałość, i dała znak Dodd, by skończyła czesanie. - Opowiedz, jak spędziłaś dzień? - zapytała, kiedy za pokojówką zamknęły się drzwi. -. Kiedy wróciliśmy, powiedziano mi, że poszłaś na spacer. Mam nadzieję, że się nie nudziłaś?

- Ani przez chwilę.

- Wycieczka była bardzo interesująca... wręcz pouczająca. Muszę ci wyznać, że im lepiej poznaję majora Cartera, tym bardziej go lubię.

- To prawda, że major zyskuje przy bliższym poznaniu. A jak się bawiły pozostałe panie? Czy lady Caroline rządziła wszystkim i wszystkimi, wydając polecenia swoim władczyim tonem?

- Och, przestań, moja droga! Miałam nadzieję, że matka zwróci jej uwagę przed wyjazdem - odparła ciotka ze zboląłą miną. - Natomiast muszę ci powiedzieć, że major Carter nie daje się nabrać na takie nonsensy - stwierdziła z uznaniem.

- Kiedy szykowaliśmy się już do powrotu, lady Caroline bez pytania znowu wsiadła do jego zaprzęgu. Ale on niezwłocznie kazał jej wysiąść i oznajmił, że już wcześniej poprosił pannę Gillingham, aby mu towarzyszyła w drodze. Odesłał lady Caroline do powozu z pozostałymi paniami i wyobraź sobie, że grzecznie posłuchała.

Najwidoczniej tak właśnie trzeba postępować z hrabiowskimi córkami. - Lady Billington roześmiała się.

A więc Brin ma dosyć towarzystwa lady Caroline, pomyślała Verity, schodząc za ciotką po schodach do jadalni. Nie dziwiło jej to zbyt, bo jej zdaniem każdy rozsądny mężczyzna powinien wybrać Clarissę. Zrozumiała też, że taki rozwój wypadków w czasie wycieczki tłumaczył w pewnym stopniu desperację Hilary i jej groteskowe przedstawienie. To, że nie jechała z Brinem jego zaprzęgiem, musiało ją zdenerwować, a jako osoba obdarzona pewnym temperamentem postanowiła sama zwrócić na siebie jego uwagę. Udawanie omdlenia nie było może na to najlepszym sposobem, ale to już zupełnie inna sprawa. W każdym razie Brin od razu poznał się na jej podstępnie. Najwidoczniej minęły już czasy, w których dawał się nabierać na takie sztuczki.

Słyszając głosy dobiegające z salonu, lady Billington stwierdziła, że goście zaproszeni na kolację musieli już przyjechać. Dopiero wtedy Verity przypomniała sobie, że Sarah rzeczywiście wspominała o kilku panach z sąsiedztwa, których zaprosiła, aby Brin nie musiał być jedynym mężczyzną podczas kolacji. Zdaniem Verity była to przesadna troska, bo major świetnie dawał sobie radę w każdym towarzystwie! W przeciwieństwie do mnie, pomyślała, wspominając, jak zadrżały jej kolana, kiedy patrzył na nią na łące. Dobrze, że oprócz Brina będą jeszcze inni panowie. Nawet jeśli jemu nie jest to potrzebne, to na pewno będzie potrzebne jej!

Verity była zakłopotana i miała mętlik w głowie, a złośliwy los

sprawił, że pierwszą osobą, którą ujrzała, wchodząc do salonu, był Brin. Stał przy oknie, rozmawiając z jakimś jowialnym dżentelmenem, ale na jej widok uśmiechnął się, a ona odruchowo odpowiedziała mu uśmiechem. Po chwili pojawiła się Sarah w towarzystwie szczupłego, niezbyt wysokiego młodego dżentelmena.

- Pan Claud Castleford - przedstawiła młodzieńca, a jego nazwisko od razu wzbudziło zainteresowanie Verity.

Gdyby nie inteligentne, błękitne oczy młody Castleford niczym nie przypominałby swojego ojca. Nie był ani przystojny, ani dobrze zbudowany, a jednak już po kilku minutach rozmowy Verity wiedziała, że go lubi. Okazał się otwarty i przyjacielski, nie będąc jednocześnie bezczelnym, i kiedy odkryła, że przy stole siedzi obok niego, ucieszyła się.

- W Londynie miałam przyjemność poznać pańskiego kuzyna, pana Lawrence'a Castleforda - zagadnęła Verity, nakładając sobie na talerz grzyby w wyjątkowo smacznym sosie.

- Lawrence jest wprost stworzony do londyńskiego życia. Przyzna pani chyba, że jest przystojny?

- To prawda. Jest przystojny - zgodziła się Verity, ale ton jej głosu zdradzał, że uroda kuzyna nie zrobiła na niej wielkiego wrażenia.

- Miło spotkać młodą damę, która nie dała się omamić urokom naszego adonisa. - Claud Castleford popatrzył na nią z uznaniem. - Mój ojciec bardzo cierpi, że tak bardzo różni się od swojego przystojnego kuzyna. Ale ja wolę spokojne, ciche życie i jestem

szczęśliwy, mieszkając na wsi, gdzie mogę zajmować się naszą posiadłością.

Verity przypomniała sobie, że ciotka wspominała, iż lord Castleford bardziej interesuje się bratankiem niż własnym synem i zdecydowanie woli towarzystwo tego pierwszego. W głosie Clauda nie było jednak słycać żalu, choć niemożliwe, aby to nie sprawiało mu przykrości. Poczwała, że współczuje temu cichemu, spokojnemu młodzieńcowi.

- Nie ma w tym nic złego. Posiadłość wymaga ręki gospodarza. A to, co pan robi, jest dużo więcej warte niż zadawanie szyku w towarzystwie.

- W pełni się z panią zgadzam, panno Harcourt. - Castleford uśmiechnął się nagle. - Ja też kiedyś próbowałem, jak to pani ujęła, „zadawać szyku” w towarzystwie. Nie tak dawno kupiłem sobie nawet elegancki zaprzęg wyścigowy, a do niego parę pięknych siwych koni. To było niemądre! Gdzie niby miałbym nim jeździć, żeby mnie widziano? Nie objadę nim przecież swoich pól ani lasów. Na wsi trzeba jeździć konno, a nie eleganckim zaprzęgiem.

Verity zamarła na chwilę z uniesionym widelcem w ręku. Wcale nie miała zamiaru prowadzić dalszego śledztwa w sprawie koni Brina, ale jeśli okazja sama pcha się w ręce...

- Co za niezwykle zbieg okoliczności. Właśnie ostatnio zaczęłam się zastanawiać, czy nie kupić sobie jakiegoś ekwipażu. Dopiero major Carter odwiódł mnie od tego pomysłu, słusznie tłumacząc, że poza stolicą nie będę miała z takiego powoziku żadnej

korzyści.

- Rzeczywiście niezwykły zbieg okoliczności! Bo to właśnie major Carter odkupił ode mnie zaprzęg razem z parą koni.

- Doprawdy? - Verity spojrzała na Clauda szeroko otwartymi oczami. Wyglądała jak wcielenie niewinności. - Gdybym wiedziała, że chce pan sprzedać takie wspaniałe konie! Nie wiem, czy mając okazję je kupić, posłuchałabym rad majora. Musi pan być wielkim znawcą koni, panie Castleford!

Po raz pierwszy w życiu Verity sięgnęła do arsenału kobiecych sposobów i spod długich rzęs rzuciła swojemu rozmówcy pełne żalu spojrzenie.

- Szkoda, że chcąc sprzedać te cudowne konie, nie poinformował pan o tym szerszego grona! - Westchnęła.

- Wcale nie chciałem ich sprzedawać. Zrobiłem to pod wpływem chwilowego impulsu. Ravenhurst wspomniał kiedyś, że jego przyjaciel szuka małego zaprzęgu z parą koni. Skorzystałem z okazji i kiedy na początku kwietnia mój ojciec wybierał się do Londynu, poprosiłem, by pojechał tymi końmi, żeby major mógł je obejrzeć.

- Niesłychane! Moja ciotka i ja przyjechałyśmy do Londynu niemal w tym samym czasie! Wygląda na to, że spóźniłam się zaledwie o kilka dni.

Pan Castleford bez żadnych dalszych pytań z jej strony sam podał dzień, w którym major wszedł w posiadanie zaprzęgu z parą pięknych siwych koni. Okazało się, że był to poniedziałek po tamtym piątku, kiedy odbyło się spotkanie we Frampton. Miała więc

dowód, że to nie Brin był wtedy w gospodzie.

Odruchowo zerknęła ku szczytowi stołu, gdzie pod nieobecność gospodarza siedział Brin, i ich oczy spotkały się. Nie wiedziała, czy był to przypadek, ale odruchowo posłała mu jeden ze swoich zniewalających uśmiechów, który ostatnio tak zauroczył tajennego Ravenhurstow.

Major odpowiedział Verity uśmiechem, a siedząca po prawej ręce majora lady Gillingham, która dostrzegła tę wymianę spojrzeń, zamyśliła się i spuściła wzrok. Lady Gillingham, podobnie jak lady Billington, miała okazję obserwować majora podczas wyprawy do Oksfordu i tak samo jak ona doszła do wniosku, że żadna z młodych dam obecnych na wycieczce nie zaskarbiła sobie jego względów. Trochę jej było żal, że major nie ożeni się z jej córką, bo chętnie widziałyby go jako zięcia, ale nie narzekała. W końcu Clarissa skończyła dopiero osiemnaście lat. Ma jeszcze dużo czasu, aby znaleźć odpowiedniego męża.

Po powrocie z Oksfordu panie zebrały się w salonie i Sarah mogła wysłuchać ich relacji z wycieczki. Lady Gillingham pozwoliła mówić młodszemu, a sama stanęła przy oknie i zupełnie przypadkiem widziała, jak major i panna Harcourt wracali z parku do domu. Pomyślała, że major musiał ruszyć na poszukiwanie Verity natychmiast po powrocie z Oksfordu, i zaczęła się zastanawiać, czy przypadkiem już wcześniej nie wybrał narzeczonej. Wtedy nie była jeszcze pewna, ale teraz, widząc jego uśmiech, nie miała wątpliwości, że już dawno podjął tę decyzję.

Verity jest uroczą dziewczyną. Inteligentna, ma poczucie humoru, dzięki któremu major nie znudzi się nią w kilka tygodni po ślubie. Byłaby dla niego doskonałą żoną. Ale czy jest w nim zakochana?

Nie tylko lady Gillingham zadawała sobie to pytanie. Lady Billington, która z zachowania majora wyciągnęła podobne wnioski, obserwowała bratanicę, szukając jakiegokolwiek znaku, że on nie jest jej obojętny. Rozmawiając z siedzącym po jej prawej ręce pastorem Martinem, ani na chwilę nie spuszczała oka z bratanicy. A kiedy po kolacji wszyscy przeszli do salonu, z zadowoleniem zauważyła, że Verity bez chwili wahania zgodziła się partnerować majorowi przy grze w wista.

Jako para byli nie do pokonania i wysoko wygrali z hrabiną, której partnerem był jeden z sąsiadów gospodarzy. Potem ustąpili miejsca następnym graczom, a Verity, całkowicie nieświadoma zainteresowania, z jakim obserwowało ją kilka par oczu, podeszła do kanapy, na której siedzieli pogrążeni w rozmowie Clarissa i pan Castleford.

Clarissa poinformowała Verity, że pan Castleford zaprosił ją do siebie i że pragnie jej pokazać swoje konie i inne zwierzęta, w tym najnowszy nabytek - Wessex saddleback. Obawiała się jednak, że mama nie pozwoli jej samej jechać z wizytą.

- Gdybyś chciała pojechać razem ze mną, to mama na pewno się zgodzi. - Clarissa popatrzyła błagalnie.

- A może zorganizujemy małą wyprawę? - zaproponował Brin

stojący za plecami Verity. - Moglibyśmy przy okazji odwiedzić kościół w Houghton. Pastor Martin zapewniał, że rzeźbione ławy w kaplicy są naprawdę warte obejrzenia.

Verity miała ogromną ochotę na konną przejażdżkę, ale nie była pewna, czy zwiedzanie stajni i obór Castlefordów okaże się ciekawe. Pan Castleford był jednak pełen entuzjazmu.

- Wspaniały pomysł! - zawołał, uśmiechając się ciepło do Clarissy. - Przyjadę do kościoła i tam się z państwem spotkam.

- Wygląda na to, że świetnie się dogadują - szepnął Brin, pochylając się do ucha Verity.

Obrzuciła go baczny spojrzeniem, ale nie dostrzegła w nim śladu zazdrości.

- Clarissa i pan Castleford mają ze sobą dużo wspólnego - powiedziała. - Oboje nie przepadają za miastem i dużo lepiej czują się na wsi niż w salonach stolicy. A przy okazji, co to takiego Wessex saddleback?

Kąciki ust Brina podejrzenie drgnęły.

- O ile wiem, to bardzo znana rasa świń.

- Boże drogi! - zawołała Verity. - Świnie i kościelne ławki... Jutrzejsza wycieczka zapowiada się naprawdę ciekawie!

Verity nie była zachwycona planowanymi odwiedzinami u Castlefordów, ale nie chciała psuć przyjemności Clarissie i następnego ranka zjawiała się na dole o umówionej porze.

Caroline i Hilary odmówiły uczestnictwa w wycieczce. Lady Caroline powiedziała, że nie przepada za jazdą wierzchem, a Hilary

twierdziła, że woli spędzić ranek z matką, choć Verity podejrzewała, że po prostu ciągle jeszcze wstydzi się swoich popisów nad stawem. W rezultacie do Castlefordów mieli jechać tylko w trójkę. Kiedy zjawili się w stajni, ich konie były już osiodłane.

- Dostałem polecenie, żeby dla panny Harcourt osiodłać klacz naszej pani. Ale niech panienka uważa i nie zachęca jej do skoków - ostrzegł Sutton. - Bez trudu przeskakuje ogrodzenie z pięciu żerdzi, ale nie lubi żywopłotów. Pani Ravenhurst próbowała na niej przeskoczyć żywopłot i została zrzuciona z siodła.

- Nie martw się, Sutton. Dopilnuję, aby panna Harcourt stosowała się do twoich rad - uspokoił go Brin.

- Panna Harcourt nie potrzebuje, abyś jej pilnował. Nie jest aż tak szalona, by ignorować dobre rady - odparła uszczypliwie Verity, a Clarissa, będąca świadkiem tej rozmowy, nerwowo zachichotała.

- Major Carter bardzo lubi cię prowokować - powiedziała, kiedy ruszyli w stronę Houghton.

- Zawsze sprawiało mu to przyjemność - odparła Verity, spoglądając na swojego prześladowcę.

- I zawsze mi się udawało - dodał Brin, błyskając w uśmiechu białymi zębami. - Na pewno pani zauważyła, panno Gillingham, że Verity jest dość drażliwa, a to kusi, żeby ją sprowokować. I czasem trudno się powstrzymać.

Verity widząc, że Clarissa przygląda się im z lekkim niepokojem, szybko zaczęła ją uspokajać.

- Nie musisz się bać. Major Carter i ja nie będziemy się bić. W

każdym razie nie w twoim towarzystwie.

- Nie mogę się doczekać, kiedy zostaniemy sami - odparł wyzywająco major, ale Verity uznała, że pora zmienić temat. Jeśli nie ze względu na siebie, to przynajmniej dla dobra panny Gillingham.

Houghton okazało się maleńkim miasteczkiem z jedną główną ulicą. Mieściło się przy niej kilka schludnie wyglądających sklepików, w których panował duży ruch. Centralne miejsce zajmował kościół, a naprzeciwko niego stała gospoda „Pod Trzema Łabędziami”. To tutaj właśnie Verity miała zostawiać wiadomości dla Woźnicy.

Teraz zsiadła z konia i przywitała się z panem Castlefordem, który właśnie przyjechał. Dyskretnie obserwowała gospodę. Po chwili wszyscy razem weszli do kościoła. Boczne panele ławek rzeczywiście były rzeźbione w sceny myśliwskie i ku swojemu zdumieniu Verity oglądała je z prawdziwym zainteresowaniem. Nie trwało to jednak długo i po chwili jej myśli zaczęły krążyć wokół Thomasa Stone’a. Zastanawiała się, czy pan Stone może być w tej chwili w gospodzie i czy przypadkiem nie okaże się, że on i jej tajemniczy Woźnica to ta sama osoba.

Zaintrygowana taką możliwością, nie mogła się oprzeć pokusie, by to sprawdzić. Poza tym miała przecież ważną informację do przekazania. Nareszcie zdobyła dowód, że Brin jest niewinny i że to nie on był w tamten piątek we Frampington.

Jeden rzut oka na pozostałych uczestników wycieczki upewnił ją, że są zajęci oglądaniem ławek. Skorzystała więc z sytuacji i dyskretnie wymknąwszy się na zewnątrz, pobiegła prosto do gospody.

Poczekala, az jej oczy przyzwyczajaja sie do polmroku, jaki tam panowal, a potem podeszla do wlasciciela stojacego za barem i zapytala o Thomasa Stone'a.

- Panie Stone, przyszla do pana jakaś mloda dama! - zawolal gospodarz, a siedzacy w rogu mezczyzna, ktorego Verity wzescniej nie zauwazyła, odlozyl gazete i wstal.

Verity od razu zobaczyła, ze nie jest to Woźnica. Pan Stone byl starszy i przynajmniej kilkanaście centymetrow nizszy niz ten, ktorego spodziewala sie zobaczyc. Ukryła jednak rozczarowanie i usmiechajac sie do niego promiennie, wyciagnęła rękę na przywitanie.

- Dzień dobry, nazywam sie Harcourt.

- Od razu pomyslam, ze to pani. - Pan Stone wskazal jej ręką krzeslo przy swoim stoliku. - Mamy wspólnego znajomego i domyslalam sie, ze chce mu pani przekazac jakies informacje.

- Tak jest - odparła, siadajac, a potem dokladnie powtorzyła wszystko, czego poprzedniego wieczoru dowiedziala sie od pana Castleforda. - W tej sytuacji mozecie śmiało wyeliminowac majora Cartera z kręgu podejrzanym i przestac sie nim zajmowac - podsumowala.

Pan Stone sluchal, nie przerywajac, ale jego zamyslony wyraz twarzy wydal sie Verity dziwnie niepokojacym.

- Jaki jest powód pana obecności tutaj, panie Stone? - zapytala, nabierajac nagle pewnych podejrzen.

- Nie wolno mi tego zdradzic, panienko - odparl, ale to wcale nie zniechęcilo Verity.

- Domyślam się, że nie wolno panu rozmawiać o swojej pracy. - Verity śmiało spojrzała mu w oczy. - Zastanawiam się jednak, kogo naprawdę pan tu obserwuje... Gotowa jestem założyć się o duże pieniądze, że nie jest to major Carter. Po powrocie do Londynu muszę poważnie porozmawiać z moim stryjem. A co do naszego wspólnego znajomego, proszę mu powtórzyć, że kiedy go znowu spotkam, będę mu miała coś do powiedzenia. - Verity wstała od stołu.

- Tę informację na pewno przekażę - odparł z cieniem uśmiechu na twarzy.

Verity zerknęła na niego podejrzliwie i bez słowa opuściła gospodę.

Cała ta sprawa jest jakaś niejasna, pomyślała.

Ulicą przejeżdżał załadowany po brzegi wóz, stanęła więc, czekając, aż droga będzie wolna.

Od początku wiedziała, że Brin nie jest szpiegiem. Przypomniała sobie dzień, w którym poinformowała stryja o niespodziewanym wyjeździe majora z Londynu, i swoje wrażenie, że on doskonale o tym wiedział. Zrozumiała, że stryj nigdy nie podejrzewał Brina o konszachty z francuskim szpiegiem i zarówno on, jak i jego współpracownicy byli świadomi, że major jest niewinny.

Dlaczego w takim razie Woźnica zachęcał ją, żeby przyjęła zaproszenie Ravenhurstów? To wszystko nie ma sensu. Tym bardziej że była absolutnie pewna, iż pan Stone też wiedział o niewinności majora Cartera.

A skoro nie chodziło o Brina, to co się kryje za obecnością

Stone'a w Houghton? Kogo naprawdę tutaj obserwuje? Może Castlefordów? Chyba nie podejrzewali, że Claud Castleford jest szpiegiem? Takie posądzenie było śmieszne! Już prędzej jego ojciec. Lord Castleford pracował dla rządu i bez wątpienia miał dostęp do różnych tajnych dokumentów i informacji. Poza tym to przecież właśnie on zabrał konie do Londynu i w tamten piątek, kiedy odbyło się spotkanie w gospodzie we Frampington, były one w jego posiadaniu. Nie mogła pojąć, dlaczego w takim razie pan Stone tkwi w malutkim Houghton zamiast w Londynie, w którym przebywał lord Castleford. Nic z tego nie rozumiała!

Ale nie tylko to wprawiało ją w zakłopotanie... gdzieś wśród skłębionych myśli, które wypełniały jej głowę, od czasu do czasu migało jakieś światełko. Wydawało się jej, że nagle wszystko zaczyna rozumieć i że to takie oczywiste. Ale iskierka umykała, a ona, coraz bardziej sfrustrowana, na oślep próbowała odnaleźć to nieuchwytnie wrażenie, jakieś skojarzenie... nie umiała nawet powiedzieć, co to było.

Wóz wreszcie przejechał i Verity przeszła na drugą stronę ulicy. W tej samej chwili kątem oka dostrzegła jakiś ruch na dziedzińcu przed kościołem. W cieniu potężnego cedru stał wysoki mężczyzna. Nadzieja ożyła w jej sercu, ale kiedy po chwili mężczyzna wyszedł z cienia, zobaczyła, że to Brin.

- Dokąd to panienka chodziła? - zapytał apodyktycznym tonem, którym czasem do niej przemawiał, a który doprowadzał ją do furii. Zresztą pytanie było bez sensu, bo stojąc pod drzewem, musiał

widzieć, że wyszła z gospody.

- Pilnuj swoich spraw! Nie jesteś moim opiekunem. Mogę chodzić, dokąd zechcę.

- Niestety, masz rację! - prawie warknął i zajrzał jej głęboko w oczy, w których nie było cienia skruchy czy pokory.

- Najwyższa pora, żeby ktoś ci ukrócił cugli, młoda damo.

Słyszając tak surową ocenę swojego postępowania, Verity przypomniała sobie, że nie tak dawno ktoś drogi jej sercu wyraził bardzo podobną opinię. Na samo wspomnienie tamtej osoby złość wyparowała, a na ustach pojawił się nieśmiały uśmiech. Jakie to wszystko dziwne. A może tamten wysoki, postawny mężczyzna z Yorkshire miał naturę dyktatora?

- Przestań patrzeć na mnie tak karcąco. Nie chcesz chyba znów przestraszyć Clarissy? Ona jest taka wrażliwa! A skoro już mówimy o Clarissie, to gdzie ona jest?

- Ogląda z panem Castlefordem cmentarz za kościołem - odparł Brin, wyraźnie odzyskawszy humor. - Zaskakujące, co ludzi może interesować. O, już wracają! A więc teraz pora na świnię.

Patrząc na twarz Clarissy, Verity od razu zrozumiała, że między nią a panem Castlefordem musi być coś więcej niż tylko wspólne zainteresowania. Obserwując młodą pannę Gillingham, musiała przyznać, że dziewczyna najwyraźniej czuje się zupełnie swobodnie w towarzystwie pana Castleforda i wprost promienieje ze szczęścia. Zanim dojechali do domu Castlefordów, Verity nabrała pewności, że Clarissa jest na najlepszej drodze, żeby się zakochać.

- Bardzo żałuję, że musicie wracać na lunch do Ravenhurst. Chętnie pokazałbym wam dom. Ale może będzie jeszcze okazja. Niestety nie mogę was zaprosić na jutro, bo wybieram się na tutejszy targ. Potrzebuję koni do pługa i chcę się trochę rozejrzeć. Wrócę dopiero po południu. Naprawdę żałuję. To bardzo interesujący stary dom. Można powiedzieć, że wręcz fascynujący. Są w nim sekretne przejścia. Jest nawet... duch! Jestem przekonany, że panie uznałyby to za ciekawe.

- Na pewno - przyznała Verity, zerkając przez ramię na kamienną budowlę w stylu Tudorów. - Niestety obawiam się, że nie zdążymy obejrzeć domu, bo już w sobotę wszyscy wracamy do Londynu. Ale mam nadzieję, że zrobi nam pan przyjemność i pojawi się w piątek na przyjęciu u Ravenhurstów.

- Za nic na świecie nie zrezygnowałbym z tej przyjemności, panno Harcourt! Panna Gillingham obiecała mi taniec. Mam nadzieję, że i pani uczyni mi ten zaszczyt?

- Oczywiście, panie Castleford - odparła bez namysłu. - Będzie mi bardzo miło.

Wsiadając na piękną klacz, Verity pomyślała, że chciałaby ją mieć dla siebie.

- Mam nadzieję, że nie jesteś bardzo znudzona? - zapytała Clarissa, kiedy wyjeżdżali już spod stajni Castlefordów.

- Wcale - zapewniła z powagą Verity. - Ale wątpię, bym była w stanie wykrzesać z siebie więcej entuzjazmu dla świń. I nie zacznę ich uważać za przepiękne stworzenia, choć tobie i panu Castlefordowi

najwyraźniej się podobają. Ale muszę przyznać, że posiadłość jest utrzymana wzorowo. Jestem pełna podziwu dla tego młodego człowieka. Bo jeśli dobrze zrozumiałam, ojciec jego właśnie obarczył troską o całą posiadłość. Prawda, Brin?

Major ledwo kiwnął głową w odpowiedzi.

Zaskoczona, zaczęła mu się baczniej przyglądać. Już wcześniej, kiedy oglądali stajnie i obory, zwróciła uwagę, że jest jakiś dziwny. Ale chyba nie czuje się dotknięty tym, że Clarissa wyraźnie polubiła towarzystwo Clauda? To coś innego. Jest taki cichy, a jednocześnie czujny i skupiony. Kilka razy przyłapała go na tym, że odwracał się przez ramię, jakby spodziewał się zobaczyć za sobą coś lub kogoś. Nigdy wcześniej nie widziała, żeby tak się zachowywał.

Postanowiła poprawić mu humor i wciągnąć go do rozmowy.

- Dobrze znasz rodzinę Castlefordów? - zapytała. - Poznałeś żonę lorda Castleforda?

- To urocza dama. Szkoda, że w tej chwili nie ma jej w domu. O ile dobrze zrozumiałem, ktoś z jej rodziny zachorował i pojechała go odwiedzić - odparł i popatrzył na Verity. - Jestem pewien, że ty i panna Gillingham polubiłybyście ją.

- Ojciec pana Castleforda wróci do domu na weekend i niewykluczone, że zjawi się na przyjęciu u Ravenhurstów - poinformowała Clarissa.

- Naprawdę? Dobrze się składa, bo bardzo chciałabym go poznać - powiedziała Verity.

Patrząc przed siebie, nie dostrzegła niepokoju, jaki po jej

oświadczeniu ukazał się w oczach Brina.

Rozdział dwunasty

Po powrocie do domu Ravenhurstow zjedli lekki lunch, a potem Sarah namówiła wszystkich gości na oglądanie jednej z lokalnych ciekawostek. Obiecała też, że jeśli wystarczy czasu, w drodze powrotnej odwiedzą leżące nieopodal miasteczko, w którym znajduje się mały sklepik pewnej modystki. Sarah zapewniała, że można tam znaleźć przepiękne czepki, niczym nieustępujące tym, jakie sprzedawano w Londynie na Bond Street. Zaproszenie dotyczyło oczywiście także tych osób, które przed południem zwiedzały posiadłość Castlefordów.

Brin odmówił, tłumacząc, że musi pilnie napisać kilka listów, ale Clarissa chętnie przystała na kolejną wycieczkę. Verity ostatecznie też zdecydowała się pojechać, zwłaszcza że tym razem Sarah zamierzała im towarzyszyć.

Popołudnie było słoneczne, ale na szczęście nie było zbyt gorąco. Spacer po malowniczym lesie, który Sarah często odwiedzała wiosną i latem, był bardzo przyjemny. Wystarczyło też czasu na obiecane zakupy i kilka pań z zadowoleniem zaopatrzyło się w nowe czepki, które rzeczywiście okazały się przepiękne. Ale kiedy tyle klientek równocześnie zaczęło oglądać towar, w małym sklepiku natychmiast zrobiło się tłoczno. Verity, która nie miała zamiaru nic kupować, postanowiła poczekać na świeżym powietrzu.

Gdy wyszła przed sklep, po przeciwnej stronie ulicy zatrzymał

się wynajęty powóz. Normalnie nie zwróciłyby na to uwagi, ale w tej chwili nie miała nic innego do roboty, patrzyła więc, co będzie dalej. Po chwili z powozu wysiadł bardzo niski mężczyzna w ubraniu z czarnej zgrzebnej wełny. W rękach miał niedużą drewnianą skrzyneczkę i dość zniszczoną torbę na ubrania. Verity nie wierzyła własnym oczom. Dobry Boże! Przecież to francuski szpieg!

Powóz odjechał, a Francuz wszedł do gospody mieszczącej się nieco dalej przy tej samej ulicy. Verity była pewna, że to ten sam człowiek, z którym jechała do Londynu w powozie pocztowym. Przejęła się tak, że rozboliła ją głowa, a kiedy dotknęła ręką czoła, zauważyła, że drżą jej palce. Nie miała pojęcia, jak się zachować i co zrobić.

- Verity, kochanie, co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha - zatroszczyła się ciotka.

- Nie był to duch, ale coś równie przerażającego - mruknęła pod nosem.

- Co ty tam mruyczysz? Źle się czujesz?

- Czuję się świetnie, ciociu. O, idzie Sarah i pozostałe panie. Myślę, że już pora wracać do domu.

Verity pospiesznie wsiadła do powozu, nie mogąc przestać myśleć o tym, co przed chwilą zobaczyła. Wiedziała, że pan Stone musi się o tym jak najszybciej dowiedzieć. Ale jak go ma poinformować? Robiło się dość późno i gdyby o tej porze zechciała udać się na konną przejażdżkę, wzbudziłoby to wiele podejrzeń. Poza tym wątpiła, aby pozwolono jej jechać samej.

W drodze powrotnej Hilary trajkotała nieustannie, nie dopuszczając do głosu nikogo. Verity pierwszy raz w życiu dziękowała opaczności za jej gadatliwość, dzięki której mogła milczeć, nie budząc podejrzeń czujnej ciotki. Zanim wróciły do Ravenhurst, zdążyła wszystko przemyśleć. Zdecydowała, że najlepiej będzie napisać list i wysłać Meg, żeby go zniosła do Houghton, do pana Stone'a.

Przy wysiadaniu z powozu Verity celowo zbierała się bardzo niemrawo i w efekcie wyszła ostatnia. Potem pozwoliła, aby wszyscy ją wyprzedzili, a kiedy panie udały się pospiesznie do swoich sypialni, żeby się przebrać do kolacji, postanowiła zajść do biblioteki. W czasie zwiedzania domu widziała tam czysty papier i pióra.

Ale nie zdążyła nawet podejść do drzwi, kiedy z biblioteki wyszedł Brin.

Nagle pomyślała, że może to jemu powinna się zwierzyć. Mężczyźni czasem zachowują się w trudny do wyjaśnienia sposób. Jeśli więc zaraz po kolacji Brin wsiądzie na konia i odjedzie, nikt nie będzie się dziwił. Zrobiła krok w jego stronę, ale coś ją powstrzymało.

Ani przez chwilę nie wątpiła, że Brin zrobi to, o co ona go poprosi, i wiedziała, że może mu zaufać. Znała go jednak na tyle dobrze, by wiedzieć, że zanim spełni jej prośbę, zażąda wyjaśnień. A jak ma mu to wszystko wyjaśnić, nie ujawniając przy tym, że przez chwilę był podejrzewany o zdradę ojczyzny? Wzdragała się na samą myśl, że mogłaby urazić uczucia dzielnego żołnierza, który tak wiele ryzykował dla swojego kraju. Po prostu nie może tak postąpić!

- Verity, dziecko, co się dzieje? - Zarówno ton głosu Brina, jak i

wyraz jego twarzy zdradzały niepokój. - Co cię aż tak zmartwiło? - zapytał, chwytając ją za rękę.

- Nic mi nie jest - odparła, zaskoczona odkryciem, że dotyk jego ciepłych rąk sprawia jej przyjemność. - Muszę napisać list, ale jeśli moja obecność w bibliotece będzie ci przeszkadzać, wrócę później.

- List? Z kim chcesz się aż tak pilnie skontaktować? - zapytał żartobliwie, choć w jego oczach nadal widać było niepokój.

- Zaczynam podejrzewać, że chodzi o jakąś potajemną schadzkę. Czyżbyś miała kochanka, który ukrywa się gdzieś w okolicy?

- Co... co takiego? Nie bądź śmieszny! - Verity nie zdołała powstrzymać zdradzieckiego rumieńca. - Skąd miałabym znać kogoś w tej okolicy? - oburzyła się i uspokoiwszy się odrobinę, wyrwała rękę z jego dłoni.

- Właśnie tego staram się dowiedzieć.

Brin skrzyżował ramiona na piersi i przyglądał się jej z takim wyrazem twarzy, z jakim rodzic patrzy na uparte, samowolne dziecko.

- Tamtego wieczoru, kiedy przyjechałem do Ravenhurst, znalazłem pod drzwiami list adresowany do ciebie. A oto kolejny list, który znalazłem, wracając przed chwilą do domu! Stebbings! - zawołał Brin w głąb korytarza. - Gdzie położyłeś list adresowany do pani Harcourt?

Kiedy kamerdyner podał jej na srebrnej tacy tajemniczy list, Verity od razu rozpoznała zamaszysty charakter pisma. Ogarnięta radosnym podnieceniem, zapomniała o arogancji majora i nie zwracając uwagi na jego uniesione ze zdziwienia brwi, bez słowa

wzięła list z tacy. Nie obchodziło jej, co on myśli o tej zagadkowej korespondencji, i dała temu wyraz, zadzierając brodę i odwracając się na pięcie.

Czując na plecach oczy majora, powoli wchodziła po schodach. Ale kiedy nie mógł jej już widzieć, puściła się biegiem, aby jak najszybciej znaleźć się w swojej sypialni. Widząc, że Meg krząta się po pokoju, uśmiechnęła się do niej niepewnie i podeszła do okna. Złamała pieczęć i rozczarowana przeczytała jedno jedyne zdanie, z którego składał się list. „Spotkaj się ze mną o północy w rosarium”.

Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, pomyślała zmartwiona, wyglądając przez okno. Z miejsca, w którym stała, widać było wejście do rosarium znajdującego się za domem, tuż za ogrodem kwiatowym. Samego rosarium nie można było jednak dostrzec z żadnego okna... tego była pewna. Ale czy uda się jej wymknąć z domu tak, żeby nikt nie zauważył?

Dzięki temu, że Woźnica przyjechał do Ravenhurst, nie było już potrzeby pisać do pana Stone'a. A skoro tu jest, musi się z nim spotkać. Prawdę mówiąc, była gotowa poruszyć niebo i ziemię, byle tylko o północy znaleźć się w wyznaczonym miejscu. Tak bardzo za nim tęskni!

Spróbuję się wymknąć. I musi mi się udać! - pomyślała.

Nagle zdała sobie sprawę, że Meg coś do niej mówi.

- Pytałam, którą suknię włoży pani dziś wieczorem - powtórzyła pokojówka.

- Obojętne. Dziś będzie zwykła kolacja. Sama wybierz.

Zbliżał się wieczór i Meg już wyraźnie czekała, żeby pomóc swojej pani zmienić suknię i poprawić uczesanie. Verity poddała się posłusznie tym wszystkim zabiegom, choć zastanawiała się nad czymś zupełnie innym. Podczas kolacji trudno było się jej skupić na toczącej się przy stole rozmowie. Ale choć większą część czasu błądziła gdzieś myślami, dostrzegła, że i ciotka, i major bacznie się jej przyglądają.

Po kolacji Brin udał się wprost do biblioteki, żeby napisać kolejne pilne listy, a panie przeszły do salonu. Początkowo Verity poczuła ulgę, że znikła przynajmniej jedna para obserwujących ją czujnych oczu. Ale szybko zmieniła zdanie. W towarzystwie Brina nigdy nie było nudno, a rozmowy w czysto damskim gronie były dość monotonne. Panie ciągle wracały do nużących ją tematów - najnowszej mody i prowadzenia gospodarstwa domowego.

Na szczęście goście szybko przyzwyczaili się do wiejskiego trybu życia i zanim zegar na kominku wybił jedenastą, większość pań gotowa była udać się już na spoczynek. Verity, która przez cały wieczór starała się maskować znużenie i ukryć ziewanie, podniosła się z fotela i oznajmiła, że idzie się już położyć. Lady Billington uznała, że na nią też pora, i razem poszły na górę. Przy drzwiach sypialni ciotki Verity powiedziała sennie: „Dobranoc”, a ciotka, nie nabrawszy żadnych podejrzeń, spokojnie znikła za drzwiami swojej sypialni. Verity także weszła do swojego pokoju. Tam, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, cała jej senność nagle znikła.

Po chwili usłyszała, że ciotka dzwoni na Dodd, aby pomogła jej się rozebrać i przygotować do snu. Verity, w przeciwieństwie do

ciotki, często zwalniała Meg z wieczornej usługi. Pokojówka przyzwyczaiła się do tego i jeśli pani przed kolacją prosiła o przygotowanie koszuli i pościelenie łóżka, wiedziała, że wieczorem nie zostanie wezwana na górę. Dziś też tak było i wszystko było już przyszykowane.

Wszystkie panie zostały ulokowane w tym samym skrzydle domu, dlatego w ciągu pół godziny Verity słyszała na korytarzu liczne kroki i odgłosy zamykanych i otwieranych drzwi. Ale wieczorny ruch szybko zamarł i kiedy wskazówki stojącego przy jej łóżku zegara wskazały, że do północy zostało jeszcze dziesięć minut, wszędzie panowała już martwa cisza.

Verity zarzuciła na ramiona szal. Wzięła do ręki palącą się świecę i po cichu podeszła do drzwi. Gruby dywan całkiem tłumiał kroki i tylko zamek cicho szczyknął przy otwieraniu. Ostrożnie wyjrzała i stwierdziła, że korytarz jest całkiem pusty i ciemny, bo służba pogasiła na noc świece w przymocowanych do ścian lichtarzach. Wyglądało na to, że cały dom już śpi.

Mimo panującej ciszy uznała, że ostrożności nigdy za wiele, i z nadzieją, że nikogo nie spotka, ruszyła na palcach w stronę schodów. Gdyby natknęła się na którąś z pań lub na służbę, postanowiła powiedzieć, że nie może zasnąć i idzie do biblioteki po jakąś książkę.

Na szczęście nie musiała się przed nikim tłumaczyć. Zarówno korytarz, jak i hol na dole były puste, ale w holu wciąż paliła się jedna lampa oliwna, tyle że mocno przykręcona. Najwidoczniej ktoś jednak nie spał. Verity zdmuchnęła świecę i postawiła ją obok lampy, a

potem szybko przemknęła do drzwi wejściowych. Odsunęła potężne żelazne rygle, które na szczęście były dobrze naoliwione i nawet nie zgrzytnęły.

Po chwili była już na zewnątrz. Zapominając o ostrożności, pobiegła drogą prowadzącą w stronę stajni, skąd można było przejść do ogrodu z wysypanymi białym żwirkiem ścieżkami. Verity nie zdążyła jeszcze poznać tej części posiadłości, ale księżyc świecił jasno na bezchmurnym niebie i w jego blasku bez trudu odnalazła furtkę.

Zatrzymała się na chwilę, żeby złapać oddech i rozejrzała się w poszukiwaniu osoby, z którą tak bardzo chciała się spotkać. Niestety oprócz niej w ogrodzie nie było żywej duszy, ale kawałek dalej, przy ścieżce, dostrzegła coś, co mogło być zarysem drewnianej ławki. Ruszyła w tamtą stronę.

Skoro musi na niego poczekać, może sobie przynajmniej wygodnie usiąść. Nie wiadomo, jak długo może to potrwać. Nie wiedziała, skąd Woźnica będzie jechał, ale na pewno musiał pokonać spory dystans. Gotowa była czekać na niego do skutku i ani przez chwilę nie pomyślała, że mógłby się nie zjawić.

Jej wiara szybko została nagrodzona. Ledwo usiadła na ławce i mocniej ściągnęła szal na ramionach, usłyszała chrzęst żwiru pod czyimiś butami. Spojrzała w tamtym kierunku i dostrzegła znajomy kształt trójgraniastego kapelusza i obszernego płaszcza. Mężczyzna, jak zwykle, trzymał w palcach cygaro, a po chwili mały czerwony punkcik zatoczył łuk i wylądował na ziemi.

- Witam panienkę - powiedział cicho, a jego silny akcent

zabrzmiał w jej uszach jak ukochana melodia. - Wiedziałem, że mnie panienka nie zawiedzie.

Verity poczuła się nagle mała i zupełnie nieważna. Wstała z ławki i spojrzała w górę na zamaskowaną twarz Woźnicy. Ogarnęło ją cudowne poczucie bezpieczeństwa.

- Nawet mi do głowy nie przyszło, że mogłabym nie przyjść na spotkanie z tobą - zapewniła miękko, a po chwili była już w jego ramionach.

Tym razem objął ją ciasno i przygarnął do siebie tak mocno, że czuła każdy naprężony mięsień jego ciała. Jego zachłanne pocałunki miażdżyły jej wargi. Przywarła do niego z całej siły. Nie wiedziała, czy jego pożądanie bardziej ją przeraża, czy napędza euforią. Pragnęła, by trzymał ją w ramionach, dotykał jej i by poprowadził ją po drodze wiodącej tam, gdzie oboje znajdą rozkosz.

Słyszając jego ciężki, urywany oddech, zrozumiała, że Woźnica całą siłą woli stara się nad sobą panować. Zrozumiała to, jeszcze zanim chwycił jej ramiona i odsunął ją od siebie.

Próbowała się do niego przysunąć, ale trzymał ją na dystans wyciągniętych ramion.

- Nie rób tego, panienko - ostrzegł. - Nie kuś mnie, bo następnym razem mogę nad sobą nie zapanować. A wtedy, za nim się zorientujesz, będziesz leżała na ziemi w podartej sukni, a ja będę całował każdy skrawek twojego ciała.

Jego słowa były skrajnie niewłaściwe. Czegoś takiego nie powinien nawet sugerować, a jednak Verity nie mogła opanować

dreszczu podniecenia na samą myśl, że naprawdę mógłby spełnić swoją groźbę. Błysk zachęty w jej oczach zdradził Woźnicy jej nieskromne myśli.

- Nie masz pojęcia, do czego możesz doprowadzić, patrząc na mnie w ten sposób. Ale wiem, że jesteś zupełnie niewinna, i chcę, żeby tak zostało do dnia naszego ślubu.

Na te słowa Verity zeszywniała, a prowokujący błysk w jej oczach przygasł.

- O co chodzi, panienko? Czyżbyś się wahała? - zapytał Woźnica, który natychmiast zauważył zmianę, jaka w niej zaszła.

- Kiedy jesteś obok, nie mam żadnych wątpliwości - przyznała. - Ale... ale przecież nic o tobie nie wiem. Nie znam nawet twojego nazwiska.

- Nie martw się tym. Już wkrótce wszystkiego się dowiesz. I nie musisz się obawiać, że po ślubie poproszę, byś zamieszkała ze mną w jakiejś norze. Mam dużo pieniędzy i zapewniam cię, że będziesz panią w pięknym domu.

Mimo wszystkich zapewnień Verity nadal miała opory.

- Wcale mnie to nie dziwi. Widzę przecież, że jesteś inteligentnym i wykształconym człowiekiem. Wiem jednak, że mnie okłamałeś. - Westchnęła.

Woźnica znów przyciągnął ją do siebie i wtulił twarz w jej włosy.

- Wiesz, że w tej chwili nie mogę ci nic powiedzieć. Ale kiedy to wszystko się skończy...

- Rozumiem i wcale nie oczekuję, że nagle zaczniesz się zwierzać. Ale przemilczenie pewnych spraw to co innego niż celowe mówienie nieprawdy. A ty mnie okłamałeś - powiedziała z żalem w głosie. - Skłoniłeś mnie do przyjazdu tutaj, podając powody, o których wiedziałeś, że są nieprawdziwe, bo ani mój stryj, ani ty nigdy nie podejrzewaliście majora Cartera o zdradę.

Woźnica milczał przez dłuższą chwilę.

- To był jedyny sposób, żeby nakłonić panienkę do wyjazdu. Zrobiłem to, bo bardzo chciałem być blisko panienki - przyznał.

Wyznanie sprawiło Verity ogromną przyjemność. Cały czas miała jednak wrażenie, że Woźnica nie mówi jej wszystkiego. Zdawała sobie sprawę, że coś przed nią ukrywa. Powinna wiedzieć, co to jest! Ale błędziła we mgle i choć czuła, że zrozumienie jest o krok, to jednak ciągle się jej wymykało.

Postanowiła nie tracić więcej czasu. Odsunęła od siebie podejrzenia i frustracje i bez dalszej zwłoki opowiedziała mu, kogo widziała podczas wyprawy po czepki. Ku jej zaskoczeniu Woźnica nie zareagował na tę wiadomość. Zaintrygowana, chciała mu zajrzeć w twarz, ale trzymał ją mocno przytuloną do siebie. Zupełnie jakby się obawiał, że mimo przebrania jej przyzwyczajone do ciemności oczy mogą go rozpoznać.

- Wiedziałeś, że on tu jest.

- Nie. Ale nie powiem, żeby mnie to zaskoczyło. Jestem pewien, że śledzi go któryś z ludzi twego stryja i my nie musimy się tym przejmować.

- Przyznaj, że podejrzewacie Castleforda. To dlatego pan Stone jest tak blisko jego domu.

- Dosyć, panienko! Nie wolno panience zadawać żadnych pytań. Mogę powiedzieć tylko tyle, że na razie nie doszło do przekazania żadnych informacji. W przeciwnym razie mały Francuz byłby już w drodze do jakiegoś portu.

Verity uznała, że to słuszne przypuszczenie. Obawiała się też, że dopóki cała ta szpiegowska afera nie zostanie zakończona, nie zobaczy swojego Woźnicy, a w każdym razie nie wcześniej niż...

- Następny raz spotkamy się dopiero w Londynie - oznajmiła nagle, przytulając się do niego mocno.

- A to czemu?

Pytanie zostało zadane spokojnie, ale Verity wyczuła w głosie mężczyzny pewną urazę i jakby cień groźby. W czasie ich krótkiej znajomości nabrała przekonania, że rozłoszczony Woźnica może być naprawdę niebezpieczny. Wiedziała też, że jest zbyt przenikliwy i inteligentny, aby udało się jej go oszukać. Postanowiła nie ryzykować i powiedzieć prawdę.

- Major Carter znajdował listy, które podrzucałeś pod drzwi, i nabrał jakichś podejrzeń.

- Naprawdę? A mówiła panienka, że to zwykły cymbał...

- Major nie jest głupi! - stwierdziła niemal z żalem. - Można by nawet powiedzieć, że jest wyjątkowo bystry i przenikliwy... z wyjątkiem sytuacji, w których w grę wchodzi kobiety. Chociaż to też nie do końca prawda. Bo ostatnio widzę, że i z tym już się uporał.

- Kiedyś zrobił z siebie idiotę, prawda?

- To chyba za mocno powiedziane - przyznała szczerze Verity. - Ale rzeczywiście nie chciał słuchać, choć ludzie próbowali go ostrzec, że pewna panna nie jest takim słodkim aniołem, jak on sądzi. Próbowałam go ostrzec... i nigdy nie zapomnę, jak mnie wtedy zwymyślał. Potraktował mnie okropnie...

- To dlatego tak go panienka nie lubi? - zapytał cicho Woźnica.

- Ależ nie! Nie mogę powiedzieć, że go nie lubię. Czasami nawet bardzo go lubię - wyznała ku własnemu zaskoczeniu. - Ani przez chwilę nie wierzyłam, że major byłby zdolny do zdrady. Choć muszę przyznać, że jego zachowanie wprawia mnie czasami w zakłopotanie.

- Nie pomyślała panienka, że major może być zakochany? - zapytał Woźnica, wtulając usta w jej włosy.

- Nie on! - Verity zmarszczyła brwi. - Panna Gillingham okazuje wyraźne zainteresowanie młodemu Castlefordowi, ale moim zdaniem majora to wcale nie obchodzi.

- Może to wcale nie w niej jest zakochany.

Verity musiała się zgodzić, że Woźnica może mieć rację. Chociaż nie zauważyła, żeby Brin okazywał specjalne względy lady Caroline albo Hilary Fenner. Według niej najbardziej podobała mu się Clarissa. Ale niewykluczone, że po smutnym doświadczeniu z Angielą Kingsley major zrobił się cyniczny i nie szuka już miłości. Może gotów jest zadowolić się małżeństwem, w którym obie strony będą sobie okazywały szacunek?

Zamierzała to powiedzieć i już otwierała usta, gdy nagle Woźnica położył jej ostrzegawczo palec na wargach. Nie odezwała się ani słowem i bacznie nasłuchiwała, ale wokół panowała cisza.

- Słyszałeś coś? - zapytała szeptem.

- Tak. Myślę, że byłoby najlepiej, aby panienka wróciła już do domu. Ja też muszę zniknąć. Odgłosy, które słyszałem, dochodziły z miejsca, w którym zostawiłem swojego konia. - Woźnica machnął ręką w stronę stajni. - Jeśli ktoś czai się w ciemności, lepiej, żeby poszedł za mną. Panienka niech tu poczeka kilka minut, a potem biegnie prosto do domu. Niedługo znów się zobaczymy - dodał, szybko pocałował ją w usta i zniknął w krzaskach.

Jeszcze przez chwilę Verity słyszała szelest liści, potem wszystko ucichło. Nagle poczuła, że jej zimno. Pozbawiona ciepłych ramiona Woźnicy, otuliła się ciasniej szalem i ze smutkiem zaczęła się zastanawiać, czy już zawsze będą się widywać w ten sposób.

Poczuła się osamotniona i bardzo przygnębiona. Krótkie, ukradkowe spotkania z Woźnicą stawały się dla niej coraz ważniejsze i coraz bardziej za nimi tęskniła. Ale dzisiaj, kiedy odszedł, poczuła w sobie przejmującą pustkę, i zrozumiała, że miłość do mężczyzny, o którym zupełnie nic nie wie, jest czystym szaleństwem.

Czuła, że ogarnia ją smutek i próbowała się z niego otrząsnąć. Wytężała słuch, ale wokół panowała głucha cisza. Nie usłyszała nawet dalekiego odgłosu końskich kopyt. Domyśliła się, że Woźnica nie mógł zostawić konia zbyt blisko domu, uznała jednak, że minęło wystarczająco dużo czasu, aby zdołał bezpiecznie odjechać.

Zdecydowała, że pora już wracać, i ruszyła z powrotem tą samą drogą, którą przyszła. Szczęście jej dopisało i bezpiecznie, nikogo nie spotykając, dotarła do drzwi wejściowych. I wtedy stwierdziła, że są zamknięte.

Klnąc w duchu, zrobiła krok do tyłu i popatrzyła na nie z nienawiścią. Były solidne, rzeźbione, z dębowego drewna. I blokowały jej drogę do wnętrza. Jak mogła być taka głupia i nie pomyśleć, że jakiś czujny sługa może sprawdzić, czy drzwi zostały zamknięte! Dlaczego nie przygotowała sobie awaryjnej drogi powrotnej? Wystarczyło otworzyć okno na parterze. Wymyślając sobie od idiotek, pomyślała, że może jednak jakieś okno zostało niedomknięte.

Czuła, że to próżna nadzieja, ale musiała coś zrobić. Baczным spojrzeniem obrzuciła długą fasadę domu. Nie pozostawało jej nic innego, jak sprawdzać po kolei każde okno. Właśnie miała zacząć, kiedy zauważyła, że z miejsca, w którym znajdowała się biblioteka, dochodzi nagle światło. Czy to możliwe, żeby Brin wciąż pracował? A może to Sarah jeszcze się nie położyła?

Ostrożnie podeszła do jednego z bibliotecznych okien i przyłożyła oko do szpary w zasłonach. Szpara nie była szeroka, ale Verity zdołała zauważyć świecznik z płonącymi świecami. Uniosła rękę i cicho zastukała w szybę. Czekwała przez chwilę, ale nie było żadnej reakcji. Spróbowała więc ponownie, tym razem głośniejsze, i omal nie krzyknęła ze strachu, kiedy zasłony nagle się rozsunęły, a w oknie pojawiła się wysoka męska sylwetka.

Niestety był to Brin, a nie Sarah. Ale cóż, nie zawsze wszystko idzie po naszej myśli, westchnęła w duchu i władcym gestem pokazała, by otworzył okno.

- Co, na Boga, robisz poza domem o tak późnej godzinie? - zapytał ostro Brin.

- W tej chwili nic szczególnego - odparła sarkastycznie. - Ale jeśli się odsuniesz, będę mogła wrócić do środka. I nie krzycz tak! Chcesz obudzić cały dom?

Brin wyciągnął ręce, ujął ją pod pachy i bez wielkich ceregieli podniósł z ziemi i postawił na podłodze w bibliotece. Verity odniosła wrażenie, że próbował ukryć uśmiech.

- Postradałaś zmysły, dziewczyno?

Verity nie czuła się w obowiązku odpowiadać, bo sądząc z tonu głosu, Brin był naprawdę przekonany, że oszalała. Stała więc, milcząc, i patrzyła, jak zamyka okno i zaciąga zasłony.

- Co ty sobie myślisz, włócząc się sama po nocy? Wiem, że to ma coś wspólnego z tymi podejrzanymi listami. - Brin patrzył na nią z podejrzliwością zagniewanego starszego brata. - No, dalej, mów, co masz do powiedzenia, bo w przeciwnym razie będę zmuszony poinformować o twojej eskapadzie lady Billington.

Verity zrozumiała, że sprawa zaczyna się robić poważna i że major nie żartuje.

- Och, Brin, nie zrobisz mi tego, prawda? - poprosiła błagalnym tonem. - Nie posunąłbyś się do czegoś takiego!

Ale Brin tylko uniósł brew.

- No, dobrze - poddała się niechętnie. - Masz rację. To miało coś wspólnego z tamtym listem. Musiałam się z kimś spotkać. Ale nie pytaj, bo w tej chwili nic ci nie powiem.

Brin zdawał się walczyć sam ze sobą, aż w końcu obiecał, że nikomu nie powie o jej nocnych spacerach. W zamian za to zażądał, aby obiecała, że już nigdy nie będzie sama wychodziła z domu o tak późnej porze.

Verity nie podobał się jego apodyktyczny ton, ale w sytuacji, w jakiej się znalazła, nie miała wyboru. Obiecała więc, że to się nie powtórzy, choć mało się przy tym nie udławiła ze złości.

- Stebbings wiedział, że zamierzam dziś pracować do późna, i porządnie napalił w kominku. Myślę, że powinnaś usiąść na chwilę przy ogniu i się ogrzać - zasugerował.

Nie czekając na jej odpowiedź, ujął ją pod ramię i poprowadził do jednego ze stojących przy ogniu foteli. Verity wiedziała, że przebywanie o tak późnej porze w towarzystwie mężczyzny, który nie należy do rodziny, jest niedopuszczalne, ale nie przyszło jej do głowy, żeby zaprotestować. Uznała, że znają się z Brinem wystarczająco długo, aby mogła dla niego zrobić wyjątek. Poza tym była absolutnie pewna, że z jego strony nic jej nie grozi.

Kiedy to sobie uzmysłowiła, zamyśliła się głęboko i ze zmarszczonymi brwiami śledziła, jak Brin podchodzi do stolika z karafkami i nalewa wina do dwóch kieliszków. Zdała sobie sprawę, że ma do niego pełne zaufanie. Być może to był właśnie powód, dla którego nigdy, ani przez chwilę, nie pomyślała, że mógłby okazać się

zdrajcą. Prawdę mówiąc, w jego towarzystwie czuła się tak bezpieczna, jak... jak wtedy, gdy był przy niej Woźnica... Czy to nie dziwne...

- Czemu tak marszczysz czoło, dziecko? - zapytał Brin, obserwując jej minę.

- Co takiego...?

Verity z trudem oderwała się od myśli, które wprawiały ją w zakłopotanie, i wzięła z rąk Brina kieliszek wina. Usiadła wygodniej w fotelu i patrząc, jak on zajmuje miejsce naprzeciwko niej, uśmiechnęła się kpiąco.

- Prawdę mówiąc, myślałam o tym, że gdyby ktoś mnie teraz z tobą zobaczył, moje zachowanie zostałoby uznane za bardzo dziwne, jeśli nie niewłaściwie.

- Wałęsanie się po nocy jest jeszcze bardziej niewłaściwe - odparł, a widząc jej rumieniec i pełne niepokoju spojrzenie, uśmiechnął się. - Spokojnie, dziecko. Nie mam zamiaru cię wypytywać.

Słyszając to zapewnienie, Verity wyraźnie się odprężyła. Powiodła wzrokiem po pokoju i zauważyła, że biurko pełne jest papierów.

- Widzę, że nie marnowałeś czasu! Mam nadzieję, że nie zamierzasz pracować przez całą noc, bo rano nie będziesz w stanie zabawić pań.

- Obawiam się jednak, że panie będą musiały zadowolić się własnym towarzystwem. Muszę się niestety pilnie zająć pewnymi

sprawami. Dlatego jutro rano wyjadę i nie wiem, czy wrócę przed wieczorem. Być może nie zauważyłaś, ale po południu odwiedził mnie niespodziewany gość. - Brin uśmiechnął się dziwnie. - Był to niejaki pan Jessop, reprezentujący kancelarię prawniczą Jessop, Jessop & Wilkes, która prowadziła sprawy mojego zmarłego stryja.

- Zmarłego stryja...? Och, rozumiem! Gratuluję, lordzie Dartwood. - Verity uniosła kieliszek.

- Wolałbym, żebyś mnie nadal nazywała po imieniu. Nikt jeszcze nie wie, że stryj nie żyje. Będę zobowiązany, jeśli na razie zatrzymasz tę informację dla siebie.

Verity uznała, że to dziwna prośba, ale bez wahania obiecała dochować tajemnicy.

- Zdajesz sobie sprawę, że niedługo i tak wszyscy się o tym dowiedzą.

- Wiem. Ale chcę, żeby choć przez chwilę... - Brin prze rwał i ze zmarszczonymi brwiami wpatrywał się w swój kieliszek.

Verity nie spuszczała z niego wzroku. Nigdy dotąd nie widziała go takiego zagubionego i bezradnego jak dziecko. Najchętniej przytuliłaby go i pocieszyła. Chciała mu powiedzieć, że bez względu na to, co ludzie z wyższych sfer myślą o wnuku tkacza dziedziczącym tytuł wicehrabiego, ona uważa, że Brin Carter może jedynie przydać blasku temu tytułowi.

- Nigdy nie chciałeś tego tytułu, prawda?

- Nigdy go nie pragnąłem - przyznał, patrząc jej poważnie w oczy. - I nigdy nie przypuszczałem, że naprawdę może być mój.

Dopiero przed kilkoma miesiącami... Mój stryj miał pięcioro dzieci, w tym trzech synów. Najmłodszy umarł jako niemowlę. Średni miał opinię młodzieńca lekkomyślnego i leniwego, jak mój ojciec. Co dziwniejsze, obaj zginęli identyczną śmiercią - w roztrzaskanym powozie. Ale pozostał jeszcze trzeci syn, najstarszy. Cedric ożenił się i miał dziecko. Była to córeczka, ale przecież mógł mieć jeszcze syna. Stryj do samego końca liczył, że tytuł odziedziczy któryś z jego potomków. Nikt nie przewidział nagłej śmierci Cedrica. Zawsze był zdrowy i wszyscy sądzili, że dożyje sędziwego wieku. Kto mógł przypuszczać, że taki silny i odporny mężczyzna umrze na zapalenie płuc?

Verity słuchała, nie przerywając. Nigdy nie słyszała, żeby Brin coś mówił o swoim ojcu. Nie było w tym nic szczególnie dziwnego, bo stracił go w wieku zaledwie dwóch lat. Jednak to, co wiedziała o nim z plotek służby i z półsłówek, które czasem wymykały się wujowi Luciusowi, sprawiało, że wątpiła, by mogła go polubić.

Rodziców Brina połączył szalony romans i Henry Carter ożenił się ze swoją ukochaną. Nie wytrwał jednak długo w wierności małżeńskiej. Kilka tygodni po ślubie zostawił młodziutką żonę w swoim wiejskim domu, a sam wyjechał do Londynu i wrócił do dawnego rozpustnego trybu życia. Matka Brina zmarła przy porodzie, a ojciec bez zastanowienia powierzył syna opiece jej ojca. Verity nie była pewna, czy kiedykolwiek zadał sobie trud, by odwiedzić małego. Natomiast dziadek nie widział świata poza wnukiem i to właśnie dzięki niemu Brin wyrósł na tak wspaniałego człowieka.

- W sobotę wszystkie wracamy do Londynu. Pojedziesz z nami?

Verity zadała to niewinne pytanie głównie po to, aby przerwać panującą w pokoju ciszę. Zdziwiła się więc, kiedy Brin zmierzył ją ciężkim spojrzeniem spod zmarszczonych brwi.

- Przepraszam. Nie chciałam być wścibska.

- Wcale nie uważam, żebyś była wścibska. Po prostu myślałem o czymś innym - zapewnił, uśmiechając się lekko. - Nie przypuszczam, żebym miał tu jeszcze długo zabawić, ale na pewno nie wyjadę już w sobotę.

Widząc, że Brin znów umilkł, zajęty swoimi myślami, uznała, że nie będzie mu przeszkadzać. Szybko dokończyła swoje wino i wstała z fotela.

- Pora się pożegnać. Nawet nie chcę myśleć, że ktoś mógłby nas tu razem zobaczyć. Szczególnie w obecnej sytuacji. Jeszcze zacząłbyś mnie podejrzewać, że próbuję cię w ten sposób złapać na męża!

To miał być żart, ale Brin nie wydawał się rozbawiony. Poważny, bez cienia uśmiechu, wstał i wyprowadził ją na korytarz. Podeszedł do stołu, na którym zostawiła świecę, zapalił ją dla niej i razem podeszli do schodów prowadzących na górę. - Niech mi pani wierzy, panno Harcourt, że poślubienie pani nie wydaje mi się najgorszym, co mogłoby mnie w życiu spotkać - powiedział nieoczekiwanie, a jego głos był jak pieszczota. A potem, jakby chciał ją wprowadzić w jeszcze większe zakłopotanie, pochylił głowę nad jej białą dłońią i złożył na niej delikatny pocałunek.

Rozdział trzynasty

Następnego ranka Verity z trudem uniosła ciężkie powieki i poczuła, że jest bardzo zmęczona. Miała za sobą najgorszą noc swojego życia. Dręczyły ją sny o Brinie, który pojawiał się przebrany w trójgraniasty kapelusz i obszerny, szary płaszcz. Porywał ją w ramiona, a gdy patrzyła mu w twarz, widziała tylko rozplywającą się mgłę. Gubiła go i bezskutecznie próbowała odnaleźć. Kilka razy budziła się zlaną potem i zaplątana w poskręcane prześcieradła.

Najchętniej odwróciłaby się na drugi bok i zasnęła, ale wiedziała, że nie jest to najlepsze rozwiązanie. Przecież nie może zapanować nad tym, co jej się śni. Na jawie miała przynajmniej częściową kontrolę nad swoimi słowami i czynami. Chociaż trochę mogła wpływać na to, co się wokół niej dzieje.

Wyskoczyła z łóżka i bosy pobiegła zadzwonić na Meg. Toaleta i ubieranie poszły w miarę sprawnie i po niedługim czasie Verity zjawiała się w jadalni. Zaskoczona, zobaczyła, że pozostałe panie siedzą już przy stole.

Wymieniono grzeczne powitania, a potem Hilary, nie kryjąc niezadowolenia, poinformowała ją, że Brin już zdążył zjeść i gdzieś pojechał.

- Uprzedzał, że wyjedzie zaraz po śniadaniu - odparła bez zastanowienia. Kilka par oczu popatrzyło na nią, ale chociaż widać było wyraźnie, że panie są zaskoczone, nie padło żadne pytanie. Jednak za chwilę Hilary nie zdołała się opanować i głośno dała wyraz

swojej ciekawości.

- Kiedy ci o tym powiedział?

Verity poczuła, że wszystkie oczy znów są w nią badawczo wpatrzone, nie straciła jednak zimnej krwi i spokojnie sięgnęła po dzbanek z kawą.

- Wczoraj wieczorem nie mogłam zasnąć, więc zeszłam do biblioteki, żeby wybrać sobie coś do czytania. Zapomniałam, że Brin miał tam pracować. Spotkałam go i właśnie wtedy po wiedział mi, że rano musi wyjechać. Aby uprzedzić twoje kolejne pytania, od razu powiem, że nie mówił, dokąd jedzie ani kiedy wróci. A ja nie byłam na tyle niegrzeczna, żeby się dopytywać.

W głosie Verity dało się jednak teraz słyszeć pewne zdenerwowanie, co zaskoczyło lady Billington, bo jej bratanica rano była na ogół w dobrym nastroju. Przyglądając się jej uważniej, dostrzegła pozbawione blasku oczy i zaciśnięte usta. Zrozumiała, że dziś ktoś lub coś wprowadziło Verity w zły humor. A kiedy jest taka zła, nie trzeba wiele, żeby wybuchła, dając w ten sposób ujście frustracji.

Lady Billington postanowiła działać, zanim Hilary znów powie coś niemądrego i narazi się na ciętą odpowiedź Verity.

- Niektóre z nas chciałyby jeszcze raz odwiedzić ten uroczy sklepik, do którego zawiozła nas wczoraj pani Ravenhurst. Widziałam tam cudowny kremowy kapelusik z fioletowymi piórami, ale nie mogłam się zdecydować, czy go kupić. Przemyślałam sprawę i postanowiłam dziś po niego wrócić oświadczyła, podsuwając Verity talerz ze świeżymi bułeczkami maślanymi.

Verity pomyślała, że nie ma nic nudniejszego niż zakupy. Nie tylko nie miała ochoty spędzać czasu w towarzystwie pań zajętych wyłącznie falbankami, ale wręcz odstręczała ją sama myśl o ciasnym i dusznym sklepiku, w którym miałyby się z nimi tłoczyć. Poza tym wizyta w miasteczku groziła przypadkowym spotkaniem z francuskim szpiegiem. A tego Verity nie chciała ryzykować. Biorąc to wszystko pod uwagę, bez żadnych wyrzutów sumienia grzecznie, acz zdecydowanie odmówiła udziału w wyprawie.

- A może masz ochotę wybrać się razem ze mną i z Hilary? Zapowiada się kolejny ciepły dzień. Miło będzie przejechać się konno po lesie - zaproponowała Clarissa.

Verity uśmiechnęła się do niej, ale dzisiaj nie była jej w stanie skusić nawet perspektywa takiej przejażdżki.

- Dziękuję ci za zaproszenie, ale chyba zostanę w domu. Nie spałam tej nocy zbyt dobrze, i czuję się zmęczona. Jestem pewna, że chwila samotności pozwoli mi dojść do siebie.

- Mnie to zawsze pomaga - zapewniła pospiesznie Sarah, widząc, że lady Billington zamierza zgłębiać dziwny stan ducha bratanicy.

Sarah rozumiała, że lady Billington bardzo kocha Verity i troszczy się o jej dobro. Ale w życiu każdego człowieka przychodzą czasami takie chwile, kiedy potrzebuje samotności. Verity nie wyglądała na osobę o skłonnościach do depresji, ale dzisiaj rzeczywiście była jakaś przygnębiona i zgaszona. Oczywiście powodem mogło być zwyczajne niewyspanie, Sarah nie mogła jednak

oprzeć się wrażeniu, że to Brin może być odpowiedzialny za samopoczucie Verity. Widziała go dziś rano, zanim wyjechał, i zauważyła, że on też był jakiś nieswój. Nie, nie był zirytowany czy zły, ale wyraźnie intensywnie o czymś myślał i niewiele do niego docierało.

Sarah nie była wścibska i na ogół nie wtrącała się w cudze sprawy. Teraz jednak uznała, że Verity powinna choć na chwilę zostać sama. Przypomniała więc pozostałym paniom, że jeśli chcą na czas wrócić na lunch, już powinny szykować się do wyjazdu.

Ona sama miała dziś obowiązki w domu i nie mogła towarzyszyć swoim gościom. Żona jednego z dzierżawców leżała chora i Sarah musiała ją odwiedzić. Po śniadaniu opuściła jadalnię wraz z innymi paniami. A wybierając się już do dzierżawcy, natknęła się na Verity, która wychodziła z biblioteki z książką w ręku.

- Pojechały już? - spytała z uśmiechem Sarah. - Dobrze rozumiem, że nie chciałaś z nimi jechać. Już wczoraj trudno było wytrzymać w tym ciasnym, dusznym sklepiku, a dziś zapowiada się jeszcze cieplejszy dzień.

- Obawiam się, że zawsze będę rozczarowywać moją ciotkę. - Verity uśmiechnęła się smutno. - Ale po prostu nie umiem wykrzesać z siebie entuzjazmu dla takich drobiazgów jak kapelusze, a zakupy wydają mi się czymś ogromnie nużącym.

- Właśnie mi o czymś przypomniałaś! - zawołała Sarah ze śmiechem. - W pełni się z tobą zgadzam. Jeżeli będziesz miała ochotę, porozmawiamy, kiedy wrócę. Nie powinnam zabawić zbyt długo.

Jeśli będziesz miała ochotę, powtórzyła w myślach Verity, patrząc, jak Sarah wybiega z domu. Czyżby przy śniadaniu naprawdę aż tak jasno dała do zrozumienia, że chce być sama? Sarah to wspaniała kobieta! Verity poczuła jednak wyrzuty sumienia.

Przeszła do słonecznego salonu na tyłach domu, w którym pani Ravenhurst często siadała na pół godzinki, żeby spokojnie pomyśleć. Patrząc na ogród, zastanawiała się nad tym, jak inaczej się czuje niż jeszcze kilkanaście godzin temu. Dopiero co biegła przez ten ogród szczęśliwa i pełna euforii na myśl o kilku chwilach z Woźnicą. A teraz siedzi przybita, smutna i bardzo niezadowolona.

Część winy za tę nagłą zmianę nastroju mogła zrzucić na Woźnicę i na to, jak nagle zakończył ich ostatnie spotkanie. Ale nie był to jedyny powód, dla którego opadły ją wątpliwości i niepewność. Myśli kłębiły się w jej głowie i już sama nie wiedziała, czy serce mądrze jej podpowiada. Oczywiście, że nie! To wszystko przez te sny. To one sprawiły, że przestała cokolwiek rozumieć.

Czemu śniła o Brinie przebranym za Woźnicę? I dlaczego we śnie tak chętnie i z taką namiętnością oddawała jego pocałunki? Owszem, lubiła Brina, choć czasami był irytujący, tak samo jak Woźnica. Wracając myślą do wczorajszego wieczoru, przypomniła sobie, jaki był zagubiony i bezradny, kiedy opowiadał jej o zmarłym stryju i jego synach. Tak bardzo chciała go wtedy przytulić i chronić przed ciosami, jakie niesie życie.

W drodze do sypialni myślała o Brinie. Nic dziwnego, że się jej przyśnił...

Ale dlaczego śniła o nim jak o kochanku? To było niepokojące.

Brin wrócił do Ravenhurst krótko przed południem. Słyszając, że Sarah i Verity są w domu, nie poszedł się nawet przebrać, lecz skierował się wprost do salonu na tyłach domu. Okazało się, że jest tu tylko Sarah, Brin nie dał jednak po sobie poznać, że jest rozczarowany nieobecnością drugiej damy, którą spodziewał się tu zastać. Porozmawiali przez chwilę o wszystkim i o niczym, po czym Sarah powiedziała niespodziewanie:

- Nie wiem, czy zdajesz sobie sprawę z tego, że kiedy ty byłeś w Hiszpanii, Verity spędzała dużo czasu z twoim dziadkiem.

- Mówiła ci o tym?

- Nie wprost. Ale wymknęło się jej przypadkiem, że kiedy leczyłeś u nas swoje rany, to ona odpisywała w jego imieniu na twoje listy.

- Tak, dopiero teraz to sobie uświadomiłem. Wiem, że bardzo go lubiła. - Uśmiechnął się z czułością. - Myślę, że go podziwiała. Ale nie wiedziałem, że to ona była tą dziewczyną, która poświęcała mu tyle czasu. Byłem przekonany, że odwiedzała go Angela. Dopiero podczas ostatniej wizyty w domu, kiedy spotkałem się z Jonasem Pennem, moim partnerem w interesach, dowiedziałem się, że to była Verity.

Nagle za oknem mignęło coś błękitnego i oboje zobaczyli Verity wchodzącą do ogrodu. Sarah z uśmiechem patrzyła, jak dziewczyna idzie wysypaną drobnym żwirem ścieżką. Nagle zerwała się z fotela.

- O Boże! Marcus wrócił! - zawołała przestraszona, bo jej mąż

czasami bywał szorstki, i na widok obcej osoby chodzącej po jego ogrodzie mógł się zbyt ostro odezwać.

Wydawało się jej, że nawet z tak daleka widzi słynne pochmurne czoło męża, i jęknęła w duchu, patrząc, jak Marcus i Verity zbliżają się do siebie. Wstrzymała oddech, obserwując, jak Marcus wyciąga rękę do dziewczyny, ujmuje jej białe palce w swoją dłoń, a potem... potem niespodziewanie odrzuca głowę w tył i wybucha głośnym śmiechem.

Sarah odetchnęła. Powinna wiedzieć, że nie było się czego obawiać. Szczerość, z jaką Verity wygłaszała swoje opinie, musiała przypaść do gustu Marcusowi, którego poczucie humoru można było nazwać raczej ironicznym.

- Ta mała flirciara już go zauroczyła! - zawołała z udawaną złością, kryjąc w ten sposób wielką ulgę. - I tylko popatrz, jak ten drań z nią flirtuje! Idź tam, zanim zupełnie oczaruje mojego męża!

- Wiem, że wcale tak nie myślisz. - W oczach Brina mignęło rozbawienie. - Ale pójdę, bo tak się składa, że muszę z nią porozmawiać.

Major wyszedł do ogrodu, a Sarah została przy oknie i z ciekawością obserwowała, jak jej mąż z uśmiechem żegna się z Verity. Po chwili Marcus zjawił się w salonie i chwycił żonę w objęcia.

- Wcale nie powinnam cię całować, ty flirciarzu! Widziałam cię w ogrodzie z panną Harcourt! - ostrzegła.

- Co za urocza mała wiedźma! Wspomniałem, że poznałem jej

wuja, księcia Richleigh, a ona na to, że ma nadzieję, iż nie mam jej tego za złe. - Marcus znów się roześmiał. - Przyznaję, że zawsze uważałem go za kompletnego głupka, ale nigdy nie ośmieliłbym się tego powiedzieć.

- Nie? No to teraz mnie naprawdę zadziwiłeś! - odparła Sarah i znów zerknęła w okno. Dostrzegła Brina znikającego w ogrodzie i uśmiechnęła się tajemniczo.

- Muszę ci powiedzieć, że byłam niesprawiedliwa wobec Brina. Początkowo uważałam, że pomysł, aby zaprosić tu pewne młode damy, jest jednym wielkim oszustwem. Ale przekonałam się, że nie miałam racji... Myliłam się, i to bardzo.

- Czyżby? - Marcus powędrował za wzrokiem żony i popatrzył na rozgrywającą się w ogrodzie scenę. - Nie zaprzeczam, że to urocza mała trzpiotka. A poza tym z najwyższym szacunkiem odnoszę się do twojego zdania.

- Wiesz, że z zasady nie wtrącam się w sprawy innych, ale chętnie posłuchałabym teraz, o czym oni rozmawiają. - Sarah westchnęła.

Nie mogła wiedzieć, że początek rozmowy, która tak ją interesowała, był w rzeczywistości dosyć nudny. Na pewno by ją rozczarował. Brin i Verity rozmawiali bowiem o rozplanowaniu jej ogrodu i o rosnących w nim roślinach.

Brin wykazał się niezwykłą zręcznością i zanim Verity zdążyła się zorientować, stała przy furtce, prowadzącej do rosarium. Popatrzyła wokoło, a widząc krzewy, na których jeszcze nie pokazały

się kwiaty, poczuła się rozczarowana. W nocy wyobrażała sobie, że jest tu dużo bardziej romantycznie.

- Po co mnie tu przyprowadziłeś?

- Ponieważ byliśmy obserwowani przez okno w salonie, a ja wolę nie być widziany - oznajmił z błakającym się w kącikach ust uśmiechem i poprowadził ją dokładnie do tej samej ławki, na której w nocy czekała na Woźnicę.

- Czyżbyś zamierzał nastawać na moją cnotę? - zapytała z kpiącym błyskiem w oczach.

- Nie w tej chwili. Ale jeśli nadal będziesz na mnie tak prowokująco zerkać, to nie odpowiadam za swoje czyny.

Ostrzeżenie zostało wypowiedziane żartobliwym tonem, ale Verity wcale nie była pewna, czy to są tylko żarty.

Usiedli na ławce, a ponieważ Brin milczał, Verity zaczęła rozmowę. Nie mając nic szczególnego na myśli ani broń Boże nie próbując wtrącać się w jego sprawy, zapytała, czy pomyślnie załatwił to, co zaplanował.

- To się dopiero okaże - odparł ostrożnie, a potem zdradził jej, że postanowił sprzedać dom dziadka w Yorkshire. Przyznał, że trudno mu było podjąć tę decyzję. Uważał jednak, że trzeba to zrobić, tym bardziej że w niedalekiej przyszłości przeniesie się do Devonshire.

Verity poczuła bolesne ukłucie w sercu. To prawda, że przez lata nie widywała Brina. Ale ostatnio stali się sobie tak bliscy, dużo bliżsi niż kiedyś, zanim wyjechał do Hiszpanii. Na samą myśl, że kiedy wróci do domu, do Yorkshire, on już nie będzie jej sąsiadem, zrobiło

się jej smutno.

- Pewnie masz rację - odparła, a jej głos zabrzmiał tak głucho, że zdziwione spojrzenie Brina było całkiem zrozumiałe. - Jestem pewna, że podjąłeś słuszną decyzję. Teraz będziesz musiał skoncentrować się na swojej nowej roli w życiu - dodała, uśmiechając się z wysiłkiem.

- Masz na myśli tytuł. Wiążą się z nim same problemy.

- Och, Brin! Nie boisz się chyba, że zawiedziesz oczekiwania, jakie inni będą mieli w stosunku do ciebie? Znajdziesz się wśród wielu dobrych i mądrych ludzi, którzy chętnie udzielą ci dobrych rad... Choćby taki Marcus Ravenhurst. A ja zawsze będę twoją przyjaciółką.

- Zawsze? - Brin popatrzył na nią z nieodgadnionym wyrazem twarzy.

- Zawsze. Przecież wiesz.

- Dobrze to słyszeć. Bo będę potrzebował przyjaciółki, która pomoże mi opędzić się od matek pragnących mnie teraz wyswatać ze swoimi córkami.

Verity zaśmiała się rozbawiona. To prawda. Już wcześniej Brin był zasypywany zaproszeniami i stanowił przedmiot nieustannego zainteresowania licznych mam. A z chwilą, kiedy wiadomość o śmierci jego stryja stanie się powszechnie znana, będzie jeszcze gorzej. Każda ambitna matrona będzie mu chciała przedstawić swoją córkę.

- Nie wiem, jak mogłabym ci pomóc w tej konkretnej sprawie.

- Mogłabyś - odparł po chwili milczenia. - Po prostu zostań moją

narzeczoną.

Verity zamilkła zaskoczona i wpatrywała się w Brina okrągłymi oczami.

- Powiedz, że to żart! - mruknęła, kiedy w końcu udało się jej wydobyć z siebie głos.

- Mówię jak najbardziej poważnie - odparł spokojnie. - Śmiertelnie poważnie - dodał. - Po śmierci stryja znalazłem się w całkiem nowej dla mnie sytuacji i potrzebuję czasu, żeby się do tego przyzwyczaić. A ty jesteś jedyną osobą, która może mi dać ten czas. Nasze zaręczyny nie muszą długo trwać. Zerwiesz je, kiedy tylko będziesz chciała.

Brin ujął ją za rękę, a ona, ku swojemu zdziwieniu, wcale nie miała ochoty jej cofnąć.

- Nie znałem swojej matki i choć nie mogę powiedzieć, bym nie lubił kobiet, to przekonałem się, że niewiele z nich zasługuje na moje zaufanie. Bezgranicznie ufam pani Ravenhurst i tobie, moja droga. Śmiało mogę powiedzieć, że powierzyłbym ci swoje życie.

Po raz kolejny Verity nie mogła wydobyć głosu i musiała odchrząknąć, zanim udało się jej wykrztusić kilka słów.

- To wspaniały komplement, ale... ale nadal uważam, że twój pomysł jest zbyt drastyczny. Fikcyjne zaręczyny nie załatwią sprawy. Jestem pewna, że kiedy się nad tym jeszcze raz zastanowisz, przyznasz mi rację.

- Moja droga panno. Nie myślisz chyba, że wymyśliłem to przed chwilą, siedząc tu z tobą na ławce. - Brin roześmiał się. - Planuję to od

wielu tygodni. Niemal od chwili, kiedy cię spotkałem pierwszy raz po latach przerwy.

- Co takiego? Chcesz powiedzieć, że całe zainteresowanie, które okazywałeś mi w Londynie, było wyłącznie starannie zaplanowaną grą? A jedynym celem było przekonanie ludzi z towarzystwa, że naprawdę ci się podobam? - Verity uznała, że to już przechodzi wszelkie pojęcie.

- Nie do końca... - odparł ostrożnie Brin. - Ale trzeba wykorzystać każdą ewentualność. Poza tym musisz przyznać, że gdybym w Londynie nie zwracał na ciebie uwagi, to informacja w prasie o naszych zaręczynach wzbudziłaby zdziwienie. Zresztą było mi przyjemnie w twoim towarzystwie... i nadal jest, jeśli mam być szczery. Możesz mi wierzyć, że bez przykrości znoszę twoją obecność - zapewnił prostodusznie.

- Co ty powiesz? - Verity wyrwała rękę z jego dłoni, jakby nagle stał się odrażający. - Jesteś pozbawionym zasad potworem! Czy choć przez chwilę pomyślałeś o tych biednych dziewczętach, które zwodziłeś złudnymi nadziejami?

- Uchowaj Boże! - zawołał z mieszaniną rozbawienia i irytacji. - Nie chcesz mi chyba powiedzieć, że panna skrzeczająca sówka albo ta druga, która przypomina pozbawiony życia toból, wyjadą stąd ze złamanym sercem? Gdybym już miał mieć jakieś wyrzuty sumienia, to jedynie w stosunku do panny Gillingham. Chociaż widząc, z jakim ciełym uwielbieniem patrzyła wczoraj na Castleforda, myślę, że obędzie się bez mojego poczucia winy.

- Clarissa wcale nie patrzyła na niego z cielecym uwielbieniem - oburzyła się Verity, choć z trudem powstrzymywała się od śmiechu, słysząc, jak Brin określił Hilary i lady Caroline.

- Po prostu mają ze sobą wiele wspólnego.

- Niech tak będzie. A teraz pomyśl. Czy mogłem cię tu zaprosić samą? Przecież takie zaproszenie od razu wydałoby ci się podejrzane. I na pewno byś je odrzuciła.

- Na pierwszy rzut oka wydajesz się taki miły i spokojny. Ale to tylko pozory, za którymi kryje się przebiegły łajdak! - Verity prychnęła jak rozzłoszczona kotka, Brin nie wydawał się jednak urażony tą niepoehlebną oceną swojego charakteru.

- Czy to oznacza, że się zgadzasz? Możemy ogłosić nasze zaręczyny na jutrzejszym przyjęciu?

- Na nic się nie zgodziłam! I przestań tak na mnie patrzeć jak zbity pies! - zawołała, widząc jego minę. - Twoje sztuczki nie robią na mnie żadnego wrażenia!

Odwróciła się do niego plecami i utkwiała oczy w krzewach róż. Pierwszy szok wywołany tą niezwykle propozycją minął i sprawa nie wydawała jej się już, prawdę mówiąc, tak szalona jak przed chwilą. Pomyślała, że przecież nie tylko Brin cierpi z powodu nadmiernego zainteresowania płci przeciwnej. Ona sama po powrocie do Londynu też będzie zmuszona przyjmować szalonych młodzieńców, którym się wydaje, że są w niej zakochani. Te wizyty były tak męczące i nudne, że perspektywa ich ukrócenia wydała się jej niezwykle kusząca. I nagle zdała sobie sprawę, że naprawdę rozważa, czy nie przyjąć

skandalicznej propozycji Brina.

- Nie możemy tak po prostu oświadczyć, że jesteśmy zaręczeni - powiedziała, odwracając się z powrotem w jego stronę. - Jeśli ludzie mają w to uwierzyć, wszystko musi się odbyć jak należy. Przede wszystkim musisz poprosić o zgodę mojego wuja Luciusa.

- Już to zrobiłem - odparł, wprawiając ją w osłupienie. - Na wszelki wypadek. Podczas ostatniej wizyty w Yorkshire. Dodam, że twój wuj nie tylko nie miał nic przeciwko temu, ale nawet wydawał się szczęśliwy z takiej perspektywy.

- Nie wierzę własnym uszom! - Verity zaskoczona pokręciła głową. - No dobrze, wuja Luciusa mogłeś oszukać, ale z ciotką Clarą nie pójdziesz ci tak łatwo. To niezwykle przebiegła kobieta i od razu przejrzy cały ten plan.

- Zobaczysz, że się mylisz - rzekł i nagle spoważniał. - Verity? Zrobisz to z przyjaźni do mnie? Zostaniesz moją narzeczoną?

Rozsądek mówił jej, że samo rozważanie tej możliwości jest szaleństwem. Każda cząsteczka jej ciała sprzeciwiała się takiemu oszustwu, a jednak, jakby wbrew sobie, wyraziła na nie zgodę.

- Dobrze. Ale tylko do końca sezonu.

- Możesz mi wierzyć, że to wystarczy - powiedział miękko, muskając ustami kącik jej warg.

Był to delikatny i przelotny pocałunek. Mogłoby się wydawać, że brat okazuje uczucia siostrze. A mimo to okazał się wystarczający, by Verity przypomniała sobie sceny z własnej wyobraźni, dużo bardziej gorące. Poczwała, jak jej puls niebezpiecznie przyspiesza, i z

przerażeniem pomyślała o Woźnicy.

Dobry Boże! Co on na to wszystko powie...? A wiedziała, że musi mu wyznać prawdę.

Rozdział czternasty

- Verity, kochanie! Tu jesteś! - Lady Billington wyszła z salonu dokładnie w chwili, w której Stebbings otwierał drzwi wejściowe jej bratanicy. - Znowu byłaś na przejażdżce z majorem Carterem?

Wychodząc z domu, Verity dokładnie poinformowała ciotkę o swoich planach na popołudnie. Uznała więc, że to pytanie jest zupełnie zbyteczne, a odpowiedź na nie zbędna, i z cierpkim uśmiechem ruszyła za ciotką na górę.

- Na pewno chcesz odetchnąć przed dzisiejszym przyjęciem. Wszystkie panie już dawno odpoczywają w swoich pokojach. Wprost nie mogę się doczekać wieczoru.

A ja wręcz odwrotnie, pomyślała Verity gorzko.

Nie odrywając oczu od podłogi, po raz setny chyba zastanawiała się, co ją opętało, że zgodziła się wziąć udział w szalonym planie Brina. Od dwudziestu czterech godzin była już w tajemnicy „zaręczona” i przez ten czas nie zaznała ani chwili spokoju, obawiając się kompromitacji.

Miała wrażenie, że jest rozdarta na dwoje. Z jednej strony rozumiała powody kierujące Brinem i jako jego przyjaciółka gotowa była zrobić wszystko, by mu pomóc. Ale z drugiej wzdragała się na samą myśl o farsie, w której brała udział, i o oszukiwaniu naprawdę

lubianych przez siebie osób.

Próbowała porozmawiać z ciotką, ale nie mogła zdobyć się na żadne wyznania, chociaż to już dziś wieczorem Brin miał ogłosić ich zaręczyny. Podczas przejażdżki przyznała mu się, że lady Billington nadal o niczym nie wie, i usłyszała, że takie postępowanie w stosunku do ciotki jest nie fair.

Nie fair... też coś! - myślała, idąc po schodach. A jak określić świadome okłamywanie ukochanej osoby, która opiekowała się mną z oddaniem i miłością? Co może być gorszego i bardziej godnego pogardy niż odpłacenie za lata troski takim kłamstwem?

Lady Billington stanęła przed drzwiami swojej sypialni i już chciała otworzyć drzwi, kiedy Verity położyła jej rękę na ramieniu.

- Chciałabym z ciocią chwilę porozmawiać - poprosiła cicho. - Obiecuję, że to nie zajmie dużo czasu. Zdąży ciocia od począć, zanim trzeba się będzie szykować na przyjęcie.

Lady Billington ucieszyła się z całego serca i z radością zaprosiła Verity do pokoju.

- W ciągu ostatnich dwóch dni prawie cię nie widywałam. Z przyjemnością wysłucham wszystkiego, co zechcesz mi powiedzieć - odparła i z pełnym satysfakcji błyskiem w oku ruszyła przodem. - Odnoszę wrażenie, że ostatnio dużo czasu spędzasz w towarzystwie majora Cartera.

- Rzeczywiście. I właśnie o tym chciałam porozmawiać - przyznała, czując, że jeśli nie skorzysta z tej szansy, później nie zdobędzie się już na odwagę. - Major Carter i ja... my... - Przerwała,

żeby wziąć głęboki oddech.

- Major Carter uczynił mi ten zaszczyt, że poprosił, bym została jego żoną, a ja się zgodziłam - powiedziała jednym tchem, nie odrywając oczu od perłowej broszki przypiętej do sukni ciotki.

Nareszcie to powiedziałam! - pomyślała, czując wielką ulgę. Ale satysfakcja nie trwała długo, bo kiedy uniosła oczy, zobaczyła, że po policzkach ciotki płyną łzy.

- Nie płacz, ciociu! - Verity jednym skokiem znalazła się przy starszej pani i mocno ją objęła. - Nie martw się, proszę. Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz.

- Wiem, kochanie. Wiem, że wszystko będzie dobrze. To było moje marzenie. Ostatnio ciągle się o to modliłam.

- Co takiego? - Verity odskoczyła od ciotki, jakby ją nagle polano lodowatą wodą.

- Major Carter jest wprost stworzony dla ciebie. Zrozumiałam to od razu, kiedy go tylko zobaczyłam, tamtego wieczoru u Morlandów.

- Lady Billington wyciągnęła z kieszeni sukni jedwabną chusteczkę i otarła oczy. - Widząc was razem w ciągu ostatnich dni... I wczoraj wieczorem, kiedy major praktycznie nie odstępował cię na krok... Och, Verity, jestem taka szczęśliwa!

Verity nie mogła uwierzyć, że ciotka płacze ze szczęścia. Poczowała, że uginają się pod nią kolana, i ciężko opadła na krzesło. Zrozumiała, że znalazła się w prawdziwej pułapce i że zawdzięcza to wyłącznie sobie. Zaręczyny z majorem potrwają nie dłużej niż kilka tygodni. A kiedy je zerwie, złamie serce ukochanej ciotce. Sytuacja

była bez wyjścia i do tego po prostu absurdalna!

- Wszyscy widzą, że major jest w tobie do szaleństwa zakochany.

- Przyznaję, że ostatnio bardzo się polubiliśmy - wyjąkała Verity, przerażona tym, co się dzieje. Zdawała sobie sprawę, że jej słowa muszą brzmieć idiotycznie, ale nie mogła wymyślić nic innego. To przynajmniej nie było kłamstwem!

- Polubiliście się? - Lady Billington zaśmiała się cichutko, a jej śmiech zdawał się wisieć w pokoju jak migocząca mgiełka. - Ty niedobra dziewczyno! Tyle tygodni trzymałaś mnie w niepewności! Ale wczoraj wieczorem, kiedy major po kolacji wszedł do salonu i od razu podszedł wprost do ciebie, wiedziałam, że się nie mylę i że moje modły zostały wysłuchane. Tylko ślepy mógłby nie dostrzec, że jesteście w sobie zakochani.

Verity nie wierzyła, że to wszystko dzieje się naprawdę. Miała wrażenie, że męczy ją koszmarne sen i nie może się obudzić. Paplanina ciotki przyprawiała ją o zawrót głowy. Oszołomiona, ostrożnie wstała z krzesła i powoli podeszła do drzwi. Czuła, że musi stąd natychmiast wyjść, bo jeszcze chwila, a zdumiewające wypowiedzi ciotki zmuszą ją do wyznania prawdy.

- Pójdę już, żeby ciocia mogła odpocząć przed przyjęciem.

- Możesz zostać, dziecko! Jestem taka szczęśliwa, że nie muszę się kłaść.

- Ale ja muszę - niemal krzyknęła Verity. - Porozmawiamy później - dodała już w drzwiach i z niestosownym pośpiechem

opuściła pokój, aby nie dać lady Billington okazji do dalszych uwag, które wprawiały ją w zakłopotanie.

Drżącymi rękami rozwiązała wstążkę czepka i rzuciła go na łóżko, a potem ciężko usiadła. Nie mogła uwierzyć, że ciotka Clara, którą zawsze uważała za osobę obdarzoną wyjątkowo bystrym i przenikliwym umysłem, mogła wygadywać te wszystkie absurdy. Była naprawdę zaniepokojona. Bo nie dość, że lady Billington nie posiada się ze szczęścia z powodu zaręczyn, to jeszcze to jej szalone przeświadczenie, że wszyscy widzą, jaką zakochaną parę stanowią major i jej bratanica... Przecież to niedorzeczne! Czy zrobili albo powiedzieli coś, co mogło dać powód do takich przypuszczeń?

Verity oparła się wygodnie o poduszki i błędząc wzrokiem po błękitnym jedwabiu baldachimu, cofnęła się myślą do wydarzeń wczorajszego wieczoru.

Kolację podano wcześniej, jak zwykle. Później Brin i Marcus grali w bilard, a po skończonej grze przyszli do salonu, do pań. To prawda, że Brin podszedł wprost do niej i usiadł na kanapie, na której ona siedziała. Ale czy było w tym coś niezwykłego? Od początku pobytu w Ravenhurst tylko dwóch wieczorów nie spędzili razem. Pierwszego, zaraz po przyjeździe, kiedy celowo go unikała, i jeszcze jednego, gdy prosto po kolacji Brin zamknął się w bibliotece i pracował. Kiedy to sobie uświadomiła, zrozumiała, że istotnie Brin zawsze szukał jej towarzystwa.

Dumając nad tym niezaprzeczalnym faktem, musiała w końcu przyznać, że zaskakujące przypuszczenia ciotki mogą być w pewnym

stopniu usprawiedliwione. Ona sama nie zauważyła, aby Brin traktował ją inaczej niż pozostałe młode damy. Dopiero kiedy ten przebiegły łajdak sam jej o tym powiedział, uznała, że postronni obserwatorzy rzeczywiście mogli odnieść wrażenie, iż major właśnie ją obdarza szczególnymi względami. Dzięki temu, kiedy dziś ogłosi ich zaręczyny, nikt nie będzie specjalnie zaskoczony. Musiała przyznać, że Brin bardzo mądrze wszystko sobie obmyślił. I w dodatku przeprowadził to tak zręcznie, że ani przez chwilę nie podejrzewała, iż jest pionkiem w jego grze. W grze, która miała mu zapewnić spokój i obronić przed zakusami matek pragnących wydać za niego swoje córki.

Manipulował mną, to prawda, ale czy mogę mieć mu to za złe? Verity uśmiechnęła się do siebie, chociaż to, że tak długo nie dostrzegała, co się w koło dzieje, nie świadczyło najlepiej o jej inteligencji. Szybko jednak usprawiedliwiła się tym, że Brin zachowywał się w stosunku do niej właściwie cały czas tak samo.

Praktycznie od początku, odkąd zaczęli się spotykać w Londynie, jeśli nie liczyć jednej dość dziwnej sprzeczki, odnosili się do siebie po przyjacielsku. Każdy, kto miał choć trochę oleju w głowie, mógł bez trudu stwierdzić, że byli bardziej jak brat i siostra, i choć czasem się nie zgadzali ze sobą, na ogół żyli w dobrej komitywie. Brin nigdy nie patrzył na nią w ten irytujący sposób, w jaki dżentelmeni z uporem okazywali zainteresowanie wybrankom swojego serca. I miała nadzieję, że ona również nie wpatrywała się w niego jak zadurzona gąska. Czemu więc ciotka Clara była pewna, że

ona i major są w sobie zakochani?

To wszystko jest po prostu śmieszne! Dość miała rozważania, co też skłoniło ciotkę do wysnucia takich absurdalnych wniosków. Spuściła nogi z łóżka i podeszła do dzwonka, by wezwać pokojówkę.

Meg zjawiała się niemal natychmiast i Verity z pełnym zaufaniem oddała się w jej młode, zręczne ręce. Przestała myśleć o lady Billington i skupiła się na przygotowaniach do balu.

Wykąpana, z umyтыми i wysuszonymi włosami, ubrała się w tę samą białą suknię, którą miała na sobie na balu w domu państwa Gillingham. Potem usiadła przed lustrem, a Meg zaczęła układanie wymyślnej fryzury, sprawnie wplatając drobne kwiatuszki z białego jedwabiu w misternie ułożone rude loki.

Ktoś zapukał do drzwi. Verity, pewna, że to ciotka, zawołała, żeby weszła. Usłyszała skrzypnięcie otwieranych drzwi, a potem lekkie westchnienie pokojówki. Odwróciła się i spojrzała zaskoczona.

W drzwiach stał Brin.

Wysoki i postawny, zawsze robił wrażenie, ale w zielonym mundurze 95. Regimentu Strzelców z lamowaną czarno kurtką i karmazynową szarfą w pasie wyglądał wspaniale.

Nigdy przedtem nie widziała go w mundurze i teraz wprost dech jej zaparło. Czując, że nie jest w stanie wykrztusić słowa, zerknęła na Meg i dała jej skinieniem znak, że może odejść. Dziewczyna posłusznie wyszła, a Brin zamknął za nią drzwi i powoli ruszył w stronę swojej „narzeczonej”. Patrząc, jak się zbliża, Verity czuła w sercu rozdzierający żal.

Przypomniała sobie pożegnalne przyjęcie, jakie Brin urządził dla przyjaciół przed swoim pierwszym wyjazdem do Portugalii. Nie poszła na nie, bo ciągle jeszcze była na niego obrażona za to, jak na nią nakrzyczał. Była samolubna i rozpuszczona. Zachowała się wtedy naprawdę okropnie, a głupia duma przeszkodziła jej w pożegnaniu przyjaciela, którego przecież mogła już nigdy nie zobaczyć. Wielu młodych angielskich chłopców poległo w Hiszpanii i w Portugalii, Brin mógł być jednym z nich. I prawdę mówiąc, niewiele brakowało, aby po bitwie pod Badajoz jego nazwisko znalazło się na długich listach poległych.

Przez te wszystkie lata, podczas których Brin z daleka od domu walczył za ojczyznę, nie napisała do niego ani jednego listu. A gdy przyjeżdżał do domu na krótkie urlopy, zawsze robiła wszystko, żeby go nie spotkać. Nawet wtedy, kiedy wrócił do Yorkshire po długiej rekonwalescencji w Ravenhurst i po raz ostatni widział swojego dziadka żywego, postarała się, aby nie było jej w domu i wyjechała w odwiedziny do ciotki Clary, do Kent.

Jak mogła być taka małostkowa i tak podle traktować tego wspaniałego, dzielnego mężczyznę? Przecież jego słowa, które przed laty tak bardzo ją dotknęły, były prawdą. Rzeczywiście była wtedy samolubnym i rozpieszczonym stworzeniem. A powodem, dla którego usiłowała mu otworzyć oczy na prawdziwy charakter jego ukochanej, wcale nie była obawa, że Angela złamie mu serce. Prawda była taka, że była o niego zazdrosna.

Myśląc o tym wszystkim, z trudem powstrzymywała łzy. Ale

mimo jej wysiłków Brin zauważył wilgotny błysk w jej oczach i jednym skokiem znalazł się tuż przy niej.

- Verity, co się dzieje? - Wziął ją za rękę, a kiedy wstała sprzed lustra, zajrzał jej w twarz. - Rozmyślałaś się? Żałujesz, że się zgodziłaś?

- Żałuję, i to bardzo, ale czegoś zupełnie innego.

- Jesteś pewna?

- Zgodziłam się i nie mam zamiaru się wycofać. Słyszac te słowa, Brin uśmiechnął się z wdzięcznością, a ona poczuła, że jej żołądek zamienia się w kamień.

- To dobrze, bo już powiedziałem Ravenhurstom i oboje bardzo się ucieszyli.

Brin myślał, że dzięki tej wiadomości Verity poczuje się swobodniej i pewniej, ale niestety tak się nie stało.

- Nie tylko oni. Ciotka Clara też wpadła w zachwyty, kiedy jej powiedziałam - wyznała, ale choć udało się jej zapanować nad głosem, to oczy zdradzały poważne obawy, jakie nie dawały jej spokoju. - Nie lubię kłamać, a kiedy oznajmisz nasze zaręczyny, ludzie na pewno zaczną zadawać dociekliwe pytania. Mam nadzieję, że zdajesz sobie z tego sprawę? Ale Brin zupełnie się tym nie przejmował.

- Będziemy się tym martwić później, kiedy już do tego dojdzie, dobrze? A teraz, mam nadzieję, że przyjmiesz ten drobiazg jako wyraz moich... jako wyraz głębokiego szacunku, jakim cię darzę. - I zanim Verity zorientowała się w jego zamiarach, wsunął jej na palec

pierścionek z szafirów i brylantów.

Kompletnie zaskoczona, z zachwytem patrzyła na mieniące się blaskiem kamienie. Był to najpiękniejszy pierścionek, jaki kiedykolwiek widziała. I wyjątkowo w jej guście. Zastanawiała się, kiedy Brin zdążył go kupić. I skąd mógł wiedzieć, jaki ona nosi rozmiar? Czując na palcu ciężar klejnotu, zdała sobie sprawę, że ich zaręczyny zaraz się odbędą, i nagle zrozumiała, jak bardzo pragnie, aby były one prawdziwe. Ale zdrowy rozsądek opuścił ją tylko na chwilę.

- Piękny pierścionek - pochwaliła, z trudem wydobywając słowa. - Obiecuję, że będę uważać, aby go nie zgubić, i oddam go w takim stanie, w jakim jest w tej chwili... kiedy...

- Ciii - przerwał jej miękko Brin. - Dopóki żyję, żadna inna kobieta nigdy nie będzie go nosić. Pierścionek jest twój i tylko twój. Obojętne, jak to wszystko się skończy.

Nie zrozumiała, co ma na myśli, ale zanim zdążyła zapytać, Brin ostrożnie ją przytulił i delikatnie pocałował. Zaszokowana reakcją swojego zdradzieckiego ciała, które nawet nie próbowało się opierać, Verity bezwolnie poddawała się zmysłowej przyjemności, jaką w niej budził jego dotyk. Poczowała muśnięcie warg na swoich ustach, identyczne jak w ogrodzie i zrozumiała, że czuje się rozczarowana, bo pragnęła więcej.

- Nie jesteś już taka blada - stwierdził z satysfakcją Brin, a ona nie zdołała powstrzymać zdradzieckiego rumieńca.

W głowie kłębiły się jej różne myśli, sprzeczne ze sobą emocje

walczyły o pierwszeństwo w jej sercu i wszystko to było strasznie pogmatwane. A przez cały ten galimatias przebijało się tylko jedno pragnienie: niech on mnie pocałuje!

Ale Brin najwidoczniej nie czuł podobnej potrzeby. Odsunął się od niej, wziął z poręczy krzesła jedwabny szal z frędzlami i zarzucił go jej na ramiona.

- Sarah sugerowała, że nie musisz wyjeżdżać razem z pozostałymi gośćmi. Jeśli chcesz, możesz zostać ze mną jeszcze kilka dni. Ale oczywiście sama podejmiesz decyzję. Nie będę nalegał.

W tej chwili Verity nie była w stanie podjąć żadnej decyzji. Spojrzała więc na Brina, jakby szukanie pomocy w jego oczach było dla niej czymś najbardziej naturalnym. Nie musiała nic mówić, wystarczyło mu jedno spojrzenie, by zrozumieć, że nie jest pewna, jak postąpić i że to on musi za nią zdecydować.

- Uważam, że najlepiej zrobisz, zostając. Jeśli wrócisz teraz z ciotką do Londynu, narazisz się na wścibstwo ze strony najbardziej bezlitosnych przedstawicieli tamtejszych wyższych sfer. Postaram się, aby wiadomość o naszych zaręczynach po jawiła się w „Morning Post”. Jest więc nadzieja, że przez kilka dni wszyscy najwięksi plotkarze zdążą to już między sobą omówić i kiedy wrócimy, zostawią nas w spokoju. A spokój wydaje mi się właśnie tym, czego teraz najbardziej będziesz potrzebowała - dodał, widząc niepewność i konsternację malujące się na jej twarzy.

Zrozumiała, że ma rację.

Brin wprowadził Verity do salonu, w którym zgromadzili się

wszyscy goście, czekając, aż zostaną poproszeni do jadalni. I tu zaskoczył ją po raz drugi tego wieczoru, oznajmiając bez żadnych wstępów o ich zaręczynach. Po tak mocnym wejściu Verity uznała, że aby dość do siebie, nie wystarczy jej kilka dni. Będzie raczej potrzebowała tygodni, żeby odzyskać panowanie nad nerwami.

Choć wszystko się w niej trzęsło, zdołała zachować pozory opanowania i spokoju. Z podziwem patrzyła na Brina, który z zimną krwią swobodnie przyjmował szczere gratulacje i odpowiadał na nie z niewymuszoną wdzięcznością. Wydawał się przy tym taki naturalny, że kilka razy musiała sobie przypominać, iż zaręczyny są tylko fikcją.

Gdyby nie słyszała jego słów i nie widziała na własne oczy, jak się zachowuje, nie uwierzyłaby, że można aż tak dobrze i przekonująco kłamać. Musiała przyznać, że Brin był w swojej roli doskonały. Najwyraźniej marnował wielki talent aktorski.

Kilka bardziej dociekliwych pań nie zdołało powstrzymać się od zadawania pytań, ale Brin bez problemu na wszystkie odpowiadał, czasem potrzebując najwyżej chwili do namysłu. Przy kolacji lady Westbury zapytała, na kiedy zaplanowali ślub, na co Brin odpowiedział, że jako zwolennik krótkich zaręczyn, będzie dążył do tego, aby ceremonia odbyła się raczej za kilka tygodni niż miesięcy. Verity jadła właśnie dziczyznę w cieście i omal się nie udławiła, usłyszawszy jego odpowiedź. Z obawy, by sprawy nie zaszły za daleko, postanowiła go powstrzymać przy pierwszej nadarzącej się okazji. - Dlaczego mówisz, że ślub będzie za parę tygodni? Co ty sobie myślisz? - powiedziała cicho, kiedy po kolacji przechodzili do

salonu, w którym miało się odbywać przyjęcie. W jej głosie słychać było silne rozdrażnienie. - Kopiesz sam pod sobą wielki dół, mój panie. Nie oczekuj, że kiedy w niego wpadniesz, ja pomogę ci wyjść!

- Nie zdołasz mi pomóc, moja droga, bo razem ze mną będziesz w nim tkwiła - odparł niezrażony jej słowami. - A teraz przestań na mnie patrzeć jak wściekła kotka i idź porozmawiaj z ciotką. Od dłuższej chwili próbuje już zwrócić na siebie twoją uwagę. No, bądź dobrą dziewczynką. Obiecuję, że wrócę po ciebie, zanim zagrają pierwszego walca - powiedział i uszczypnął ją w ramię.

Urażona, wbiła w plecy Brina mordercze spojrzenie, ale nawet jeśli czuł na sobie jej wzrok, nie odwrócił się. Podeszedł wprost do jednego z sąsiadów Ravenhurstów i zaczął z nim rozmawiać. W tej sytuacji Verity nie pozostało nic innego, jak tylko wykonać jego polecenie. I z miną daleką od tego, jak powinna wyglądać szczęśliwa przyszła panna młoda, podeszła do ciotki, która rozmawiała z panią Fenner i jej córką.

- Czyżby kłótnia kochanków? - zaskrzeczała Hilary z taką satysfakcją malującą się na twarzy, że Verity miała ochotę jej przyłożyć.

- To chyba za dużo powiedziane - odpowiedziała, ostrożnie dobierając słowa. - Ale ty, Hilary, dobrze mnie znasz i wiesz, że nie mam zwyczaju udawać, iż nie słyszę, kiedy ktoś celowo próbuje mnie zirytować.

Hilary nie należała do najbardziej taktownych osób, ale nie była też nierozgarnięta. Nie chcąc drażnić sąsiadki, znanej z wybuchowego

charakteru, zachowała rozsądne milczenie i odeszła z matką, aby porozmawiać z gośćmi Ravenhurstów.

- Słyszałam od naszej gospodyni, że zostaniesz tu jeszcze kilka dni - zagadnęła lady Billington, prowadząc Verity do wolnych krzeseł, na których mogły wygodnie usiąść i zamienić parę słów na osobności.

- Jeśli tego chcesz, nie mam zamiaru się sprzeciwić.

- Och, przepraszam, ciociu. Chciałam ci o tym powiedzieć przed kolacją, ale zupełnie wyleciało mi z głowy. Nawet z Sarah jeszcze o tym nie rozmawiałam. Przyznaję, że to pomysł Brina i w pewnym sensie on za mnie zdecydował.

Takie słowa w ustach bratanicy były dla uszu lady Billington jak najpiękniejsza muzyka. Od początku wierzyła, że major jest odpowiednim mężczyzną dla Verity i że bez trudu okiełzna tę upartą trzpiotkę. Pomyślała, że jak widać, pierwszy krok miał już za sobą, ale uznała, że takie refleksje bezpieczniej będzie zachować dla siebie. Wyraziła natomiast zdziwienie, że tak od razu, na samym początku wieczoru, ogłosili swoje zaręczyny.

- Nie tylko ty byłaś zaskoczona - odparła niezadowolona Verity.

Ciotka przyjrzała się jej nieco baczniej i spytała, dlaczego planują tak krótki okres narzeczeństwa.

- Rzeczywiście, będzie krótki. - Verity niemal zgrzytnęła zębami ze złości, myśląc, że jeśli Brin nadal będzie zachowywał się w ten sposób, zaręczyny mogą się okazać rekordowo krótkie.

Kwartet muzyczny wynajęty na wieczór zagrał pierwsze nuty, a wtedy obiekt niezbyt życzliwych myśli Verity porzucił swojego

rozmówcę i zjawił się, by ją porwać do pierwszego tańca. Przyjęcie, które miało być zwyczajnym spotkaniem towarzyskim, stało się nagle przyjęciem zaręczynowym, więc Verity i major zostali uhonorowani pustym parkietem. Verity czuła na sobie spojrzenia wszystkich gości, ale na szczęście po paru chwilach inne pary też zaczęły wchodzić na parkiet.

Powoli odzyskiwała równowagę, choć nadal była dosyć podejrzliwa w stosunku do człowieka, który nieproszony, podjął się ułożenia jej życia.

- Jeśli ten wyraz oślego uporu natychmiast nie zniknie z twojej twarzy, to uprzedzam, moja panno, że pocałuję cię przy wszystkich, na środku parkietu.

Verity wiedziała, że major może to zrobić, ale nie miała zamiaru dać się zastraszyć.

- Zrób to, a natrę ci uszu i ludzie zaczną się domyślać, że z naszymi zaręczynami jest coś nie w porządku - prychnęła jak wściekła kotka.

Brin roześmiał się w głos, co sprawiło, że kilka osób zerknęło na nich z pobłażliwym uśmiechem. Ku swojemu zdumieniu Verity także się uśmiechnęła. Nie umiała się złościć na Brina. Wszelkie próby w tym względzie okazywały się nieudane. Był zupełnie beznadziejnym przypadkiem! Nigdy nie robił tego, czego się po nim spodziewała, a co gorsza, miał wrodzony dar doprowadzania jej do szału tylko po to, by w następnej chwili wprawić ją w cudowny humor.

Patrząc na narzeczonego, uśmiechnęła się jeszcze szerzej. Lubiła

jego wysokie, inteligentne czoło i rudobrazowe lekko falujące włosy. Błądząc wzrokiem po jego twarzy, przyglądała się ładnie wykrojonym ustom, prostemu nosowi i błyszczącym wesoło oczom. I nagle zdała sobie sprawę, że kocha sposób, w jaki Brin się uśmiecha, i zmarszczki, które pojawiają się wtedy w kącikach jego oczu. Tak jak w tej chwili.

- Jesteś kochana, wiesz - stwierdził nagle tak obojętnie, jakby mówił o pogodzie. Ale choć ton jego głosu był dosyć chłodny, Verity wyczuła, że mówi z przejęciem. - Nie rozumiem, jak to się stało, że przez tyle lat nikt się z tobą nie ożenił.

- Byłam wystarczająco mądra, by uniknąć pułapki małżeństwa. Co, jak wiesz z własnego doświadczenia, wcale nie jest takie łatwe. A gdybym była mężatką, nie moglibyśmy sobie w tej chwili pozwalać na takie szaleństwo. Ale Ravenhurstom powiedziałaś chyba prawdę? - zapytała, szukając wzrokiem gospodarzy, którzy właśnie w tej chwili witali przy drzwiach nowo przybyłych gości.

- Naturalnie - odparł po dłuższej chwili. Verity wcale nie była przekonana, czy rzeczywiście to zrobił.

- A o stryju też już wiedzą?

- Tak. O tym też im powiedziałem. Ufam im tak samo jak tobie i wiem, że jeśli powierzę im jakąś tajemnicę, to na pewno jej nikomu nie zdradzą. Mam nadzieję, że teraz, kiedy Marcus wrócił do domu, będziecie mieli okazję poznać się trochę lepiej. Czasem potrafi wybuchnąć i bywa szorstki w obejściu. Ale oboje wiemy, że i ty potrafisz się rozziłościć po jednej czy dwóch uszczypliwych uwagach.

Jestem pewien, że po jakimś czasie polubisz go. To jeden z najszlachetniejszych i najbardziej prawych ludzi...

Nagle przerwał i zmrużywszy oczy, zaczął się czemuś badawczo przyglądać. Verity podążyła za jego wzrokiem i dostrzegła, że uwagę Brina przykuło pojawienie się lorda Castleforda, tym razem w towarzystwie zarówno bratanka, jak i syna. Nie miała pojęcia, czemu ich obecność do tego stopnia wytrąciła Brina z równowagi, że aż zapomniał, o czym z nią rozmawiał, i zamilkł, głęboko zamyślony. Po chwili ponownie na niego zerknęła i zobaczyła, że otrząsnął się już z zamyślenia i znów patrzy na nią z uśmiechem.

- Clarissa będzie zadowolona, kiedy zobaczy Clauda.

- Martwi cię to?

- Oczywiście, że nie! Dlaczego miałyby mnie martwić?

Brin nie powinien się tym przejmować, to prawda, przyznała w myślach Verity. Ale przecież sama była świadkiem, że widok Castleforda wyraźnie go poruszył i sprawił, że zamilkł i zamyślił się. A jeśli rzeczywiście nie chodziło o Clauda... to czyj widok mógł go tak zaniepokoić?

Po skończonym tańcu Brin odprowadził Verity do lady Billington, która właśnie rozmawiała z lady Gillingham i jej córką. Zamienił z każdą z pań kilka zdań, a potem poszedł poprosić do tańca lady Caroline. Trudno było powiedzieć, czy Clarissa poczuła się tym urażona, bo z jej twarzy niczego nie można było wyczytać. Ukradkiem spojrzała na Castlefordów, którzy nadal rozmawiali z gospodarzami, a potem smutno spuściła oczy i wbiła wzrok w kolana.

- Claud Castleford to niezwykle ujmujący człowiek. Nic dziwnego, że ci się podoba - powiedziała z uśmiechem Verity, siadając obok Clarissy.

Dziewczyna zarumieniła się uroczo i nawet nie próbowała udawać, że nie rozumie, o czym Verity mówi.

- Przyznaję, że go lubię, chociaż może nie jest ani tak przystojny, ani tak szykowny jak jego kuzyn. Ale właśnie taki bardziej mi się podoba.

- Chcesz powiedzieć, że nie podoba ci się kuzyn Clauda? - Verity uniosła brwi.

- Nie lubię go. Uważam, że jest arogancki - przyznała Clarissa. - A poza tym jego spojrzenie jest takie jakieś nieprzyjemne i wydaje się wyrachowany. Za każdym razem, kiedy z nim tańczyłam w Londynie, czułam jakiś dziwny niepokój, niemal strach. Oczywiście nie znam go dobrze i być może zbyt pochopnie go oceniam. Może się przecież okazać, że pierwsze wrażenie było mylne.

- Może, ale nie wydaje mi się, żebyś się bardzo myliła.

- Jakiś czas temu powiedziałam mamie, że to ciebie major wybierze. Jak widać, miałam rację, ale mama zauważyła to już dużo wcześniej. Cieszę się, że tak się między wami ułożyło. Zresztą od razu było widać, że dobrze do siebie pasujecie i świetnie się rozumiecie.

Verity odkryła, że słowa Clarissy do złudzenia przypominają jej własne myśli. Było to dosyć dziwne, tym bardziej że nagle uświadomiła sobie, że wszyscy naokoło zdawali się widzieć to, co ona dopiero niedawno zrozumiała. Zaskoczona własnym brakiem

spostrzegawczości, zastanawiała się, czy w jej relacji z Brinem jest jeszcze coś, z czego nie zdaje sobie sprawy, a co dla innych jest oczywiste.

Zanim jednak zdążyła to przemyśleć, zauważyła, że Claud i jego przystojny kuzyn zmierzają w ich kierunku. Nie wiadomo dlaczego zerknęła na Brina, który w milczeniu nadal wirował po parkiecie z lady Caroline. Nie zdziwiło jej specjalnie, że nie rozmawiali, bo hrabiance z trudem udawało się wypowiedzieć kilka słów. Natomiast to, że Brin w zasadzie nie zwraca uwagi na partnerkę, było zaskakujące. Verity nie rozumiała, czemu zamiast na lady Caroline Brin patrzy na nią, i to tak, jakby chciał ją przed czymś ostrzec.

Widząc, że Clarissa tylko uśmiecha się nieśmiało, Verity wzięła na siebie ciężar prowadzenia rozmowy.

- Mam nadzieję, że wczorajsze poszukiwania zakończyły się sukcesem? - zapytała, zwracając się do Clauda Castleforda.

Lawrence Castleford uśmiechnął się kpiąco i wyjął z kieszeni tabakierkę. Otworzył ją wprawnym ruchem i nabierając na palec odrobinę tabaki, zerknął na kuzyna.

- Nie wydaje mi się, żeby to był temat do rozmowy w salonie - wtrącił, przerywając Claudowi, który z entuzjazmem relacjonował swoją wczorajszą wizytę na targu, opisując parę koni do pług, jakie udało mu się kupić. - Tym bardziej że jeszcze nie złożyliśmy pannie Harcourt gratulacji z powodu zaręczyn.

Verity nie lubiła wtrącać się w nie swoje sprawy. Ale nie mogła siedzieć i obojętnie słuchać złośliwości Lawrence'a, który próbował

ośmieszyć i wprawić w zakłopotanie biednego Clauda. Postanowiła ruszyć mu na ratunek.

- Nie zgadzam się z panem, panie Castleford - powiedziała, patrząc w zimne i bezduszne oczy Lawrence'a. - Jestem pewna, że panna Gillingham z dużo większym zainteresowaniem posłucha o wyprawie na targ i o ostatnim nabytku pańskiego kuzyna niż o moich zaręczynach, o których i tak już zbyt wiele się mówi. Niedługo wychodzę za mąż i uważam, że ten fakt usprawiedliwi moją prośbę, aby pan ze mną zatańczył.

Niezwykła odwaga takiego wystąpienia zdawała się jednak nie robić na Castlefordzie specjalnego wrażenia. A złośliwy uśmiech, z jakim na nią popatrzył, świadczył, że zdołała go jedynie rozbawić. Ale najgorszy był jego taksujący wzrok, którym zdecydowanie nazbyt swobodnie pozwolił sobie obrzucić jej figurę w drodze na parkiet. Wstrętne spojrzenie sprawiło, że czuła się jak naga. I nie miała żadnych wątpliwości, że tak właśnie wyobrażał ją sobie kuzyn Clauda.

Kiedy Castleford oparł dłoń na jej talii, Verity wyczuła, że ma do czynienia z prawdziwym rozpustnikiem. Zesztywniała. Przypomniała sobie spojrzenie Brina i dopiero teraz zrozumiała, że próbował ją ostrzec, aby nieświadomie nie czyniła temu łajdakowi awansów.

- Nie wiedziałam, że zamierza pan odwiedzić stryja - powiedziała. Dzięki temu Lawrence choć na chwilę przestał gapić się bezczelnie w głęboki dekolt jej wieczorowej sukni. - Jestem zaskoczona, że pan lubi spokojną, wiejską atmosferę.

- Bardzo lubię posiadłość Castlefordów. Moi rodzice osierocili mnie, kiedy byłem małym chłopcem. Stryj zabrał mnie do siebie i od tamtej pory mieszkałem w jego domu. Stryj zawsze powtarzał, że to także mój dom, i w takim przekonaniu wyrosłem. Być może dlatego nadal składam tam częste wizyty. - Lawrence rzucił okiem na Clauda i lekko zmrużył oczy. - Claud wydaje się zainteresowany panną Gillingham - stwierdził z nieprzyjemnym, pogardliwym uśmiechem. - Kto by pomyślał! Czyż życie nie jest pełne niespodzianek? Nie zdawałem sobie sprawy, że mój mały kuzyn może się spodobać takiej uroczej panience.

Słuchając złośliwości, których Lawrence nie szczędził swojemu kuzynowi, Verity pomyślała, jak ciężko musiało być Claudowi dorastać w jego towarzystwie. Lawrence był przystojniejszy, bardziej doświadczony i wyrobiony towarzyszko, co w połączeniu z jego złośliwym charakterem musiało być dla Clauda trudne do zniesienia. Na pewno nieraz cierpiał z powodu zachowania kuzyna, który wyraźnie nie przejmował się tym, że sprawia mu przykrość. Nawet teraz, choć obaj byli już dorośli, Claud z pewnością nadal wysłuchiwał tych kąśliwych uwag przy każdej wizycie Lawrence'a.

Pamiętając, jak Clarissa opisała Lawrence'a, Verity badawczo przyjrzała się jego twarzy. Był niewątpliwie bardzo przystojny, ale zdaje się, że to było wszystko, co mogło się w nim podobać. Rzeczywiście miał niezwykle piękne i szlachetne rysy, ale sposób, w jaki patrzył, był nieprzyjemny i napawał lękiem. Zauważyła, że Lawrence znowu spogląda na kuzyna, a w jego wzroku oprócz

chłodnej pogardy było teraz coś zdecydowanie złowieszczonego.

Z trudem udało się jej ukryć odrazę, jaką do niego poczuła, i po skończonym tańcu z ulgą usiadła na krześle obok ciotki Clary. Kiedy Lawrence Castleford odszedł, usłyszała cichy głos Brina, tuż przy uchu.

- Uważaj na niego, kochanie. Możesz z nim tańczyć, ale nigdy, powtarzam, nigdy, nie wolno ci z nim zostać samej.

Gdyby Brin próbował ją ostrzegać kilka dni wcześniej, powiedziałyby zapewne, żeby nie wtrącał się w cudze sprawy, albo zażartowałyby, że jest zazdrosny. Ale kiedy odwróciła się i popatrzyła w jego pełne niepokoju oczy, straciła ochotę na żarty.

- Na szczęście Lawrence Castleford nie jest tu częstym gościem. Mój przyjaciel Marcus, który zna się na ludziach, nie zachęca go do odwiedzin. Ale nigdy nie wiadomo. Wiedząc, że tu jesteś, Castleford może wpaść na pomysł, by przyjechać z wizytą.

- Nie musisz się martwić. Już wcześniej doszłam do wniosku, że nie można mu ufać - odparła, obserwując, jak Castleford prowadzi na parkiet jakąś pannę. Patrząc na jego ujmującą powierzchowność i nienaganne maniery, jeszcze raz pomyślała, że pod tą gładką powłoką kryje się zdeprawowany i nikczemny człowiek.

- Myślę, że on może być zdolny niemal do wszystkiego. Widziałam, jak patrzył na Clauda, i muszę ci powiedzieć, że w jego wzroku była... wyraźna wrogość.

- Ci dwaj na pewno się nie kochają. Ale nie musisz się martwić o Clauda. Jest młody, ale mógłby cię zadziwić. Wierz mi, że umie o

siebie zadbać.

Na tym skończyli temat Castlefordów, a Verity z radością zapomniała o obecności Lawrence'a na przyjęciu. Nie było to trudne, bo Brin niemal jej nie odstępował, tylko od czasu do czasu tańcząc z którąś z sąsiadek Ravenhurstów.

Nagle goście zaczęli się żegnać i Verity ze zdziwieniem stwierdziła, że przyjęcie dobiega końca, a wieczór, którego tak bardzo się obawiała, okazał się zaskakująco przyjemny.

Lady Billington również podniosła się z krzesła.

- Myślę, moja droga, że na mnie już pora. Nie zamierzam jutro ruszać z samego rana, ale nie chcę też wyjechać zbyt późno. Kiedy zamierzasz wrócić do Londynu?

- Nie mam pojęcia. Przez cały wieczór nie udało mi się porozmawiać z Sarah. To zresztą całkiem zrozumiałe, bo przecież była zajęta gośćmi. O ile pamiętam, Brin nie podawał konkretnej daty. Ale poczekaj, proszę, zaraz go zapytam.

Verity przebiegła wzrokiem po obecnych w pokoju mężczyznach, niestety Brina wśród nich nie było.

- Nie ma go, gdzieś się zawieruszył.

- Wydaje mi się, że przed kilkoma minutami widziałam, jak wychodził na taras. - Lady Billington uśmiechnęła się zadowolona, że major przez cały wieczór nie odstępował jej bratanicy na krok. - Może pójdziesz do niego i zapytasz? A rano, przy śniadaniu, powiesz mi, co ustaliliście.

Verity nie potrzebowała dodatkowej zachęty. Wyszła na taras i

zobaczyła Brina stojącego z nogą wspartą na kamiennej balustradzie. Zapatrzony w ciemny park, palił krótkie cygaro. Patrząc na jego nonszalancką pozę, zastanawiała się, ile razy, będąc w Portugalii, stał tak z cygarem w ręku, ze wzrokiem utkwionym w dal. Teraz wydawał się spokojny i zrelaksowany, a przecież lata spędzone na wojnie musiały mu wyostrzyć zmysły i wyrobić w nim odruchy żołnierza, który jest zawsze czujny.

I rzeczywiście. Wyczuł, że nie jest sam, i spojrzał w jej kierunku. Rozpoznał ją i ciepły uśmiech rozświetlił jego oczy.

Podchodząc bliżej, Verity zauważyła łuk, jaki opisał czerwony ognik, zanim znikł za balustradą.

- To nie było konieczne - powiedziała.

- Wiem, że płeć piękna nie przepada za tym nałogiem. Ale przyznaję, że z tym jednym nie mogę skończyć. Sarah nie znosi, kiedy palę, ale jest na tyle dobra, że pozwala mi to robić.

- Osobiście nie mam nic przeciwko cygarom - oświadczyła, odpowiadając mu uśmiechem. - Ale nawet gdybym ich nie lubiła, nie miałabym prawa dyktować ci, jak masz się zachowywać.

- To dziwne, bo ja czuję, że mam jak największe prawo, aby wpływać na twoje zachowanie. - Brin uniósł prowokująco brew.

Verity czuła, że Brin wcale nie żartuje, a mimo to nie była na niego zła. Znowu się uśmiechnęła.

- Nie radzę ci tego robić - odezwała się tonem spokojnej perswazji. - Nie zapominaj, że nasze zaręczyny są fikcyjne, choć... muszę przyznać, że były chwile, kiedy sama o tym zapomniałam. Nie

wiem czemu, ale wszystko wydaje się takie prawdziwe.

- Bo to jest prawdziwe, Verity.

Słowa Brina zawisły w powietrzu, uświadamiając jej nagle, jak bardzo okazała się naiwna. Przez cały wieczór nie zwróciła uwagi na to, że jego zachowanie pozbawione było cienia sztuczności. Czyżby jego naturalność wynikała z tego, że traktował ich zaręczyny naprawdę poważnie...? A ona? Czy ona również odnosi się do tego w ten sposób...?

- Przyznaj, że ty też chcesz, aby to była prawda - szepnął Brin. Ale nie dał jej czasu na odpowiedź, a radosny entuzjazm, z jakim oddawała jego pocałunki, szybko rozproszył jego wątpliwości.

Jego pieszczoty stawały się coraz bardziej namiętne. Czuła, jak jego ręce suną w dół, w końcu oparł jej dłonie na biodrach i przycisnął ją do siebie tak mocno, że nie wiedziała już, gdzie kończy się jej ciało, a zaczyna jego. Usłyszała cichy jęk rozkoszy, ale sama nie wiedziała, które z nich jęknęło. Bliskość Brina, smak jego ust i obezwładniająca siła emanującej z niego męskości sprawiały, że Verity drżała z pożądania. Rozbudzone zmysły domagały się więcej... dużo, dużo więcej.

Przed laty, jako młoda dziewczyna, która dopiero stawała się kobietą, marzyła, by znaleźć się w jego ramionach. Przypomniała sobie dawne tęsknoty i pragnienia, które choć z czasem zbladły i zostały zepchnięte gdzieś na samo dno serca, to jednak nigdy nie zostały zapomniane. Teraz te marzenia zaczynały się spełniać i było to tak wspaniałe, że Verity nie miała najmniejszych wątpliwości, iż to

właśnie było im pisane. Uwierzyła, że Brin i ona są dla siebie stworzeni, a miłość, która ich połączyła, będzie trwała zawsze.

Brin oderwał się od jej ust i cicho się roześmiał.

- Robiłaś mi wymówki, że nie chcę czekać ze ślubem, ale teraz chyba sama przyznasz, że dla naszego wspólnego dobra nie powinniśmy z tym zwlekać. Pamiętaj, że jestem mężczyzną. I tak jak każdy mężczyzna odczuwam pożądanie. Dotychczas udawało mi się zachowywać poprawnie, ale nie wiem, jak długo jeszcze wytrzymam.

- Brin uśmiechnął się przekornie. - W ciągu ostatnich tygodni wystawiłaś mnie na bardzo ciężką próbę. Kiedy zobaczyłem cię w Londynie po tylu latach, zrozumiałem, że musisz być moja. Nie mogłem uwierzyć, że to naprawdę ty, ale twoje oczy i włosy wcale się nie zmieniły. Tyle że z dziewczynki zmieniłaś się w kobietę. Moją kobietę. Zawsze byłaś moja i żaden inny mężczyzna nigdy nie będzie cię miał. Przysięgam!

Słyszając te płomienne deklaracje, Verity powinna być szczęśliwa. Ale nagle uświadomiła sobie, że niedawno słyszała podobne słowa... Poczowała wstręt do samej siebie.

Nie mogąc uwierzyć w to, co zaszło między nią a Brinem, wyrwała się z jego ramion.

Jak mogła dopuścić, aby sprawy zaszły tak daleko? Czy już całkiem nie ma serca?

- Brin, ja nie mogę... - jęknęła z rozpaczą. - Zresztą nie ważne. - Przerwała, czując, że słowa ją dławią i palą jej gardło. - O Boże! Co ja najlepszego zrobiłam? Wybacz mi, proszę... ale w moim życiu jest...

ktoś inny.

Brin podszedł bliżej i zajrzał w jej zrozpaczone oczy, ale ona coraz bardziej przerażona, znowu się cofnęła.

- Kochanie, nie ma nikogo innego - zapewnił ją. - To... Ale Verity nie pozwoliła mu dokończyć i uciekła do domu.

Czując, że serce mu pęka, Brin patrzył, jak biegnie przez salon, z trudem powstrzymując łzy, i wiedział, że to on jest odpowiedzialny za to niepotrzebne cierpienie.

- To nie ty powinnaś prosić o wybaczenie - powiedział do siebie i odwracając się od okna, wbił wzrok w ciemność. - Ale czy teraz... będziesz umiała mi przebaczyć?

Rozdział piętnasty

Verity niechętnie uniosła zaczerwienione, opuchnięte powieki i ze zdziwieniem stwierdziła, że przy jej łóżku stoi Meg i patrzy na nią z niepokojem. Zaskoczył ją widok pokojówki, bo na ogół nie pojawiała się nieproszona w jej sypialni tak wcześnie. Ale kiedy rzuciła okiem na zegar, zrozumiała powód tego niecodziennego zachowania Meg.

- Dobry Boże! Już tak późno?

Nawet w czasie pobytu w Londynie Verity nigdy nie wylegiwała się w łóżku, ale też na ogół nie miała problemów z zasypianiem. A ostatnia noc była okropna. Przeplakała ją niemal całą i dopiero wczesnym rankiem, kiedy służba zaczęła już kręcić się po domu, udało się jej zapaść w sen. A choć nie był to sen krzepiący, który

przynosi odpoczynek ciału i koi umęczoną duszę, pomógł jej pogodzić się z faktami. Było to okrutne i bolesne, ale w obecnej sytuacji mogła postąpić tylko w jeden sposób.

- Czy lady Billington już wyjechała? - zapytała, uświadamiając sobie, że Meg nadal stoi bez ruchu przy jej łóżku.

- Tak, panienko. Godzinę temu, a może trochę więcej.

Chciała się z panienką zobaczyć przed wyjazdem, ale major Carter powiedział, że przekaze panience jej pożegnanie.

Już samo wspomnienie majora sprawiło, że Verity poczuła bolesny skurcz w sercu. Nie umiała sobie wyobrazić, jak wytrzyma, kiedy będzie musiała stanąć z nim twarzą w twarz, i nie chciała o tym myśleć. Wiedziała jednak, że tego spotkania nie da się odwlekać w nieskończoność. Zrozpaczona, przycisnęła dłonie do pulsujących bólem skroni.

- Czy major jest w domu?

- Nie, panienko. Wkrótce po wyjeździe lady Billington pan major i pan Ravenhurst razem gdzieś pojechali.

Zrozumiała, że spotkanie zostało odroczone. Ale wcale nie była pewna, czy ją to cieszy. Wiedziała, że tej rozmowy nie uniknie. Musi pomówić z Brinem, a im szybciej będzie miała to za sobą, tym lepiej. Przecież on nie jest głupi, to pewne. Ciekawe, czy już zaczął się domyślać, co ona chce mu wyznać? Była prawie pewna, że choć ani słowem nie wspomniała wprost o Woźnicy, to wyraźnie dała do zrozumienia, że Brin nie jest jedyny i oprócz niego jest jeszcze ktoś, kto jest jej równie drogi. Verity z trudem powstrzymała szloch. O

Boże! Co ja mam teraz zrobić? Co zrobić?

Meg chciała wiedzieć, jaką suknię włoży jej pani. Zadane przez pokojówkę pytanie przywróciło Verity do rzeczywistości. Była jednak tak przybita obrotom spraw, że każdy, kto miał choć odrobinę wyczucia, poznałby od razu, że coś jest z nią nie w porządku.

Sarah zobaczyła Verity dopiero przed lunchem i od razu dostrzegła na jej twarzy smutek i napięcie. Poprzedniego wieczoru widziała ją uciekającą po schodach na górę, a potem zobaczyła, jak Brin wraca z tarasu głęboko zatroskany. Wczoraj pomyślała, że to zwykła sprzeczka zakochanych, ale teraz nabrała pewności, że musiało to być coś znacznie poważniejszego. Mimo wszystko nie zamierzała o nic pytać. Zresztą była absolutnie przekonana, że Brin potrafi wszystko wyjaśnić i załagodzić.

- Na błoniach po drugiej stronie Oksfordu odbywają się dzisiaj rozgrywki pięściarskie. Marcus zabrał twojego narzeczonego i razem pojechali oglądać walki. Doprawdy, nie pojmuję, jaką przyjemność można czerpać z patrzenia, jak dwóch dorosłych mężczyzn bije się na pięści!

Potępienie w głosie Sarah rozbawiło Verity na tyle, że na jej twarzy pojawił się blady uśmiech.

- Rzeczywiście, trudno to zrozumieć. Ale choć niektóre rozrywki naszych panów wydają się naprawdę dziwne, nie przyszłoby mi nawet do głowy, aby próbować ich od nich odwozić. Tobie zresztą pewnie też nie.

- Masz rację, moja droga. Ale przez te walki zostałyśmy same na

cały dzień. Marcus zapowiedział, że nie należy ich oczekiwać wcześniej niż późnym popołudniem. Muszę odwiedzić pastora Martina. Może zechciałybyś pójść razem ze mną?

- Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, wolałabym raczej przejechać się znów na twojej klaczy. Na ogół nie wyleguję się tak długo i za dzisiejsze lenistwo zostałam ukarana bólem głowy. Jestem pewna, że konna przejażdżka pomoże mi dojść do siebie.

Sarah wcale nie była pewna, czy pomoże, ale nie miała zamiaru odmawiać Verity tej przyjemności. Pół godziny później, kiedy wsiadała do powozu, by pojechać z wizytą do pastora, zobaczyła, że Verity galopuje przez park w stronę lasu.

Verity dojechała do gęstej ściany drzew i skierowała konia na jedną z licznych leśnych ścieżek. Mocne popołudniowe słońce nie mogło przedrzeć się przez gęsty, zielony baldachim spleciony z koron drzew, dzięki czemu w lesie panował przyjemny chłód. Chroniąc się w cieniu, Verity doznała pewnej ulgi, choć dobrze wiedziała, że to nie ostre promienie słoneczne są przyczyną pulsującego bólu, który rozsadzał jej skronie. Wiedziała, że ból nie ustąpi, dopóki nie porozmawia z Brinem i nie wyjaśni mu wszystkiego, co działo się z nią w ciągu ostatnich tygodni. Modliła się, by ją zrozumiał, choć w głębi duszy bała się, że prosi o zbyt wiele. Bo przecież nawet ona sama nie pojmowała, jakim sposobem wplątała się w ten uczuciowy galimatias.

Zarówno Brin, jak i Woźnica mówili, że jest rozpieszczona. I obaj mieli rację. Bez wahania mogła przyznać, że pod wieloma

względami miała dużo więcej szczęścia niż większość ludzi. Bo choć straciła oboje rodziców, kiedy była jeszcze dzieckiem, nadal miała wokół siebie ludzi, którzy się nią opiekowali. Wystarczy wymienić choćby ciotkę Clare i wuja Luciusa. Oboje robili wszystko, co w ludzkiej mocy, aby dorastała w szczęściu i beztrosce.

Jej ukochana matka, niech Bóg ją błogosławi, zadbała nawet, aby jedyna córka nie musiała wychodzić za mąż bez miłości. W testamencie kazała bowiem umieścić klauzulę, na podstawie której Verity otrzyma spadek - naprawdę znaczny - albo w chwili zamążpójścia, albo gdy osiągnie wiek dwudziestu jeden lat. Wiedząc o tym, Verity nie musiała myśleć o poślubieniu kogoś tylko po to, by zabezpieczyć się materialnie, a prawdę mówiąc, w ogóle o zamążpójściu nie myślała. Owszem, знаła wielu młodych mężczyzn. Niektórych darzyła nawet sympatią. Ale żaden z nich nie wydawał się jej na tyle interesujący, aby chciała z nim spędzić resztę życia. Aż do chwili, gdy spotkała Woźnicę, i później, kiedy w jej życiu ponownie zjawił się Brin.

Nie pojmowała, jak mogła do szaleństwa pokochać kogoś tak apodyktycznego jak Woźnica. A jednak kochała go. Tak samo jak kochała Brina. Chociaż w tym drugim wypadku całymi tygodniami usiłowała nie przyjmować do wiadomości, co do niego czuje. Kto wie, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby otwarcie przyznała, że major nie jest jej obojętny i że nadal jest nim zainteresowana. Może wtedy jej uczucia do niego nie zaczęłyby się pogłębiać? Trudno powiedzieć, zresztą w tej chwili nie miało to już żadnego znaczenia. Na takie

rozważania było zwyczajnie za późno. Kochała bowiem obu i nie umiała między nimi wybrać. Jak w tej sytuacji mogła rozważać małżeństwo z jednym z nich?

Zatopiona w swoich smutnych myślach, jechała przed siebie, nie widząc, co się wokoło dzieje. Nagle dotarło do niej, że ktoś ją woła po imieniu. Chcąc zobaczyć kto to, odwróciła się przez ramię i dostrzegła Clauda Castleforda, który wymachując ręką, zbliżał się do niej na swoim dużym silnym koniu.

- Myślałem, że pani celowo usiłuje mnie nie dostrzegać.

Verity popatrzyła na Clauda, który wyglądał jak skrzywdzony uczeń, i pospiesznie zapewniła go, że była po prostu zamyślona. Potem nieco przytomniejszym wzrokiem rozejrzała się i stwierdziła, że nie ma pojęcia, gdzie się znajduje.

- Jeszcze niedawno byłam w lesie Ravenhurstow - powie działa zdziwiona.

- Musiała się pani rzeczywiście głęboko zamyślić i przypadkiem trafić na drogę prowadzącą do naszego domu. Choć prawdę mówiąc, myślę, że należałoby powiedzieć, że to klacz znalazła drogę, bo pani Ravenhurst często tędy jeździ. - Claud uśmiechnął się.

- Mądry konik! - Verity czule poklepała jedwabistą szyję klaczy.

- Mam nadzieję, że okażesz się wystarczająco mądra, żeby znaleźć drogę powrotną.

- Nie będzie z tym problemu - zapewnił Claud. - Ale jeśli pani nigdzie się nie śpieszy, to zapraszam do siebie. Chyba że narzeczony niecierpliwie czeka na pani powrót?

Na samo wspomnienie majora Verity skrzywiła się boleśnie, ale nawet jeśli Claud coś zauważył, to udał, że niczego nie dostrzegł. Ponowił zaproszenie.

- Dzisiaj wieczorem ojciec spodziewa się odwiedzin kilku panów. Wszystko oczywiście w największej tajemnicy, sama pani rozumie, ale w tej chwili dom jest pusty. Mielibyśmy wystarczająco dużo czasu, żeby wszystko obejrzeć, oczywiście, jeżeli ma pani ochotę.

Verity z przyjemnością przyjęła zaproszenie, bo od pierwszej chwili polubiła Clauda. Był przyjacielski i pogodny i świetnie się im rozmawiało. Jednak zanim dojechali do posiadłości Castlefordów, Verity poczuła się znużona jego ciągłymi aluzjami do osoby pewnej młodej damy. W końcu miała tego już naprawdę dosyć i nie zważając na to, że jej słowa mogą być uznane za zbyt bezpośrednie, postanowiła coś na ten temat powiedzieć.

- Na Boga, panie Castleford! Skoro Clarissa Gillingham oczarowała pana do tego stopnia, to dlaczego pan czegoś z tym nie zrobi? Dlaczego nadal siedzi pan na wsi, podczas gdy ona wróciła do Londynu? Jeśli interesuje pana moje zdanie, to uważam, że powinien pan pakować kufry i jak najszybciej ruszać do stolicy!

Jej słowa wprowadziły Clauda w takie osłupienie, że musiała bardzo się starać, aby nie wybuchnąć śmiechem. Patrzyła rozbawiona na jego minę. Doprawdy, można by pomyśleć, że zamiast krótkiej podróży do Londynu proponowała, by wyruszył na drugi koniec świata.

- Wydaje mi się, że znalazła pani najtrafniejsze rozwiązanie! -

przyznał Claud, pomagając jej zsiąść z konia. - Pojutrze mama powinna wrócić do domu. Jeśli ją poproszę, pojedzie ze mną do Londynu. Nie potrzebuję oczywiście ani jej zgody, ani pomocy, ale w jej towarzystwie będę w pełni usprawiedliwiony, pojawiając się w miejscach, w których będzie bywać panna Gillingham.

Dobrze pomyślane, oceniła Verity i z szacunkiem popatrzyła na młodego dżentelmena.

- Doskonała strategia! - pochwaliła. - Brin zresztą uprzedzał mnie, że aby pana w pełni docenić, trzeba pana lepiej poznać. Widzę, że miał absolutną rację.

- Naprawdę major Carter tak powiedział? - zapytał Claud, rumieniąc się z zadowolenia. - Nie jestem taki głupi, jak niektórzy myślą. Po prostu uważam, że czasem lepiej zachować własne zdanie dla siebie, niż je wygłaszać, prowokując kłótnie i zamieszanie.

Verity odniosła wrażenie, że ta uwaga dotyczyła stosunków panujących w domu Clauda, ale stanowczo postanowiła nie mieszać się do spraw, które jej w najmniejszym stopniu nie dotyczyły. Całą swoją uwagę skupiła na imponującym wnętrzu stylowej rezydencji z początku epoki Tudorów.

Kiedy obejrzała niemal wszystkie pomieszczenia na parterze, Claud wprowadził ją do wspaniale umeblowanej biblioteki, która tak samo jak hol miała całe ściany wyłożone dębową boazerią. Niektórzy mogliby orzec, że takie ciemne barwy nadają pomieszczeniom ponury wygląd, ale zdaniem Verity całość tworzyła wnętrze urocze i pełne charakteru.

- To bardzo piękny stary dom! Nic dziwnego, że tak go pan lubi!

- Ten dom należy do rodziny od wieków i jest przesiąknięty historią - wyznał Claud, a w kącikach jego ładnych ust pojawił się łobuzerski uśmiech. - Musi pani wiedzieć, panno Harcourt, że w rodzinie Castlefordów rodzą się dwa rodzaje ludzi. Dobrzy i źli. Mój przodek, który postawił ten dom, był pierwszym przykładem tych gorszych i to oczywiście on wymyślił, aby w domu wybudować tajne przejścia. Chciał podsłuchiwać i podglądać swoich gości, licząc, że coś z tego, co usłyszy, uda mu się później wykorzystać do własnych celów. Nie miał zbyt dobrego charakteru.

- Podczas remontu domu powiększono pokoje i wtedy większość tajnych przejść zlikwidowano, ale to jedno tutaj ciągle istnieje - mówił dalej Claud. Popukał palcami w boazerię, która wydała głuchy odgłos. - Odkryliśmy je z Lawrence'em, kiedy byliśmy dziećmi. Ale ojciec kazał zabić wejście gwoździami, bo ktoś, kto znalazł się w ukrytym korytarzu, mógł słyszeć każde słowo wypowiedziane w bibliotece. A w ciągu ostatnich lat odbywały się tu różne tajne spotkania.

Verity, zajęta oglądaniem boazerii, niezbyt uważnie słuchała, co mówi Claud.

- Nigdy nie zgadłabym, że tu są drzwi! Niewiarygodne, nie umiem ich znaleźć nawet teraz, choć wiem, że tu są.

- Proszę spojrzeć tutaj. - Claude wskazał palcem miejsce w boazerii. - Jeśli się pani dobrze przyjrzy, zobaczy pani gwoździe, którymi zabito drzwi. Drugie wejście do korytarza znajduje się w sypialni Lawrence'a. Tamto nie jest aż tak dobrze ukryte. Jeżeli chce

je pani zobaczyć, chętnie pokażę.

Verity nawet nie przyszło do głowy, że propozycja towarzyszenia mężczyźnie do sypialni jest skrajnie niewłaściwa. Zaintrygowana sekretnym przejściem, z ochotą ruszyła za Claudem po pięknych, bogato rzeźbionych schodach.

- Lawrence i ojciec wyjechali z domu, więc zupełnie bezpiecznie możemy się zakraść do prywatnego sanktuarium mojego kuzyna. Lawrence czasami dziwnie się zachowuje, a kiedy ktoś wchodzi do jego pokoju, robi się naprawdę nieprzyjemny - powiedział Claud, otwierając przed nią drzwi do sypialni.

Tak samo jak w holu i w bibliotece tutaj też całe ściany pokrywała boazeria. Tyle że ta była dużo misterniej rzeźbiona. Przyglądając się ścianom, Verity znowu tylko jednym uchem słuchała swojego przewodnika. Po pewnym czasie zauważyła pewną różnicę w deskach.

- Znalazłam. To tu, za tą dużą starą komodą! - zawołała z radością.

- Bardzo dobrze - pochwalił Claud i odsunął komodę od ściany.
- Mogę się jednak założyć, że nie znajdzie pani mechanizmu otwierającego drzwi.

Verity bez namysłu podjęła wyzwanie i zaczęła obmacywać ścianę. Każda deska miała pośrodku wyrzeźbioną sporą różę. Uznała, że to musi być to, i zaczęła szukać kwiatu, który będzie się różnił od innych. W końcu znalazła taką różę, którą dało się poruszyć, i obróciła ją. Rozległ się cichy trzask, a potem uchylili się dość spore, ukryte w

boazerii drzwi.

- Niemożliwe! - zawołał zaskoczony Claud. - Pamiętam, że ojciec kazał je zabić gwoździami wiele lat temu. Obaj z Lawrence'em patrzyliśmy, jak robotnicy to robili, i byliśmy bardzo niezadowoleni. Skoro jednak są otwarte, mogę pani pokazać, gdzie razem z kuzynem chowaliśmy się przed na szym nudnym nauczycielem.

Claud zapalił świecę stojącą na stoliku przy łóżku Lawrence'a.

Dziecięca pomysłowość nie zna granic, pomyślała Verity i uśmiechnęła się. Przeszła przez sekretne drzwi i ruszyła za Claudem po kamiennych stopniach spiralnie schodzących w dół. Na grubej warstwie kurzu pokrywającej schody było wyraźnie widać czyjeś ślady. A więc jednak ktoś korzystał z tego przejścia, i to nie po to, aby się ukrywać przed nauczycielem.

Schody prowadziły do wąskiego korytarzyka, który nie mógł mieć więcej niż trzy metry długości i około metra szerokości. Trzy jego ściany były z kamienia, a jedna z drewna. Było tu dość wilgotno, a z sufitu zwieszały się girlandy pajęczyn, ale niewątpliwie było to miejsce, w którym dwóch niedużych chłopców mogło się ukryć, chcąc uniknąć lekcji.

- No, proszę! Co my tu mamy? - Claud w końcu zauważył odciski w kurzu ślady czyichś butów. - Ktoś tu był, i to nie dawno - mruknął, patrząc na ślady, które na pewno nie należały do żadnego dziecka. - Może któryś z robotników sprawdzał, czy nic tutaj nie wymaga naprawy? Ta sztuczna ściana kryje się za boazerią w bibliotece i...

Nagle usłyszeli, że ktoś otworzył drzwi do biblioteki. Claud zamilkł i ostrzegawczo położył palec na ustach.

- To wina Clauda. Przez niego straciliśmy całe popołudnie! - usłyszeli znudzony głos Lawrence'a, który choć dochodził zza ściany, był wyraźny.

- Nie powinieneś tak mówić - wziął syna w obronę lord Castleford. - Gdybyśmy go spytali, na pewno powiedziałby nam, że konie Chumleya są trenowane pod siodło i nie nadają się do zaprzęgu. Claud może mieć braki w pewnych dziedzinach, ale na zwierzętach zna się jak rzadko kto.

Lawrence wysłuchał tej opinii, mrużąc coś pod nosem.

- Dobrze wiedział, że podobają mi się jego siwe konie, dlatego specjalnie pojechał do Ravenhurstow i zaproponował je temu ich cholernemu znajomemu - odparł. Był głęboko urażony.

- Konie były jego i miał prawo je sprzedać, komu chciał. A ty nie masz powodu do narzekań. Zawsze, kiedy tu przyjeżdżałeś, pozwalał ci używać swojego powozu. Pożyczałeś go nawet wtedy, kiedy znajomy Ravenhurstow chciał obejrzyć konie.

- A jednak jeśli chciał je sprzedać, to mnie pierwszemu powinien je zaoferować. Jakoś zebrałbym potrzebne pieniądze.

- Och, przestań już! Mam poważniejsze sprawy na głowie niż twoje żale!

Potem Verity usłyszała brzęk szkła, a po chwili głos lorda Castleforda brzmiał już łagodniej.

- Proszę, wypij. To pomoże ci się uspokoić. Dzisiaj wieczorem

ani ty, ani Claud nie macie wstępu do biblioteki. Musisz sobie znaleźć jakieś zajęcie.

- Wiem. Nie martw się o mnie. Na pewno czymś się zajmę.

Ale Verity nie dowiedziała się, co na to odpowiedział lord Castleford, bo Claud pociągnął ją za rękę, pokazując, że muszą wracać.

- Twój kuzyn wyraźnie cię nie lubi - zauważyła, kiedy Claud przesuwał komodę na miejsce.

- Wiedziałem, że podobają mu się moje konie i że chętnie kupiłby je ode mnie, nie ukrywam. - W oczach Clauda błysnęła złośliwa satysfakcja. - Ale wiedziałem też, kto by w efekcie za nie zapłacił. Od czasu do czasu mój kuzyn ma dużo pieniędzy i wtedy wydaje je na prawo i lewo. Na ogół jednak tonie w długach i ciągle prosi ojca o pożyczki.

Verity i Claud byli już na schodach prowadzących do holu, kiedy nagle drzwi frontowe otworzyły się i stanął w nich potężnie zbudowany siwowłosa mężczyzna. Na jego widok Verity o mało nie zemdląca i musiała chwycić się poręczy. Wiedziała, że już go kiedyś widziała, i dokładnie pamiętała, gdzie i kiedy to było.

- Kim jest ten człowiek? - zapytała zduszonym szeptem.

- To Blackmore, służący mojego kuzyna - odparł Claud, patrząc, jak mężczyzna idzie holem w stronę kuchni. - Nie znoszę go, ale wiem, że jest bardzo oddany Lawrence'owi. Uważam, że pije trochę za dużo rumu, ale... Och, do diabła! Nie pamiętam, czy zgasiłem świecę. Lepiej wrócę i sprawdzę, bo jeśli Blackmore zobaczy, że się

pali, natychmiast doniesie Lawrence'owi, że ktoś wchodził do jego pokoju.

Verity stała w holu, a przed oczami przelatywały jej obrazy z ostatnich kilku godzin. Wszystko to, co zobaczyła i usłyszała, zaczęło się jej nagle układać w sensowną całość. W pewnej chwili zdała sobie sprawę, że Clauda nie ma obok niej. Szybko zbiegła ze schodów i przez hol wybiegła na zewnątrz, zatrzymując się dopiero przy stajni, dla nabrania oddechu.

Z pośpiechem dosiadła swojego konia i galopem przemknęła przez dziedziniec. Jadąc polami, kierowała się w stronę Houghton, a gnała, jakby gonił ją diabeł. Wiedziała, że koniecznie jeszcze dzisiaj musi się skontaktować z Thomasem Stone'em i z Woźnicą. Z tą jedną myślą w głowie pędziła przed siebie, ślepa i głucha na wszystko dokoła.

Nie zwróciła uwagi na tętent kopyt za plecami ani na wysoki żywopłot, który nagle wyrósł z przodu. Niestety, koń zauważył zniechęconą przeszkodę. Położył uszy i przewracając oczami, zrobił zwrot, wysadzając Verity z siodła. Poszybowała w powietrzu, a potem ciężko wylądowała w płytkim rowie przed samym żywopłotem.

Nie mogąc złapać oddechu, upokorzona, że straciła panowanie nad wierzchowcem, powoli zaczęła podnosić się z ziemi. Ale kiedy stanęła na prawej nodze, syknęła z bólu.

- Ty tchórzliwe stworzenie! - zawołała do klaczy, która na wszelki wypadek trzymała się z daleka od żywopłotu. Dopiero teraz Verity zauważyła, że ktoś się zbliża.

- Nic się pani nie stało, panno Harcourt? - zapytał Claud. Jego głos i wyraz twarzy zdawały się świadczyć, że jest szczerze zmartwiony i przejęty. Kiedy jednak zsiadł z konia i ruszył w jej stronę, Verity zwątpiła, czy może mu ufać. Przez głowę przelatywały jej przeróżne możliwości. Wcale nie była pewna, czy Claud nie jest przypadkiem w zмовie z kuzynem. Ale podejrzenia szybko minęły, bo zarówno zdrowy rozsądek, jak i odwieczny kobiecy instykt mówiły jej, że ten mężczyzna jest uczciwy.

Claud ujął ją pod rękę i ostrożnie pomógł wyjść z rowu.

- Dlaczego odjechała pani w ten sposób? Czyżbym panią czymś obraził? Najlepiej odwiozę panią do Ravenhurstow - dodał zaniepokojony, widząc, że Verity lekko utyka.

- Muszę pojechać do Houghton - oświadczyła i nagle zdała sobie sprawę, że sama sobie teraz nie poradzi. Przyjrzała się badawczo Claudowi i szybko podjęła decyzję.

- Potrzebuję twojej pomocy, ale zanim cokolwiek zrobisz, musisz mnie wysłuchać. Jeśli po tym, co usłyszysz, odmówisz, zrozumiem.

Nie spuszczać z niego wzroku, opowiedziała o swoim spotkaniu z francuskim szpiegiem, o współpracy z Woźnicą i spotkaniu z Thomasem Stone'em. Powiedziała też, że jest zupełnie pewna, iż człowiekiem, którego widziała w małej przydrożnej gospodzie, był sługa jego kuzyna.

- Lawrence jest szpiegiem - wykrztusił Claud, kiedy Verity skończyła.

- Przykro mi. To musi być dla ciebie szok - powiedziała cicho.

- Wręcz przeciwnie, panno Harcourt. Wcale nie jestem zdziwiony. Od dawna wiedziałem, że mój kuzyn to prawdziwy diabeł - odparł Claud, a choć jego głos był całkowicie spokojny, Verity wiedziała, że młodym człowiekiem targają gwałtowne uczucia.

- Przykro mi tylko ze względu na ojca. Nie wiem, jak to przyjmie, ale ostatecznie sam jest sobie winny - dodał po chwili milczenia Claud, potwierdzając tym samym jej przy puszczenia.

Claud odczytał pytanie w oczach Verity i smutno pokiwał głową.

- Nieprzemyślane słowa. Ma pani rację, panno Harcourt. Mój ojciec, i nie tylko on, już od jakiegoś czasu wie, że ktoś przekazuje wrogowi tajne informacje. Ojciec nigdy nie robił tajemnicy z tego, kiedy spotkanie miało się odbyć w naszym domu. Myślę, że ufał rodzinie... Lawrence zawsze był dla niego jak syn. - Claud przeciągnął ręką po włosach, a Verity nagle pomyślała, że jak na swoje dwadzieścia cztery lata wygląda bardzo poważnie.

- Wystarczająco długo beczynnie stałem z boku. Pozwoliłem, aby Lawrence wkradł się podstępnie w łaski mojego ojca i odebrał go matce i mnie. Nie zdołałem zapobiec hańbie, jaką okryje nasze nazwisko, ale niech mnie diabli, jeśli pozwolę, by ponownie zaszkodził ojczyźnie. Uczynię wszystko, by mu w tym przeszkodzić! Niech pani mówi, co mam robić!

Verity chętnie powiedziałaaby mu choć kilka słów pocieszenia. Ale teraz nie było na to czasu, trzeba było jak najszybciej działać.

- Kiedy ma się odbyć to spotkanie?

- Tak jak zwykle, zaraz po kolacji. A kolację jadamy dość wcześnie, o szóstej. Chce pani, abym pojechał do Houghton i spotkał się z tym Stone'em?

- Sama pojedę do Houghton. Pan Stone mnie zna, i będzie wiedział, że mówię prawdę.

- A biorąc pod uwagę to, że został tu przysłany specjalnie po to, by obserwować moją rodzinę, mnie nie uwierzy nawet w jedno słowo - dodał Claud z cierpkim uśmiechem.

- Nawet nie wiem, czy zastanę go w gospodzie. - Verity nie próbowała zaprzeczać. - W najgorszym wypadku sami będziemy musieli powstrzymać pańskiego kuzyna przed przekazaniem informacji francuskiemu szpiegowi.

Verity popatrzyła na Clauda, a w jej oczach widać było wszystkie dręczące ją obawy. Oczekiwała, że dopóki nie zdoła zawiadomić władz, Claud będzie bacznie obserwował kuzyna. Zdawała sobie sprawę, że może się to okazać bardzo niebezpieczne i że tym samym prosi go, by ryzykował własne życie. Ale czy miała inny wyjście?

- Wracaj do domu i staraj się zachowywać, jak gdyby nic się nie stało. Nie próbuj trzymać Lawrence'a przy sobie. Domyślam się, że za każdym razem, kiedy spotkania odbywały się w waszym domu, twój kuzyn znajdował jakąś wymówkę, by wcześniej iść do siebie. Dzięki temu miał czas ukryć się w tajnym korytarzyku. Jeśli dzisiaj zechce zrobić to samo, nie próbuj mu przeszkadzać.

- Skąd będę wiedział, czy zdołała pani powiadomić pana Stone'a? - zapytał Claud po chwili namysłu.

- Na tym polega problem. Nie będziesz wiedział. Chyba że uda mi się jakoś przekazać tę wiadomość, a może nawet sama przyjadę.

- Nie. Proszę nie przyjeżdżać. To może wzbudzić podejrzenia. Zapewniam, że dopilnuję, aby ani Lawrence, ani jego sługa nie opuścili domu. Przynajmniej tyle mogę zrobić dla ratowania honoru naszego nazwiska.

Claud wsiadł na konia i pospiesznie odjechał w stronę domu. Verity patrzyła za nim. Zastanawiała się, czy nie wystawiła go na zbyt duże niebezpieczeństwo. Wreszcie westchnęła i pokuśtykała w stronę swojego konia, który zapomniał już o przygodzie z żywopłotem i spokojnie skubał trawę.

Już niemal trzymała w dłoniach wodze, kiedy jej uszu dobiegł potworny hałas, jaki robił na drodze wóz powożony przez kogoś, kto albo nie miał o tym pojęcia, albo był zupełnie pijany. Słysząc było fałszywe śpiewy. Koń Verity niespokojnie strzygł uszami, a kiedy ktoś zaczął wybijać rytm na kawałku blachy, płochliwe zwierzę postanowiło jak najszybciej wrócić do bezpiecznej stajni i, zanim Verity zdążyła chwycić wodze, ruszyło galopem w stronę domu Ravenhurstów.

Rozdział szesnasty

Brin rzucił okiem na profil Marcusa, a potem ponownie spojrzął na drogę. Zapatrzył się w nią, ale jego oczy zdawały się nic nie

widzieć. Dobrze wiedział, że jest dzisiaj wyjątkowo kiepskim kompanem i że nie wykrzesał z siebie śladu zainteresowania rozgrywkami pięściarskimi, które oglądali. Wiedział jednak, że zostając w domu z Verity, popełniłby wielki błąd.

Ciągle jeszcze nie mógł jej wytłumaczyć swojego zachowania. Ale kiedy ta sprawa wreszcie się skończy, będzie musiał znaleźć sposób, aby ją przekonać, że za nic w świecie nie chciał jej skrzywdzić. Nie mógł zaprzeczyć, że postąpił względem niej bezmyślnie, ale nie zrobił tego, by celowo sprawić jej ból.

Wierzył, że kiedy nadejdzie odpowiednia pora, wszystko jej wyzna, a ona potraktuje to z właściwym sobie poczuciem humoru. Chwilami jednak tracił pewność, czy Verity okaże się aż tak wyrozumiała i czy śmieszność sytuacji zdoła zatrzeć ból, jaki jej sprawił. Obawiał się, że może mu nie wybaczyć.

- Dobry Boże! Czy to przypadkiem nie Verity? - zawołał Marcus, widząc żałośnie wyglądającą postać, wybiegającą z bramy tuż przed nimi.

Wyrwany z ponurych rozmyślań, Brin wyskoczył z powozu, zanim Marcus zdążył zatrzymać konie, i rzucił się biegiem w stronę narzeczonej. Jednym rzutem oka ocenił sytuację, po czym chwycił ją na rękę i posadził na koźle obok Marcusa. Verity protestowała i domagała się, by zawieziono ją natychmiast do Houghton, ale Brin nie zwracał na to najmniejszej uwagi. Poinformował ją nieznośnym sprzeciwu tonem, że dopóki lekarz nie obejrzy jej nogi, nigdzie nie pojedzie. Marcus, który domyślał się, że to żywopłot był przyczyną

niefortunnego położenia, w jakim znalazła się młoda dama, starał się zachować powagę i nie odrywał wzroku od drogi.

Verity miała ochotę krzyczeć ze złości, ale zrozumiała, że na razie nic nie zdoła zrobić. Siedziała bez słowa, wciśnięta między dwóch niewzruszonych, apodyktycznych mężczyzn i z każdą chwilą była coraz bardziej zdenerwowana.

Kiedy wreszcie dojechali do domu, Verity poleciła stajennemu, aby osiodłał jej świeżego konia. Ale zanim Sutton zdążył ruszyć palcem, Brin wziął Verity na ręce i zaniósł ją do domu, choć wierzgała i krzyczała, żeby ją natychmiast postawił.

- Dzięki Bogu, że ją znalazłeś! - zawołała Sarah, wybiegając na spotkanie męża. - Właśnie w tej chwili dowiedziałam się, że koń sam wrócił do domu. Już miałam wysłać ludzi na poszukiwania. Jak ona się czuje? Pójdę na górę i spróbuję się czegoś dowiedzieć.

- Zostaw, kochanie. Niech Brin się tym zajmie - powstrzymał żonę Marcus. - Mam wrażenie, że tu chodzi o coś więcej niż tylko skręcona kostka.

- Tak, wydaje mi się, że Verity była czymś zdenerwowana, kiedy wołała, żeby ją postawił na ziemi. Ale masz rację. Brin ją zaraz uspokoi. Potrafi być tak cudownie delikatny.

Jednak scena, która rozgrywała się w sypialni Verity, zdawała się kompletnie przeczyć słowom pani Ravenhurst. Jej samej trudno byłoby uwierzyć własnym oczom, gdyby widziała, jak Brin chwycił narzeczoną za ramiona i zaczął nią potrząsać tak mocno, że powypadała jej z włosów reszta szpilek podtrzymujących fryzurę, a

rude loki rozsypały się w nieładzie na ramionach.

- Przestań! Natychmiast! - polecił ostrym, nieznoszącym sprzeciwu tonem. - Zachowujesz się jak rozpuszczony dzieciak!

- Ale, Brin! Ty nie rozumiesz - wyjąkała, patrząc na niego błagalnym wzrokiem. - Ja muszę pojechać do Houghton. Jest tam ktoś, z kim muszę się spotkać! To bardzo ważne!

- Kto taki? - zapytał, a Verity zauważyła, że nagle spowaźniał. Milczała, zastanawiając się, co odpowiedzieć, podczas gdy Brin oznajmił, że nigdzie nie pojedzie, i jedyną osobą, jaką zobaczy, będzie lekarz.

Verity nadal milczała, aż wreszcie Brin, który wyraźnie coraz bardziej się irytował, popatrzył na nią z lekką urazą w oczach.

- Nie ufasz mi na tyle, żeby powierzyć mi swój sekret? A może uważasz, że nie dam rady wystąpić w twoim imieniu?

- Ależ skąd! Mam do ciebie pełne zaufanie, tylko...

Przygnębiona, bezsilnie opadła na łóżko. Czowała, że nie ma siły dłużej z nim walczyć. A widząc determinację w jego oczach, zrozumiała, że na pewno nie pojedzie dziś do Houghton. Powrócił pulsujący ból w skroniach, a do tego coraz bardziej dokuczała jej skrzywiona kostka. Najgorsza była jednak świadomość, że jeśli natychmiast czegoś nie zrobi, biedny Claud nie doczeka się pomocy i będzie musiał działać sam, narażając się na niebezpieczeństwo.

W tej sytuacji nie miała wyboru i drugi raz tego dnia opowiedziała o swojej współpracy z Woźnicą, dodając to, czego dowiedziała się podczas odwiedzin u Castlefordów.

Brin nie był jednak wcale zaskoczony jej rewelacjami.

- A więc teraz Claud Castleford wie już wszystko - stwierdził dość ponuro.

Verity zrozumiała, że Brin podejrzewa Clauda, i natychmiast stanęła w jego obronie.

- Gotowa jestem ręczyć własną głową, że on jest niewinny. Gdybyś widział jego reakcję, kiedy odkrył, że drzwi do sekretnej korytarzyka są otwarte... i kiedy zrozumiał, że to jego kuzyn jest zdrajcą...

- Mam nadzieję, że instynkt cię nie myli! - odparł Brin. Wyglądał tak złowrogo, że Verity ledwo go poznawała.

- Dopilnuję, żeby twoje informacje dotarły do pana Stone'a. - Brin ruszył do drzwi i już z ręką na klamce odwrócił się i posłał jej uroczy uśmiech. - Nie martw się, kochanie. Twój Woźnica cię nie zawiedzie.

Nie miała czasu na przemyślenie jego zagadkowych słów, bo tuż po jego wyjściu zjawiała się Sarah. Potem przyjechał lekarz, który potwierdził, że poza zwichniętą kostką i kilkoma siniakami nic jej nie jest. Dopiero kiedy wyszedł, została sama i mogła spokojnie pomyśleć.

O dziewiątej wieczorem zjawiała się Meg i zabrała nietkniętą tacę z kolacją i z lekarstwem na sen, które lekarz zostawił dla Verity. Potem zegar wybił dziesiątą, potem jedenastą... Kwadrans przed północą Verity nie mogła już wytrzymać napięcia, z jakim wsłuchiwała się w odgłosy domu, licząc, że usłyszy wracającego

Brina.

Nie wraca, bo wdał się w tę całą awanturę, pomyślała. Może nie znalazł Stone'a i nie chcąc zostawiać Clauda samego, postanowił mu pomóc? Dlaczego nie pomyślałam o tej możliwości, zanim mu wszystko opowiedziałam? O Boże, jego także naraziłam na niebezpieczeństwo!

Czuła, że ani chwili dłużej nie zniesie już tego okropnego oczekiwania. Musi coś zrobić. Postanowiła porozmawiać z Marcusem. Wiedziała, że Brin cenił i szanował jego zdanie, liczyła więc, że ta rozmowa może ją choć trochę uspokoić.

W holu było całkiem pusto, ale drzwi do biblioteki były lekko uchylone. Myśląc, że to Marcus czeka na powrót przyjaciela, Verity zapukała i weszła. W bibliotece była jednak tylko Sarah.

- Verity? - Sarah odłożyła szycie i pomogła jej dojść do fotela przy kominku. - Doktor zapewniał, że po tym lekarstwie będziesz spała do rana.

- Nie wypłam lekarstwa - przyznała. - A gdzie Marcus?

- Wyjechali obaj z Brinem i żaden z nich jeszcze nie wrócił.

- O Boże! Tylko nie to! - krzyknęła Verity z rozpaczą i ukryła twarz w dłoniach.

Sarah zrozumiała, że stało się coś złego, od razu, jak tylko mąż oznajmił jej, że wychodzi z Brinem, i nie powiedział, dokąd jedzie. Przez chwilę podejrzewała, że Verity mogła zostać napadnięta, ale pomagając jej w czasie kąpieli i przygotowań do wizyty lekarza, uspokoiła się, że to nie to. Obserwując Verity, doszła do wniosku, że

dziewczyna jest mocno poruszona i zaniepokojona. Nie wiedziała jednak, co aż tak bardzo mogło zaprzętać jej myśli...

Nalała wina do dwóch kieliszków i jeden podała Verity.

- Skoro nie chciałaś lekarstwa, wypij to. Nie jadłaś kolacji, więc pewnie uderzy ci do głowy, ale nie mam prawa robić ci wymówek, bo sama też niewiele zjadłam.

Siedząc przed ogniem, w ciszy sączyły wino, aż wreszcie Sarah przerwała milczenie.

- Wiesz, dokąd oni pojechali? - zapytała.

- Przypuszczam, że są u Castlefordów - odparła Verity i opowiedziała o swojej wizycie w domu Clauda.

- A więc Lawrence Castleford okazał się zdrajcą - stwierdziła bez zdziwienia Sarah. - Marcus nigdy mu nie ufał, a jeszcze nie widziałam, żeby pomylił się w swoich osądach.

- Przykro mi, że przeze mnie życie twojego męża jest w niebezpieczeństwie.

- Marcus sam zdecydował, że jedzie z Brinem. Zresztą nie próbowałabym go powstrzymać, nawet gdybym wiedziała, dokąd się wybierają. Od początku naszego konfliktu z Francją mój mąż chciał zrobić coś dla swojego kraju. I teraz wreszcie ma okazję. - Sarah uśmiechnęła się z dumą. - Wyjaśnij mi jednak, jak ty się w to wszystko wplątałaś?

Verity już dawno miała okazję przekonać się, że dobro innych ludzi leży jej gospodni na sercu. Ale choć interesował ją ich los, nigdy nie była wścibska ani nie wtrącała się w nie swoje sprawy.

Pytając o początek tej historii, Sarah mogła być naprawdę ciekawa, a mogła jedynie szukać czegoś, co pozwoli skrócić czas oczekiwania na męża. Z jakichkolwiek powodów zadała to pytanie, Verity uznała, że skoro Marcus został w to wszystko wmieszany, jego żona ma prawo dowiedzieć się czegoś więcej.

Usiadła wygodniej w fotelu i po raz trzeci tego dnia miała zamiar opowiedzieć o swojej współpracy z Woźnicą. Zanim jednak otworzyła usta, ich uszu dobiegły tak wyczekiwane odgłosy. Verity napięła się jak struna. Na jej twarzy malowały się jednocześnie złe przeczucia i radosne oczekiwanie. Wpatrywała się w drzwi.

- Ja pójdę! - Sarah zerwała się z fotela. - Ty siedź, bo Brin nie będzie zadowolony, że zamiast leżeć w łóżku, kuśtykasz po domu.

Tym ostatnim Verity w ogóle nie zamierzała się przejmować. Ale Sarah była panią tego domu i miała prawo decydować. Jeśli to był posłaniec, Verity i tak była pewna, że pozna każde słowo informacji, którą przywiózł.

Nasłuchiwała, ale przez zamknięte drzwi do biblioteki docierały tylko niewyraźne głosy. Nie rozróżniała słów, ale była pewna, że słyszy głos mężczyzny.

Nagle drzwi do biblioteki otworzyły się. Verity zamarła w oczekiwaniu na wieści, ale nikt się nie odezwał. Podniosła się z fotela, ale na widok znajomych pleców w obszernym, szarym płaszczu kieliszek wypadł z jej drżącej dłoni.

- Woźnica? To ty...? - Kulejąc, zrobiła kilka kroków w stronę pleców mężczyzny, który najwyraźniej nie miał zamiaru odwrócić się

do niej przodem. - Widzę, że dostałeś moją wiadomość - stwierdziła niezbyt mądrze, ale ciągle jeszcze była zaszokowana jego nagłym pojawieniem się w domu Ravenhurstów.

- Tak, panienko.

- Czy to już wreszcie... koniec?

- Tak, panienko.

- A gdzie są Brin i Marcus? Czy nic im się nie stało? - wykrztusiła. Gardło ścisnął jej strach.

- Ravenhurst jest ze swoją żoną.

- A Brin?

Woźnica nie odpowiadał, a ona poczuła ucisk w sercu. Tak się martwiła o Brina!

- Co mu się stało? Co stało się Brinowi! Mów, do diabła! - krzyknęła, czując, że ogarnia ją panika.

- Spokojnie, panienko. Niech się panienka nie martwi! - zapewnił Woźnica, odwracając się do Verity i zsuwając z twarzy gruby szal. - Brin wrócił, ukochana... i jest przy tobie.

Verity, nie wierząc własnym oczom, patrzyła na Brina stojącego przed nią w szarym płaszczu. W głębi serca dawno już przeczuwała to, o czym teraz mogła się przekonać, ale potworna obłuda i dwulicowość tego mężczyzny ciągle nie chciały się jej pomieścić w głowie. Ogarnęła ją wściekłość i zimny gniew na człowieka, który zupełnie niepotrzebnie i bez sensu przysporzył jej tyle zmartwień i bólu. Rozjuszona, straciła zdrowy rozsądek, a w jej głowie nie było innych myśli poza jedną: Zemścić się!

- Ty łajdaku! - Uderzyła Brina pięścią w ucho, a cios był tak niespodziewany, że Brin nie zdążył odskoczyć. Trójgraniasty kapelusz poleciał łukiem na lśniące biurko Marcusa, rozrzucając leżące tam dokumenty.

Chciała uciec, ale Brin chwycił ją za ramiona. Potem zaprowadził ją do fotela i wciąż mocno ją trzymając, żeby mu nie uciekła, posadził ją sobie na kolanach.

Spokojnie słuchał potoku malowniczych wyzwisk, których jego ukochana nie nauczyła się raczej w szkole dla panien w Bath. Podejrzewał, że tę wiedzę zdobyła, spędzając zbyt dużo czasu w pobliżu stajni. Ponieważ jednak uważał, że ma prawo być urażona i zła, nie próbował jej uciszać. Na wszelki wypadek przytrzymał jednak jej ręce. Verity usiłowała się wyrwać, ale szybko zrozumiała bezsens swojego działania i sięgnęła po najskuteczniejszą damską broń.

Brin wcisnął jej do ręki chusteczkę i spokojnie czekał, aż potok łez zacznie się zmniejszać.

- Uwierz mi, kochana, że nie chciałem cię skrzywdzić - szepnął, tuląc jej głowę do ramienia i głaszcząc błyszczące loki.

- Od początku bawiłeś się moim kosztem... - wyjąkała oskarżycielskim tonem, ale było już widać, że powoli otrząsa się z szoku.

- To nieprawda, kochanie. Przyznaję, że traktowałem to dość lekko, ale od razu wiedziałem, że jesteś tą jedyną. Od kiedy cię pierwszy raz pocałowałem. Powiedziałem ci to, kiedy przyjechałaś do

Londynu, pamiętasz?

Brin dostrzegł, że choć Verity jest nadal zła, to w jej oczach mignął błysk ciekawości. Odważył się mówić dalej.

- Pomyślałem, że skoro oboje zamierzamy spędzić w Londynie kilka tygodni, będzie mi łatwo zabiegać o twoje względy. Niestety, już po pierwszym spotkaniu w Hyde Parku zrozumiałem, jak bardzo się pomyliłem, zakładając w swojej arogancji, że od razu cię zdobędę. Patrzyłaś na mnie jak na trędowatego! Teraz rozumiem dlaczego, ale wtedy nie miałem pojęcia, że żywisz do mnie urazę...

- Rzeczywiście, bardzo sprytnie! Podstępnie wykorzystasteś przebranie Woźnicy, aby zmusić mnie do przyjazdu tutaj! - Verity znowu poczuła, że najchętniej natarłaby mu uszu, ale tym razem ciekawość okazała się silniejsza niż złość.

- Jakim cudem udało ci się tamtego wieczoru wrócić do domu przede mną?

- Nie było to łatwe. Ledwo zdążyłem zamknąć drzwi wejściowe i ukryć płaszcz i kapelusz w szafie w korytarzu, kiedy usłyszałem, że szarpiesz za klamkę, próbując się dostać do środka.

Verity nie mogła zdecydować, czy bardziej jest zła na siebie, że tak długo dawała się wodzić za nos, czy też na niego za obłudę i dwulicowość. Brin najwyraźniej czytał w jej myślach.

- Za dobrze udawałem, ale uwierz, że nie chciałem, byś cierpiała. - W jego oczach był wyłącznie gorzki żal. Jako Woźnica mogłem cię widywać tylko od czasu do czasu, a nasze spotkania zawsze wydawały mi się za krótkie. Ale jako Brin nie miałem już

takich ograniczeń i mogłem spędzać z tobą więcej czasu. Wierzyłem, że kiedyś znowu mnie polubisz, wystarczyło tylko znaleźć powód, dla którego musiałabyś częściej bywać w moim towarzystwie.

- Postąpiłeś haniebnie!

- Okazało się, że miałem rację - ciągnął Brin, jakby jej wcale nie słyszał. - Ostatnia noc była tego najlepszym dowodem. Jako Woźnica bez trudu ukrywałem pod maską twarz, ale ukrywanie tego, co do ciebie czułem, nie było już takie łatwe. Zrozumiałem, że konsekwencją tej szalonej gry jest twoje niepotrzebne cierpienie. I to dręczyło mnie w dzień i w nocy. Sprawianie ci bólu nie było częścią mojego planu. Musisz mi uwierzyć.

Verity poczuła, że jej gniew gdzieś znika, i niewiele brakowało, aby mu przebaczyła. Spuściła głowę, a kiedy jej wzrok padł na chusteczkę Brina, którą trzymała w dłoni, przypomniała sobie identyczną chusteczkę, w którą wycierała zapłakane oczy w Little Frampington.

- Doprawdy? - zapytała, jednak z wojowniczym błyskiem w oczach. - Trudno uwierzyć, że zapomniałeś już o laniu, jakie mi spuściłeś.

Brin wybuchnął śmiechem, co jeszcze bardziej ją rozsierdziło.

- Nie powinnaś tam była jechać sama, i dobrze o tym wiesz. Choć gdyby nie twoja szalona wyprawa, nie wiem, czy dzisiejszej nocy zdołalibyśmy zakończyć tę sprawę.

Kiedy to usłyszała, jej w pełni uzasadnione żale zeszły na dalszy plan. Natychmiast zażądała, aby jej wszystko opowiedział.

Brin błyskawicznie ocenił, że spełnienie tej prośby podziela na jego korzyść, i pospiesznie zaspokoił ciekawość narzeczonej.

- Po powrocie do Anglii wystąpiłem z armii, a jakiś miesiąc później rozeszła się wiadomość, że Napoleon uciekł z Elby. Służby wywiadowcze Wellingtona odkryły, że tamten mały Francuz podający się za Szwajcara znów stał się aktywny. Wellington polecił go schwytać, ale bardziej niż na samym Francuzie zależało mu na zdrajcach, od których otrzymywał on tajne informacje. Wellington skontaktował się z lordem Charlesem i zasugerował, by skorzystał z moich usług.

- Czy ty i mój stryj, przez cały czas podejrzewaliście Lawrence'a Castleforda?

- Skądże znowu! Byliśmy przekonani, że zdrajcą jest ktoś z Ministerstwa Wojny, ale dopóki nie zobaczyłaś siwych koni w gospodzie we Frampington, nie mieliśmy żadnych konkretnych podejrzeń. - Brin spojrzał na nią z najwyższym szacunkiem.

- Pamiętasz bal u Gillinghamów? Twój stryj rozmawiał wtedy z lordem Castlefordem i odkrył, że jego bratanek pożycza sobie czasem zaprzęg z parą siwych koni. Od tamtej pory obaj byli dla nas podejrzani. Zakładaliśmy, że i Claud może o wszystkim wiedzieć. Dopiero dziś wieczorem okazało się, że miałaś rację. Claud jest rzeczywiście niewinny. Zresztą tak samo jak jego ojciec, który nie miał pojęcia, czym zajmuje się jego bratanek. Kiedy się dowiedział, był kompletnie załamany.

- Mam wrażenie, że zapraszając swoich gości do Ravenhurstów,

chciałeś jedynie usprawiedliwić swoją obecność w pobliżu domu Castlefordów.

- To oczywiście też, ale nie tylko - przyznał ze smutnym uśmiechem Brin. - Wiedziałem, że żadnej z was nic nie grozi. Nie zaryzykowałbym, gdyby było inaczej. Zdawałem sobie doskonale sprawę z tego, że jeśli zostaniesz w Londynie, nie będę się mógł skupić na pracy. Choć właściwie za wszystko był odpowiedzialny Stone, ja miałem tylko służyć ewentualną pomocą.

- Opowiesz mi, co się tam dzisiaj wydarzyło?

- Marcus był jedyną osobą, którą wtajemniczyłem w tę sprawę. Powiedziałem mu o twoich odkryciach w domu Castlefordów, a on zaoferował swoją pomoc. Tak samo jak ty nie wierzył, aby Claud mógł być zamieszany w tę aferę. Uznałem, że odwiedziny sąsiada nie powinny wzbudzić podejrzeń, wysłałem więc Marcusa z wiadomością do Clauda, a sam pojechałem zobaczyć się ze Stone'em. Potem spotkaliśmy się z Marcusem pod domem Castlefordów i tam czekaliśmy, aż pojawi się służący Lawrence'a, który musiał przecież pojechać zawiadomić o spotkaniu. Zastrzeliłem go od razu, kiedy tylko się pojawił - powiedział obojętnie Brin, bo dla żołnierza zabijanie nie było niczym nowym.

- Och, a co się stało z Lawrence'em? Jego też zabiłeś?

- Claud to zrobił... Lawrence usłyszał strzał, którym zabiłem Blackmore'a, i próbował uciekać. Claud strzelił mu prosto w głowę. Wiedział, że kuzyn nie ma żadnych szans na ucieczkę. Myślę, że w ten sposób chciał mu oszczędzić procesu i stryczka. Potem

powiedział, że szybka śmierć jest jedynym humanitarnym sposobem, aby przynieść ulgę zwierzęciu, które traci rozum. To był cały jego komentarz.

- A francuski szpieg?

- Został zatrzymany.

- To znaczy, że ta sprawa nareszcie się skończyła - stwierdziła Verity z wyraźną ulgą.

- Po tym, co się dzisiaj stało, lord Castleford będzie potrzebował sporo czasu, żeby dojść do siebie. Ale dla nas, kochanie, sprawa jest skończona.

Brin spojrział na Verity i objął dłońmi jej szczupłą talię. Napotkał symboliczny opór, który bez trudu przewyciężył, i przytulił narzeczoną.

- Przyzwoitość nie pozwoli naszej gospodyni zostawić nas długo samych - szepnął, nie odrywając oczu od sznurówki skromnej nocnej koszuli Verity. - Ale zanim tu przyjdzie, po wiedz mi... kiedy weźmiemy ślub?

Bezwstydne spojrzenie Brina zdawało się mówić, że materiał sukni nie stanowi dla jego wzroku żadnej przeszkody, a to, co widzi, bardzo mu się podoba. Jego zachowanie było oburzające, ale Verity nie wiedziała, czy nie bardziej irytuje ją pewność, z jaką zakładał, że nadal będzie chciała wyjść za niego za mąż. Po tym wszystkim, co przez niego wycierpiała...

- Chyba oszalałeś, jeśli przypuszczasz, że choć przez chwilę mogłabym rozważyć poślubienie takiego perfidnego łajdaka!

- Skoro tak, moja panno - Brin całkiem nie najgorzej udawał do głębi oburzonego - to z przykrością muszę stwierdzić, że brakuje ci dobrego wychowania. Mógłbym posunąć się nawet do tego, by nazwać cię kobietą rozwiązłą. Bo czyż nie siedzisz w środku nocy na kolanach mężczyzny, mając na sobie tylko cienką nocną koszulę? I to taką, która nie jest w stanie ukryć twoich wdzięków! Na ten widok każdy niewinny młodzieniec chętnie zszedłby na złą drogę.

Verity starała się odzyskać pozory skromności, ale Brin skutecznie jej to uniemożliwiał. A kiedy zaczęła coś mówić o rozpustnych mężczyznach i ich atakach na niewinne kobiety, zamknął jej usta pocałunkiem. Po chwili cofnął głowę, ale wtedy ona nie miała już ochoty na dalsze kłótnie. A nawet gdyby miała, to i tak nie była w stanie złapać tchu.

Myśleć jednak nadal mogła, a rozum jej podpowiadał, żeby się dobrze zastanowiła, czy naprawdę chce związać swoje życie z mężczyzną, który miał w sobie więcej z Woźnicy niż z majora. Mogło się bowiem zdarzyć, że częściej będzie oglądała dominującego i niezważającego na konwenanse dyktatora niż dżentelmena o nienaganych manierach. Mimo tych wszystkich obaw, jakie narzucała głowa, ani jej serce, ani ciało najwyraźniej nie miały żadnych wątpliwości.

Brin roześmiał się, a w jego śmiechu brzmiały triumfalne nutki.

- Jesteśmy sobie przeznaczeni, a ty musiałabyś być całkiem szalona, próbując uniknąć swojego losu - powiedział, odsuwając ją od siebie na długość ramion i przyglądając się jej badawczo.

Verity wiedziała o tym od wielu tygodni i teraz bez słowa, z tęsknym uśmiechem na ustach, przytuliła się do przyszłego męża.

Kto wie, może to rzeczywiście przeznaczenie? Może to ono zdecydowało przed laty, że ona i Brin będą razem, i w odpowiedniej chwili kazało jej wsiąść do powozu pocztowego? W końcu, kim ona jest, żeby walczyć z przeznaczeniem?

Mimo wszystko uważała, że nie może tak po prostu darować Brinowi tego, jak okropnie ją potraktował. Choć bez przekonania, postanowiła go więc postraszyć.

- Zdaje pan sobie sprawę, panie majorze Woźnico Carter, że wiążąc się ze mną, skazuje się pan na życie pod pantoflem. A uprzedzam, że rządzę żelazną ręką.

- Byłbym zupełnym głupkiem, gdybym jeszcze tego nie zrozumiał - odparł, wyraźnie uszczęśliwiony na samą myśl o tym, co go czeka.

Lady Billington miała chyba rację, mówiąc, że Harcourtowie są trochę szaleni, pomyślała Verity, wznosząc oczy do nieba. Bo czy w innym wypadku rozważałaby małżeństwo z kimś tak okropnym?